

A. Bałabucha
K. Bułyczow
D. De-Spiller
W. Kołupajew
F. Kriwin
O. Łarionowa
L. Rozanowa
W. Szczerbakow
A. Żytinski

Wynalazca Wieczności

(przełożyli: J. Belier, A. Bogdański, T. Gosk, I. Lewandowska, E. P.
Melech, I. Pawelska-Jagniątkowska, E. Rojewska-Olejarczuk, B.
Śniadower, E. Zychowicz)

Od redakcji

Tom niniejszy jest próba przedstawienia współczesnej radzieckiej fantastyki naukowej. Czytelnik polski, znający utwory A. Dnieprowa, I. Warszawskiego, Jemcewa i Parnowa, Bilenkina i innych, znajdzie tu - poza K. Bułyczowem - nazwiska nowe, nie prezentowane u nas dotąd w wydaniach książkowych.

O ile prócz nowych rzeczy braci Strugackich nie powstały ostatnio interesujące powieści, o tyle w opowiadaniach zaznacza się napór nowych autorów, wśród których czołową pozycję zajmują znany u nas z tomu „*Ludzie jak ludzie*” K. Bułyczow oraz interesujący i płodny W. Szczerbakow. Ciekawym zjawiskiem ostatnich lat jest wystąpienie dynamicznej grupy fantastów syberyjskich, reprezentowanych tutaj przez W. Kołupajewa.

Wszyscy wymienieni, wraz z A. Bałabuchą z Leningradu i F. Kriwinem z Użgorodu, są dobrze znani miłośnikom fantastyki w swoim kraju. Zupełnie nowe natomiast, nawet dla czytelnika radzieckiego, są nazwiska D. De-Spillera i A. Żytńskiego. Pierwszy z nich, doktor nauk matematyczno-fizycznych i autor kilku zaledwie opowiadań, zaskakuje przyprawiającymi o zawrót głowy pomysłami, które mogły się zrodzić tylko na skrzyżowaniu matematyki i poezji. Zamyka tom wielce obiecujący debiut młodego pracownika naukowego A. Żytńskiego.

Ważniejszy jeszcze od ilościowego rozwoju jest fakt ukształtowania się własnego, specyficznego stylu radzieckiego opowiadania fantastyczno-naukowego. W odróżnieniu od fantastyki anglosaskiej radziecka nigdy nie rozwijała się w izolacji od głównego nurtu literatury; stąd jej osadzenie w tradycji oraz wspólnota problematyki i stylistyki ze współczesną literaturą radziecką w ogóle.

Uderza w niej przede wszystkim patos moralny. Fantastyczny pomysł służy bardzo często ujawnieniu prawdziwego charakteru bohatera. Tak jest w powieściach W. Szefnera, K. Bułyczowa, w opowiadaniach F. Kriwina, W. Kołupajewa i L. Rozanowej.

Zgodnie z tradycją rosyjskiej i radzieckiej literatury wiele uwagi poświęca się szczegółowi obyczajowemu. Najczęściej jest to język i styl bycia uczonych, ale można też znaleźć - często w formie żartobliwej, jak u A. Żytńskiego - zafascynowanie żywiołem chłopskim, ludowym.

Charakterystyczną cechą radzieckiej fantastyki jest również jej romantyczna tonacja, liryzm i płynąca z tego nie śpieszność narracji, mogąca czasem przesłaniać autentyczne, nierzadko oryginalne pomysły fantastyczno-naukowe.

Wszystko to wskazuje, że fantastyka radziecka osiągnęła pewną dojrzałość, wzbogacając literaturę radziecką swoją fantastycznością, światową zaś literaturę science fiction swoją rosyjskością.

ANDRIEJ BAFABUCHA
SYNDROM JANSENA

W iluminatorze międzyorbitalnego promu pojawił się nagle, a potem, zasłaniając Ziemię, odpląnął w dół dysk baterii stacji słonecznej i tuż obok znalazła się pasiasta burta jej korpusu oświetlona silnym reflektorem statku kosmicznego. Dała o sobie znać nieważkość. Ganszyn i Julka popłynęli do komory próżniowej, gdzie potężnie zbudowany, stale uśmiechnięty od ucha do ucha mechanik pokładowy pomógł im nałożyć skafandry, sprawdził, czy są w porządku, i z rozmachem klepnął ich w plecy. Julka odleciała pod ścianę i pisnęła ze strachu. A mechanik zmieszał się i niezwykle szybko jak na swoją tuszę znikł w głębi, nie powiedziawszy im nawet na pożegnanie tradycyjnego „hop!”

Stacja, znajdująca się na dobowej orbicie, wisiała nad Wyspami Seszelskimi, ot, taki pajęczek z maleńkim tułowiem i dwukilometrowymi nóżkami.

Z brzuszka pająka sterczała paraboidalna antena nadawcza, a błonka naciągnięta na ażurowych kratownicach nóżek przekształcała światło słoneczne w piętnaście tysięcy megawatów bezpłatnej energii, nieprzerwanym strumieniem mikrofalowego promieniowania płynącej w dół, w paszczę odbiornika energii na Seszelah. Oczywiście to zewnętrzne podobieństwo było bardzo dalekie i, żeby je uchwycić, należało mieć fantazję dawnych astrologów, którzy w Wozie dopatrzili się sylwetki... Wielkiej Niedźwiedzicy.

Orbitalne elektrownie słoneczne „Arabella” i „Anita” zostały zbudowane w ramach programu Międzynarodowego Roku Krajów Rozwijających się. Te w pełni zautomatyzowane stacje tylko raz na dwa lata wymagały profilaktycznego przeglądu i wymiany zużytych baterii słonecznych, jeśli liczba zniszczonych ogniów przewyższała sześć procent. Na taki właśnie przegląd, piąty w życiu „Arabelli”, przylecieli tu Ganszyn i Julka, bardziej znana w Zarządzie jako „pierwsza naiwna”.

Taki przegląd to prawdziwe wczasy. Dzień pracy wynosi siedemdziesiąt dwie minuty na dobę, bo tyle stacja znajduje się w cieniu Ziemi. Pozostały czas każdy wykorzystuje według własnego uznania. Ganszynowi, któremu już nieraz zdarzało się bywać w strefie wokółziemskiej, w wyniku natchnionych poszukiwań udało się znaleźć własną metodę na skracanie czasu, i tym razem zaczął od tego, że długo męczył komputer astronawigacji pytaniami o orbity najbliższych sputników, chcąc obliczyć moment największego zbliżenia. Wśród satelitów, które przez czas jakiś miały się znajdować w odległości osiągalnej za pomocą maleńkiego dwumiejscowego skutera „Arabelli”, było Obserwatorium - orbitalna filia Obserwatorium Pamirskiego. i już na drugi dzień (czas w strefie wokółziemskiej liczono tak jak na Ziemi) Ganszyn i Julka udali się tam z wizytą.

Obiboki w strefie wokółziemskiej były nie tyle rzadkością, co zjawiskiem wprost unikalnym, i dlatego też nieoczekiwani goście wprawili astronomów w istny popłoch. Ale na orbicie nawet miesięczna wachta to okres niezmiernie długi i każdy przybysz traktowany jest

jak członek najbliższej rodziny, tęsknie wyczekiwany. Dlatego też radość gospodarzy nie miała granic, tym bardziej że od ochów i achów Julki topniały ich serca, podczas gdy Ganszyn wraz z dwoma inżynierami z obsługi technicznej rozgrywał w mesie „pulkę”. Ze zdania wypowiedzianego mimochodem Ganszyn dowiedział się, że na „SOS-3”, tuż obok, w odległości jakichś stu kilometrów, jest dowódcą ... - kto by pomyślał? - Aszotik Antarian we własnej osobie. Mój ty Boże, Aszotik, siedem lat w jednej ławce, noga złamana na zachodnim zboczu Achanary, a gdy mieli lat dziewiętnaście - spływ tratwą po rzece Urcie... To ci heca: na Ziemi, choć mieszkali w jednym mieście, miesiącami, latami nie znajdowali czasu na spotkanie, a wystarczyło znaleźć się na orbicie - zachodź, drogi sąsiedzie, w gości. Tak właśnie powiedział nazajutrz Aszot, gdy Ganszyn rozmawiał z nim przez radio.

Za kwadrans szósta czasu środkowoeuropejskiego Ganszyn dosiadł skutera i na wszelki wypadek przywiązawszy Julkę krótką linką poprowadził go, kierując się wskazówkami astronawigacyjnego komputera, w to miejsce, gdzie za piętnaście minut powinien być znaleźć się „SOS-3”.

Według wszelkich prawideł orbitalnej gościnności w śluzie przywitał ich Aszot i powiódł do swej kabiny. Jednakże dwaj młodzieńcy natychmiast porwali Julkę i zaczęli jej pokazywać wszystko, gdzie tylko mogła wsunąć swój zadarty nosek. Już taki miała talent - gdyby tylko zechciała, zdjęliby płaszcz ochronny z reaktora, żeby pokazać, co jest wewnątrz...

Ganszyn tymczasem siedział w ciasnej kabinie, którą Aszot dzielił ze swym zastępcą, doktorem Jansenem z Centrum Doświadczalnego NASA im. Amesa. Na ekranie, zastępującym tutaj iluminator, kłębiła się w koordynacyjnej siatce Ziemia, to jest oczywiście nie cała Ziemia, lecz kawałek południowego Atlantyku zakryty grubą warstwą obłoków. Obraz był znacznie powiększony, co zresztą wcale nie zdziwiło Ganszyna: „SOS-3”, jak i dwa pozostałe sputniki Służby Ochrony Środowiska ONZ, zajmował się obserwacją powierzchni Ziemi. Pojawienie się orbitalnych stacji słonecznych, które emitując strumienie mikrofalowego promieniowania, znacznie utrudniły astronawigację, zmusiło do podwyższenia orbit załogowych sputników prawie do poziomu satelitów stacjonarnych i dlatego obserwacje przeprowadzano nie tyle wizualnie, co za pomocą przyrządów. W dodatku niższe warstwy były bardzo zaśmiecone starymi sputnikami, które już odsłużyły swoje, raketami nośnymi i ich częściami, które obecnie patrole niedawno utworzonej Służby Oczyszczania, zwane powszechnie śmieciarzami, ściągały do punktów Lagrange'a, pierwszych w historii pozaziemskich śmietników.

Ganszyn z Aszotem przegadali z półtorej godziny, aż w drzwiach ukazała się czyjaś kłapoucha głowa i obwieściła: „Panowie, kolacja podana!” Popłynęli do salonu, jak zwano tu

mesę, gdzie stał już nakryty stół, przy którym zebrali się wszyscy członkowie załogi wolni od wachty. W centrum uwagi - no bo jakże inaczej? - znajdowała się Julka, spoglądająca na wszystkich z trzepotem rzęs. Ganszynowi zrobiło się nieco markotnie, bo na niego nigdy tak nie patrzyła.

Aszot przedstawił wszystkich Ganszynowi. Właścicielem kłapouchej głowy okazał się starszy operator zespołu EREP, doktor Ryszard Wilk z poznańskiego instytutu ekologii, a ten chudy dryblas siedzący dostojnie przy stole to ni mniej, ni więcej tylko sir Robert Charles Randall, siedemnasty hrabia Crowford, earl Southbridge. Rżał ze śmiechu, gdy Aszot z kamienną fizjonomią wymieniał jego ciężkostrawną tytulaturę. Zresztą ów sir i earl, do którego na co dzień zwracano się w znacznie banalniejszej formie „doktor Randall”, okazał się człowiekiem towarzyskim i całkiem do rzeczy.

O trzecim, doktorze Jansenie, Aszot zdążył już coś niecoś opowiedzieć. W Służbie Ochrony Środowiska był on postacią legendarną. Jorge Jansen, pół Hiszpan, pół Duńczyk, obywatel amerykański, ukończył Uniwersytet Columbia, otrzymał stypendium państwowe i odbył trzyletni staż u Mrniawczewicza w Dubrowniku. Potem ściągnięto go do Centrum im. Amesa, skąd został oddelegowany do Służby Ochrony Środowiska ONZ. Przez pierwsze dwa lata pracował jak wszyscy, trzy razy odbywał miesięczne wachty na sputnikach - był to właśnie Międzynarodowy Rok Ochrony Środowiska. A potem zaczęły się dziać dziwne rzeczy. W jaki sposób Jansen tego dopiął, pozostało tajemnicą, którą mógłby wyjaśnić tylko on sam i może jeszcze stary Eberwald. Faktem było, że już od trzech lat Jansen nie wracał na Ziemię, nie licząc krótkich pobytów w celu przeprowadzenia badań lekarskich. W sputnikach Służby, gdzie każdy z członków załogi spędzał w kosmosie nie więcej niż miesiąc, a wielu oczekiwało swojej kolei, byt to istny cud.

Ganszynowi Jansen nie przypadł do gustu. W sposobie mówienia, w całej jego powierzchowności, w postawie było coś takiego, że Ganszyn aż się wzdrygał. Dziwił się Antarianowi, który nie tylko mógł współżyć z tym typem, ale nawet traktował go z wyraźnym szacunkiem.

- To znakomity fachowiec, Kola - powiedział Aszot. -Znakomity. No a charakter... Nikt u nas tutaj nie jest aniołem. Ostatecznie nie bez powodu mnie, psychologa, zatrudniono w Służbie. No i jakoś współżyjemy ze sobą. i możesz wierzyć, że jest nam tu całkiem nieźle.

Kłótnia wybuchła całkiem niespodzianie i Ganszyn, zajęty rozmową z Aszotem i degustacją sałatki z krabów (naturalnych, nie syntetycznych), nawet nie zorientował się, o co chodzi. Słyszał co prawda mimochodem, jak Julka wyciągała jakieś informacje od doktora Wilka, którego nazywała już po prostu Ryśkiem. Wilk, spragniony damskiego towarzystwa i zachwycony Julką, która tak interesowała się ich pracą, opowiadał jej o „łysieniu autostrad”,

bo właśnie zajmował się obserwacją tego zjawiska. A Julka, spryciara, wytrzeszczała oczy, cała zamieniona w słuch, nawet odrobinę wysunęła język, jak uczennica pochłonięta ściąganiem.

Właśnie wówczas Jansen wtrącił się do rozmowy, i to od razu podniesionym głosem, jakby kontynuował dawny spór.

No i co z tego? Po co te jęki? On, Jansen, zupełnie nie pojmuję, czym się tu podniecać. No, owszem, autostrady łysieją. Las ginie... i co z tego? To rzecz naturalna. Od pierwszej chwili, gdy człowiek stał się człowiekiem, zaczął tworzyć wokół siebie nowe środowisko, i od tejże chwili przyroda skazana była na zagładę. Jest to podyktowane prawami rozwoju naszej cywilizacji, tak samo obiektywnymi jak prawa Newtona. Bo nasza cywilizacja jest cywilizacją techniczną.

Agonia przyrody? i co z tego? Przecież na jej miejsce pojawi się inna, która będzie jedynym naturalnym środowiskiem człowieka. Weźmy na przykład sputnik. Gdzie tu przyroda? Nie ma jej. A on, Jansen, żyje tu już trzy lata i jak dotąd nie uskarża się na to.

Julka usiłowała zaprotestować, poparł ją ów sir earl i jeszcze jeden ze świadków rozmowy, którego nazwiska Ganszyn nie zapamiętał. Ale Jansen upierał się przy swoim i trudno było zaprzeczyć logice jego wywodów, chociaż zawziętość, złość, z jaką mówił, mimowolnie budziła niechęć, bo była trudna do wytłumaczenia, jak gdyby ów abstrakcyjny spór poruszył jakieś głęboko osobiste, intymne, bolesne uczucia Jansena.

I kiedy Jansen zaczął podniesionym głosem barwnie opisywać wspaniałą przyszłość ludzkości, liryczną scenkę z życia dwudziestego drugiego wieku, miłosną schadzki pary odzianej w eleganckie skafandry, leżącej na polietylenowym wzgórzu nad brzegiem tęczowego, naftowego oceanu, Ganszyn poczuł, że dłużej nie może tego słuchać. Zbierało mu się na wymioty. Wstał i razem z Aszotem wrócili do kabiny. Stracił z oczu Julkę, która znów znikła z kimś, żeby zaspokoić swą nienasyconą ciekawość.

Na pokład „Arabelli” wrócili dopiero na pół godziny przed rozpoczęciem swego siedemdziesięciminutowego dnia roboczego.

Przez następne trzy doby musieli jednak poważnie przyłożyć się do pracy, bo oprócz wymiany uszkodzonych ogniw baterii słonecznych - kwadratowych, dziesięć na dziesięć metrów, płócien pokrytych arsenkiem galu - trzeba było jeszcze przygotować stację do kolejnego przeglądu. Zmęczeni się niezgorzej, a w dodatku Ganszyn czuł się dotknięty zupełną obojętnością Julki. Właściwie miał to w nosie, ale jego ambicja została nieco urażona.

W sobotę wieczorem- Julka nagle zamknęła się sama w kabinie, a gdy po godzinie wyszła, Ganszyn aż jęknął: gdzie podziała się jego „pierwsza naiwna”? Zamiast niej pojawiła

się młodziutka księżniczka, przed którą człowiek mimo woli chciał przykleknąć, zaszalutować szpadą... Jak udało jej się zabrać ze sobą taką sukienkę i jeszcze przyczepić namagnesowane podkówki do srebrzystych pantofelków z jakimiś niezwykłymi, błyszczącymi klamerkami? Co robiła kontrola na kosmodromie?

Okazuje się, że to niewinne stworzenie umówiło się z Jansenem, że za godzinę zjawi się u nich z rewizytą. Znakomicie! Szczególnie, jeśli wziąć pod uwagę, że Ganszyn, jej bezpośredni zwierzchnik, nic o tym wszystkim nie wiedział.

- A czy pani inżynier słyszała o czymś takim jak dyscyplina?

Zirytowany Ganszyn nałożył skafander i wszedł do śluzy. Już wczoraj popsuł się mechanizm zewnętrznych drzwi. Może zresztą tylko tak się wydawało, ale Ganszyn postanowił dla uspokojenia własnego sumienia wszystko dokładnie sprawdzić. Dłubał w tym mechanizmie jakieś pół godziny, znalazł defekt, ale nagle - Bóg wie, w jaki sposób - wypadł mu z rąk uniwersalny śrubokręt i w dodatku zabezpieczająca linka ześlizgnęła się z karabińczyka. Śrubokręt, jak małeńka srebrzysta rybka, uleciał gdzieś w kosmos, i nie było większego sensu go łapać, tak jak i złościć się na Julkę. Ganszyna o mało szlag nie trafił. Przecież o tym głupstwie trzeba teraz wszystkim zameldować, bo jest to „wypadek siódmej kategorii” i komputer służby astronawigacyjnej, biorąc pod uwagę siłę i kierunek, w jakim został rzucony śrubokręt, określi hipotetyczną orbitę tego nieszczęsnego przedmiotu i zarejestruje go w Katalogu Genewskim pod numerem, powiedzmy, 11788493, gdzie będzie figurował do tego czasu, aż dostanie się w trał Służby Oczyszczania i sortujący śmieci pracownik zamelduje, gdzie trzeba, że uniwersalny śrubokręt ze znakiem takiej to a takiej fabryki oddany został na wysypisko śmieci „Lagrange-2”... Ganszyn zamknął klapę mechanizmu drzwi i usiadł na luku zwieszając nogi na zewnątrz. Taka poza wydawała mu się bardziej naturalna, niewymuszona.

Siedział więc tak, patrząc, jak daleko w dole wolno pełzną światła ni to międzyorbitalnego holownika, ni to śmieciarki - w takich subtelnościach kiepsko się orientował. Potem spojrział na zegarek: już był czas, żeby pojawił się Jansen. i w tymże momencie zobaczył trzy światełka, czerwone, zielone i pulsujące białe, które mknęły w jego kierunku. Jansen rzeczywiście był asem małego pilotażu, jego skuter zbliżał się prosto do otwartego luku kesonu. Tylko dlaczego nie zmniejsza szybkości? Hamuj, hamuj, bałwanie ! Chcesz nam zaimponować takim podejściem?

Ganszyn nie wiedział, kiedy dotarło do jego świadomości, że Jansen nie zdąży już zahamować. Albo coś stało się z silnikiem, albo... Ganszyn dał maksymalny impuls, uskoczył w bok, potem nastąpiło zderzenie, zakreśliło nim, poniosło, obiema rękami wczepił się w ramę skutera i tylko naciskał, naciskał klawisz swego silniczka umieszczonego w tornistrze na

plecach. Chwilę później zrozumiał, że udało się, że burta „Arabelli” wyślizguje się spod nich, a więc jednak uniknęli najgorszego. Zapewne na parę sekund stracił przytomność, bo ujrzał nagle światła pozycyjne stacji hen daleko. Ból nieco ustąpił i Ganszyn zdołał przedostać się do pulpitu sterowniczego skutera. Silnik pracował. Ale Jansen był nieprzytomny.

Ganszyn przycupnął z boku na ramię skutera i skierował go w stronę stacji, przy okazji błogosławiąc los, że w czasie tej jazdy z przeszkodami nie zostały zerwane baterie słoneczne. To by dopiero była robota! Potem przetransportował Jansena do śluzy, jakoś ściągnął z niego skafander i dopiero wtedy zrozumiał nagle, że Jansen nie żyje.

Postawiono wszystkich na nogi, bo śmierć to „wypadek pierwszej kategorii”. Po czterdziestu minutach przybył Aszot, potem zjawił się ze sputnika-bazy lekarz, który skonstatował jedynie to, co i tak było oczywiste. Nie można było przeprowadzić sekcji zwłok na „Arabelli” i ciało (teraz już po prostu ciało) zabrane zostało na sputnika-bazę, skąd najbliższy prom powinien był zabrać je na Ziemię. Julka w jakiejś nienaturalnej pozycji zastygła w kącie kabiny. Patrzyła przed siebie niewidzącymi oczyma i Ganszyn nie zdecydował się podejść do niej. A kiedy Aszot spróbował się do niej odezwać, niezbyt głośno, lecz bardzo wyraźnie powiedziała:

- A więc jednak ona go zniszczyła...

- Kto - ona?

- Nieważne. Teraz już nieważne. A wy, wy również...

Julka nagle zerwała się na równe nogi - mój Boże, jakże nie na miejscu była teraz ta jej sukienka i te pantofelki z błyszczącymi klamerkami! - przytuliła się do Aszota i zapłakała, zupełnie jak mała dziewczynka, chlipiąc i siąkając nosem, i Ganszynowi stało się jakoś lżej na duszy.

- Aszot - szeptała Julka - przecież pan jest psychologiem, Aszot, jak pan mógł... Przecież on... był załamany. A pan... pan powinien go być... na Ziemię. Już dawno... na Ziemię... A teraz...

Potem jakoś uspokoiła się, wypijała jakieś lekarstwo, które podał jej lekarz ze sputnika-bazy, i Ganszyn ułożył ją w hamaku w kabinie, gdzie zasnęła w tej swojej sukni z wysokim, stojącym kołnierzem.

Musieli jeszcze dwa dni zatrzymać się na „Arabelli”, bo nazajutrz przybył z Ziemi starszy inspektor kosmicznego oddziału Interpolu, szalenie ugrzeczniony i towarzyski, ni to Hindus, ni to Nepalczyk, o nazwisku Rahis Badhidarma. Przysłano go dlatego, że Jansen, jak wykazała sekcja zwłok, umarł na asfiksję, mimo iż zbiornik był nie uszkodzony i pełen tlenu. Inspektor przesłuchiwał Ganszyna, który potem swoje zeznanie musiał powtórzyć na Ziemi. Upłynęło wiele czasu, zanim Ganszyn zrozumiał, że cała sprawa polegała na wskazaniach

manometru. Mały mikrometeoryt, któremu starczyło siły jedynie na przebicie obudowy manometru i zablokowanie kanału, ten mikrometeoryt zabił Jansena, dlatego że manometr pokazywał zero przy pełnym zbiorniku, a Jansen nie mógł nie uwierzyć przyrządowi, obiektywnemu rejestratorowi drugiej przyrody, i wypadek ten opisany teraz będzie we wszystkich podręcznikach kosmopsychologii i kosmomedycyny, gdzie zarejestruje się go jako „syndrom Jansena” lub coś w tym rodzaju.

Stopniowo Ganszyn zaczął zapominać o tej historii, o człowieku tak wierzącym w drugą przyrodę, że przypłacił to życiem, i tylko czasami męczyło go pytanie: kogo, co miała wówczas na myśli Julka? „A więc jednak ona go zniszczyła...” Kto - ona? Druga przyroda? Czy fanatyczna wiara w nią? Ale chociaż niekiedy spotykał Julkę w Zarządzie, nigdy nie zdecydował się o to zapytać.

Kirył Bułyczow
Miejsce dla smoka

1

Pawłysz obudził się sam, zanim wezwano go do sterówki. Obudził się, gdyż pracowały silniki pomocnicze. Jeśli się nie mieszka przez długie miesiące we wnętrzu gigantycznego bąka, który z niezmierną prędkością wwierca się w pustkę, niemal nieuchwytnie dudnienie silników manewrowych może ująć uwagę. Jednak Pawłysz usiadł na koi i nie otwierając oczu wyteżył słuch. A po 10 sekundach intercom odezwał się głosem kapitana:

- Pawłysz, proszę do mnie.

Kapitan powiedział to sucho i szybko, jakby oderwał się od swoich spraw, żeby powiedzieć tylko te cztery słowa.

Znów trzask membrany. Cisza. Tylko alarmująco, dokuczliwie jak ledwie słyszalna syrena alarmowa, dudnią silniki pomocnicze - statek zmienia kurs.

Na stanowisku nawigacyjnym w sterówce paliło się już światło, a Gleb Bauer siedział nad otwartym atlasem gwiezdny. Kapitan stał przy pulpicie i słuchał przez intercom raportu pierwszego mechanika. Potem powiedział:

- Trzeba zrobić tak, żeby starczyło. Nie możemy sobie pozwolić na spóźnienie.

- Cześć, doktorze - powiedział Gleb.

Pawłysz zajrzał mu przez ramię i na rozkładówce atlasu gwiezdny dostrzegł stereoskopowe zdjęcie planety. Przez wiry cyklonów przebijały błękitne i zielone plamy.

- Co się stało? - zapytał cicho, żeby nie przeszkadzać kapitanowi w rozmowie.

- Zabieramy chorego. Pilne wezwanie - odparł Bauer. Kapitan wystukiwał na klawiaturze kalkulatora dane, które przekazali mu mechanicy.

- Powinno się udać - powiedział wreszcie.

Odszedł od pulpitu i wskazał Pawłyszowi sfatygowany „kapitański” fotel, w którym sam nigdy nie siadał, ale zawsze proponował podwładnym. „Znaleźć się na fotelu” oznaczało poważną i nie zawsze przyjemną rozmowę.

- Zechce pan usiąść i przeczytać, co od nich dostaliśmy. Wprawdzie niewiele tego, ale wystarczy, żeby zorientować się w sytuacji.

Pawłysz zaczął wertować niebieskie taśmy grawigramów.

„Baza 14 do statku kosmicznego «Segeża». Pilne. Stacja na Klerenie prosi o pomoc lekarską. W sektorze prócz was nie ma nikogo. Informujcie o waszych możliwościach”.

Drugi grawigram:

„Baza 14 do statku kosmicznego «Segeża». Pilnie Informujemy, że łączność z Klereną jest słaba i niepewna. Szczegółów nie znamy. Podajemy sygnał wywoławczy stacji. Jeśli nie

zdołacie udzielić pomocy, zawiadomcie bazę".

Następnie szły depesze z Klereny.

„Cieszymy się, że nawiązaliście z nami łączność. Mamy rannych, lekarz w ciężkim stanie. Wskazana ewakuacja. Stacja posiada kuter ratowniczy. Możemy spotkać was na orbicie".

W dalszych grawigramach Klerena podawała miejsce i czas spotkania, a następnie informacje dotyczące bezpośrednio Pawłysz.

„...Na wasze pytanie o stan reszty chorych informujemy, że damy sobie radę sami. Propozycję przysłania lekarza przyjmujemy z wdzięcznością. Pracujemy w trudnych warunkach. Szczegółowy raport przyślemy kutrem”.

Kapitan dostrzegł, że Pawłysz kończy już czytanie ostatniej kartki.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział - że nie obudziłem pana od razu. Pomyślałem, że pan nie odmówi. Dodatkowe pół godziny snu to dla nas królewski dar.

Pawłysz skinął głową.

- Zresztą na odmowę jeszcze nie jest za późno...

- Jeśli się wahasz - wtrącił Bauer - z przyjemnością cię zastąpię. Bardziej wyglądam na lekarza niż ty.

- Kiedy mamy spotkanie z kutrem? - zapytał Pawłysz.

- Dziś wieczorem. O dwudziestej dwadzieścia.

- A co do charakteru ran doktora... o jakich trudnościach oni mówią?

- Za pół godziny ponownie nawiążemy łączność. Milos poradzi sobie tu bez ciebie?

- Latem był na kursie. Zresztą mamy znakomitą aparaturę i stałą łączność z bazą, która zawsze może udzielić rady.

- Tak też sądziłem - powiedział kapitan z ulgą w głosie.

- Jak długo tam będą? - zapytał Pawłysz.

- Około dwóch miesięcy - odparł kapitan. - Jeżeli będzie bardzo źle, zwiniemy stację.

Gdy tylko nadeszła wiadomość, że kuter wystartował z planety, Pawłysz pospieszył do służby przejściowej. Na odebranie rannego i wejście na kuter miał zaledwie 6 minut. Bauer szedł z tyłu, toczył pojemnik z medykamentami i rzeczami niezbędnymi na stacji i głośno zazdrościł. Za nim dreptał Milos i powtarzał niczym lekcję: „Druga szuflada z lewej, w prawej przegródce...” Lękał się nie tego, że zapomniał, jak trzeba leczyć, lecz raczej tego, że zapomni, gdzie co leży.

- On ci w razie czego pomoże - powiedział Pawłysz, nie odwracając głowy.

- Kto?

- Twój pacjent. Przecież to lekarz.

... Kiedy pokrywa wjazdu odsunęła się w bok i dwaj mężczyźni w zniszczonych, niebieskich niegdyś kombinezonach, wtoczyli nosze, Pawłysz natychmiast zrozumiał, że ten pacjent jeszcze nieprędko zacznie podpowiadać Milosowi, jak go trzeba leczyć.

W białej masie bandaży ziała szeroka szczelina na oczy i wąska na usta. Oczy były otwarte i znieruchomiałe, jakby w przerażeniu. Pawłysz przesunął nad nimi dłoń, bo wydało mu się, że człowiek nie żyje. Ale wąska szczelina w bandażach drgnęła, człowiek zauważył gest.

- Nie jest tak źle - powiedział cicho. - Nie jest źle...

Kapitan, który obserwował tę scenę na monitorze telewizyjnym w sterówce, pojął, że Pawłyszowi trudno jest wejść na kuter zostawiając na statku chorego.

- Idź, Sława - powiedział. - Jeśli będzie trzeba, wywołamy bazę.

Nosze stały w przejściu. Ludzie w kombinezonach czekali.

- Tam... - zaczął lekarz. Był przytomny, ale mówienie sprawiało mu ból, a utrzymywanie się na powierzchni świadomości przychodziło z niewiarygodnym trudem. Zdawał się czepiać krawędzi rzeczywistości, wisieć na niej koniuszkami palców - chciał powiedzieć coś ważnego...

- Idziemy - powiedział jeden z przybyszów. Był ogromny. - Bo nie zdążymy.

- Tu jest list - powiedział drugi mężczyzna, niższy i bardzo chudy, bo kombinezon wisiał na nim jak na kołku, i podał Milosowi dużą niebieską kopertę. - Tylko tyle zdążyliśmy przygotować. Sprawozdanie i dane z obserwacji.

Milos wziął kopertę, ale wyglądało na to, że nie wie, co z nią począć. Bauer odebrał mu ją.

Pawłysz położył rękę na ramieniu Milosa.

- Bierz się do roboty - powiedział. Ranny był nieprzytomny.

3

„Ci ludzie muszą być bardzo zmęczeni - myślał Pawłusk. - Albo po prostu im się nie spodobałem". Kuter wszedł w wysokie chmury. Sterował olbrzym. Był wręcz fantastycznie brudny, i chociaż drugi mężczyzna, chudy, również był fantastycznie brudny, to gdyby urządzić im zawody, wygrałby jednak pilot. Pawłusk pomyślał, że pilot musi mieć na planecie perfidnego wroga, który z samego rana wykąpał go w błocie. A może tam u nich nie ma wody i w dodatku potłukły się wszystkie lustra?

Olbrzym chyba się domyślił, o czym myśli nowy lekarz, bo odwrócił się i powiedział:

- Koszmarne widoki, prawda? - Błękitne oczy na tle umorusanej twarzy wyglądały jak porcelanowe.

Pawłusk nie ośmielił się zaprzeczyć.

- Nie przedstawiliśmy się sobie. Jestem Jim - powiedział ogromny pilot.

- Leskin - odezwał się chudy, który prawie leżał w fotelu. Oczy miał zamknięte.

- Władysław Pawłusk. Sława - i powiedziawszy to Pawłusk poczuł, że chyba zbyt wcześnie na poufałość.

- Doktor Pawłusk - powiedział Leskin. - No cóż, bardzo nam przyjemnie.

- Co dolega chorą? - zapytał Pawłusk.

- Różne rzeczy - odparł pilot Jim Leskin ponownie zamknął oczy. - Leopold ma złamaną nogę. Duża Tatiana - febrę. Pozostali - rozmaicie. Do koloru, do wyboru...

- A pan? - Pawłusk od razu chwycił byka za rogi.

- Ja? - pilot zmieszał się i popatrzył na Leskina, ale nie uzyskał od niego pomocy. Wówczas puścił dźwignię steru i zakasał rękaw powyżej łokcia. Spod kombinezonu wyłoniła się głęboka, jeszcze nie zagojona rana, jakby od ciosu siekierą. - A na febrę chorowałem już dwa razy - pocieszył skwapliwie Pawłuska.

- Jim, nie strasz doktora - powiedział Leskin wysokim, i nieco histerycznym głosem.

- Zajmę się panem zaraz po wylądowaniu - powiedział Pawłusk. - Po dwóch dniach nie będzie nawet śladu.

Przy tych słowach Leskin zupełnie się ocknął i powiedział mentorskim tonem:

- Jest pan nietaktowny, młody człowieku. Streszny to świetny lekarz.

- Ani przez chwilę w to nie wątpiłem.

- A ja powtarzam, że Streszny jest doskonałym lekarzem i robił wszystko, co w ludzkiej mocy... Natomiast pan, nie znając naszych warunków...

Pawłusk już zamierzał ostro zareagować, gdyż uważał siebie również za niezłego

lekarza, ale przygryzł język. Zrozumiał, że przez Leskina może przemawiać zwyczajna zazdrość. Streszny był jego przyjacielem, a Pawłysz występował w roli smarkatego lejtnanta, przysłanego do plutonu, którego uwielbiany dowódca został wczoraj ranny.

Leskin miał długą, zmiętą twarz z miękkim, obwisłym nosem, ale to było wszystko, co dawało się dostrzec pod grubą warstwą błota, nadającego mu wygląd Indianina wkraczającego na wojenną ścieżkę.

- Mamy słabiutki nadajnik - spróbował zmienić temat pilot Jim, który najwyraźniej był człowiekiem dobroduśnym, co w ogóle jest cechą olbrzymów. - Ekspedycyjny, wariant drugi. Ucieszyliśmy się, że do nas lecicie. Baliśmy się, że doktor nie wytrzyma. A ten wasz młodzieniec zna się na rzeczy?

- To trzeci mechanik - powiedział Pawłysz. - Jego drugą specjalnością jest chirurgia.

Nie chciał się ze swymi nowymi znajomymi dzielić własnymi niepokojami i obawami.

Kuter znieruchomiał. Fotel znów przylgnął do pleców. Pawłysz namacał na piersi sprzączkę pasa. Leskin wyciągnął rękę w szarej rękawiczce, chcąc mu pomóc. Pilot Jim już wstał ze swego miejsca i opuścił żaluzję na pulpit.

- Serdecznie witamy w naszych skromnych progach - powiedział. - Na szczęście mży...
Stojąc obok niego Pawłysz czuł się jak liliput. Leskin wziął torbę Pawłysza.

- Proszę zaczekać - powiedział - wyjdą nam na spotkanie.

Rozległo się stukanie w drzwi. Trzykrotne. Jim cofnął się na rufę, aby otworzyć właz ładunkowy. Leskin powiedział:

- Proszę nie marudzić.

Pawłysz przekroczył próg, a Leskin, podtrzymując go pod rękę tak energicznie, jakby miał ochotę odciągnąć go na bok. poprowadził do łazika, stojącego o trzy kroki od kutra. Właz łazika był otwarty na oścież. Stał na nim szczupły chłopak, umorusany jak wszyscy pozostali, gapił się w niebo i nie zwracał najmniejszej uwagi na Pawłysza. Jim wyciągał pojemnik ładunkowy, Pawłysz chciał mu pomóc, ale tutaj najwidoczniej nie wolno było tego robić, gdyż Leskin wepchnął go do łazika, zwykłego ekspedycyjnego łazika, zagospodarowanego jak przytulny dom. Pawłysz zerknął nawet na drugi od włazu haczyk, gdzie powinna wisieć jego kamera, jak to było jeszcze w zeszłym roku.

Jim z chłopaczkiem wpychali do wnętrza nieporęczny kontener, co nie było proste. Spieszyli się. Leskin usiadł przy otwartym górnym włazie, wyglądał na zewnątrz i milczał.

Kiedy pojemnik znalazł się już w środku, malutki kierowca zwrócił się do Pawłysza i powiedział głębokim, pięknym głosem:

- Dzień dobry, doktorze. Jestem Mała Tatiana.

Pawłysz przedstawił się, z największym trudem powstrzymując się od uwagi, że nigdy jeszcze dotąd nie widział tak brudnej kobiecej twarzy.

Mała Tatiana sprawnie zajęła miejsce kierowcy i ruszyła tak gwałtownie z miejsca, że Pawłysz omal nie wyrznął głową w swój ulubiony hak. Pomyślał, że nie zdążył nawet zauważyć, jaka tu jest pogoda. Łazik podskakiwał na wybojach. Załoga stacji nie bawiła się w budowę drogi.

5

Łazik jechał chwilę po równym, a potem gwałtownie się zatrzymał. Światło za iluminatorami zmieniło się, stało się ciepłe, żółte.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Tatiana.

Pawłysz zauważył, że jego towarzysze podróży natychmiast rozluźnili się, jakby znikło napięcie, które dotychczas im doskwierało.

- Niech pan mi pomoże wyładować pojemnik - powiedział Jim. - Szkoda byłoby rozbić coś teraz, kiedy znaleźliśmy się w domu.

- Słusznie - zgodził się Pawłysz. - Zwłaszcza że w środku są śledzie i czarny chleb.

- Śledzie - ucieszył się Jim. - W takim razie sam poniosę kontener niczym skąpy rycerz swój ukochany kuferek. - Najwidoczniej pilot miał słabość do przysłów i porzekadeł.

Tatiana otworzyła włącznik i tym razem nikt nie zabraniał Pawłyszowi wyjść na zewnątrz.

Łazik stał w garażu, zbudowanym solidnie, jak bastion twierdzy. Drzwi były zamknięte. Garaż był jasno oświetlony i na pierwszy rzut oka widać było, że jest wygodny, a nawet przytulny, jak bywają przytulne pracownie lub warsztaty, których gospodarze nie troszczą się o opinię otoczenia, lecz po prostu mieszkają tam i pracują.

Przed łazikiem stała szczupła kobieta z krótkimi, puszystymi, wijącymi się ciemnymi włosami, które opadały jej grzywką na czoło. Miała drobniutką twarz z ostrym podbródkiem i wielkimi oczyma, a kąciki jej pełnych warg były odrobinę uniesione do góry. Była widocznie pedantyczną czyścioską, bowiem ani na kombinezonie, ani na twarzy, ani na wąskich dłoniach Pawłysz nie dostrzegł najmniejszej skazy. „Wody mają tu pod dostatkiem” - stwierdził w duchu.

- Doktor Pawłysz? - zapytała, ale nie czekała na odpowiedź. - Dzień dobry. Nazywam się Nina Rawwa. Jestem kierownikiem stacji. Zajmie pan pokój, w którym dotychczas mieszkał Streszny. Proszę odpocząć, a potem zjemy razem obiad.

- Dziękuję - odparł Pawłysz, z największym trudem zwalczając w sobie chęć wyznania, że niezmiernie miło jest ujrzeć nareszcie czystego człowieka.

Coś załomotało po dachu, jakby na garaż zwała się lawina kamieni. Zadrżały lampy, a jedna z nich pękła i rozsypała się.

Wszyscy znieruchomieli, a „lawina” nadal waliła w strop.

- Co to? - zapytał Pawłysz, ale nikt go nie usłyszał.

- Idziemy! - krzyknął Jim. - On teraz długo będzie tak hałasował.

- A nie mówiłem - powiedział Leskin - żeby pomalować dach na zielono!

- Należałoby... - zaczęła Mała Tatiana, ale Nina jej przerwała.

- Ani mi się waż. - Doskonale się rozumiały.

Pawłysz zwrócił uwagę na szeroki plaster, zakrywający niemal całe czoło Tatiany i kiedy odprowadzała go do jego pokoju, powiedział:

- Jeśli pani również ma jakieś zadrapanie, to proszę do mnie zajrzeć, bo może się zaognić.

- Już się prawie zagoiło - odparła Tania, lecz Pawłysz jej nie uwierzył.

- A w ogóle to blizny zdobią dzielnych zwiadowców. Zupełnie nie rozumiem Niny, która zapuściła sobie grzywkę, żeby nikt nie widział śladu smoczych pazurków. Dobrze przynajmniej, że nie straciła oka.

Zatrzymali się przed drzwiami.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Tania. - Tu mieszkał Streszny. Tylko proszę niczego nie przekładać. Doktor tego panu nie daruje. Jest pedantem.

6

- Obiad będzie za pół godziny - powiedziała Tatiana. - Przechodziliśmy obok jadalni. Trzecie drzwi stąd. Zapamięta pan?

- Dziękuję. A gdzie jest szpital?

- Nina wszystko panu opowie. Proszę się nie lękać o chorych. Gdyby tylko o nich chodziło, nie prosilibyśmy o pomoc. Będą następni - zakończyła z przekonaniem i natychmiast zmieniła temat - w szafie są rzeczy Stresznego. Może ich pan używać, on nie będzie miał tego za złe. Tam jest moskitiera i tak dalej.

Gdy Tatiana wyszła, Pawłysz postanowił się przebrać. Przyleciał w niebieskim codziennym mundurze Służby Kosmicznej i wyglądał teraz jak papuga wśród wróbli. Rozpakował torbę, wyjął mydło, szczotkę. Po umywalce nerwowo biegały malutkie owady, podobne do czarnych mróweczek. Spłukał je strumieniem wody, umył się i podszedł do okna. Przez kratę widać było zbocze wzgórza, na którego szczycie wznosiła się stacja. Na zboczu, zbiegającym w dół, ku lasowi, rosły niskie krzewy, między którymi stały rzadko krępe drzewa. A dalej, aż do horyzontu, rozciągała się smętna, szarozielona równina. Daleko, daleko w mgiełce majaczyło jeszcze jedno wzgórze. O jakieś trzy kilometry od stacji płynęła przez równinę rzeka, odbijając jasne, sinawe chmury, półprzezroczyste, przepuszczające światło słoneczne. Dzięki temu wszystkie przedmioty rzucały lekkie, rozmyte cienie, a same stawały się bezcielesne i nie-ważkie. Placyk przed stacją był pusty i tylko na samym jego skraju, nad stojakiem jakiegoś przyrządu, unosił się rój owadów.

W kabinie pozostawały ślady bytności Stresznego. Na stoliku leżały książki, luźne kartki papieru, kasety. W kącie poniewierał się zwinięty w kłębek brudny kombinezon, ale łóżko było porządnie zasłane.

Na biurku królowała gruba księga w zielonej okładce. Pawłysz otworzył ją. Doktor, jak się okazało, był konserwatystą. Nie dość, że pisał pamiętnik, w dodatku pisał go piórem! Pismo Stresznego wydało się Pawłyszowi wyraźne, niemal kaligraficzne.

Oczy mimowolnie przebiegły pierwsze linijki:

„... Mój dziennik nie może przedstawiać wartości naukowej ani literackiej. W najlepszym razie jest to środek do uporządkowania własnych myśli ...”

Pawłysz zatrzasnął pamiętnik. Nikt go nie upoważniał do czytania.

W tym samym momencie zorientował się, że minęło już czterdzieści minut. Nieładnie. Wszyscy zebrali się w jadalni, nowy człowiek na odległej stacji zawsze jest wydarzeniem, trzeba będzie odpowiadać na mnóstwo pytań, a przecież nie zawsze się wie, co nowego grają w Teatrze Wielkim i czy zakończono już budowę kopalni na Księżycu. Pawłysz przejrzał się

w lustrze. Lekarz powinien dawać przykład - musi być zadbany, ogolony, porządnie ubrany.
Wtedy rozległa się eksplozja.

Stacja zakołysała się. Ktoś przebiegł korytarzem i zrobiło się cicho.

Jadalnia była pusta. Ludzie opuścili ją w pośpiechu, bo czyste talerze stały na stole, spod pokrywki wazy sączyła się para, krzesła byty odsunięte, jedno z nich przewróciło się i nikt go nie podniósł...

- Ciągłe te sekrety! - burknął zirytowany Pawłysz, stawiając krzesło na miejsce. - Zagadki, tajemnice, błędni rycerze. Zaraz okaże się, że zostałem tu sam, a pozostali zniknęli bez śladu.

W pustym pomieszczeniu głos zabrzmiał sztucznie i pretensjonalnie, Pawłysz więc zamilkł. Postać kilka chwil, nadstawiając ucha, a potem opuścił jadalnię i ruszył korytarzem w stronę wyjścia do garażu.

Stacja była niewielka, lecz sprawiała wrażenie rozległej z powodu mnóstwa drzwi, zakamarków i nisz, laboratoriów, magazynów oraz izdebek o niewiadomym przeznaczeniu. Pawłysz zatrzymał się przed drzwiami większymi od pozostałych, które, jak sądził, wiodły do garażu. Odrzwia były zamknięte od środka na solidny rygiel własnej roboty. Odsunął go z wysiłkiem i przekonał się, że był w błędzie: drzwi prowadziły na dwór. W twarz uderzył go powiew ciepłego, wilgotnego powietrza wypełnionego brzęczeniem owadów. Pawłysz zrobił krok do przodu, ale w tej samej chwili ktoś brutalnie chwycił go za ramię i szarpnął do tyłu.

Leskin zasuwiał rygiel.

- Zwariował pan? - zapytał bezceremonialnie.

- Przepraszam - odparł Pawłysz - ale jeszcze nie poznałem miejscowych zwyczajów.

- Jeśli zamierza poznawać je pan w ten sposób - niedługo pan pożyje - oświadczył Leskin. Ku zdumieniu Pawłysza umył się i okazał się teraz całkiem statecznym mężczyzną około pięćdziesiątki, z twarzą pobrużdżoną tak głębokimi zmarszczkami, jakby natura rzeźbiła je stolarskim dłutem, a nie delikatnym rylcem.

- W najlepszym razie napuściłby pan pełną stację komarów - kontynuował Leskin. - Pozarażałby pan wszystkich febrą i siebie przede wszystkim. Proszę się nie obrażać, tylko przyzwyczajając. Niebawem widok otwartych drzwi również i w panu zacznie wzbudzać przerażenie. Szukał pan jadalni?

- Nie! Stołowników!

- Stołownicy są w garażu. Obiad się spóźni. Chciałem pana o tym zawiadomić.

Okazało się, że drzwi od garażu są obok.

- Proszę wejść - powiedział Leskin już bardziej przyjaznym tonem - oni zaraz wrócą.

Garaż był pusty. Łazik zniknął. Leskin coś usłyszał i pospieszył w stronę dźwigni otwierającej bramę wjazdową.

- Proszę się nie bać, doktorze - powiedział.

Pawłysz nie wiedział, czego się ma bać, ale na wszelki wypadek cofnął się pod ścianę.

W rozsuniętych wierzejach garażu ukazała się tępa maska łazika. Pojazd toczył się wolno, z godnością, niczym drwał wracający do domu z porządnym kawałem drewna. Równie uroczyście przetoczył się przez cały garaż i zatrzymał się dopiero pod ścianą. Holował za sobą ogromne szare cielsko, z którego zwisały dwie czarne szmaty wielkości żagli fregaty.

Na tle białego prostokąta wrót tańczyły dwie ludzkie figurki. Wyglądały jak kukiełki w teatrze cieni. Wymachiwały rączkami, biegały, podskakiwały. Coś wielkiego i ciemnego zasłoniło na moment światło i natychmiast rozległ się trzask wystrzału. Ktoś uniósł dźwignię i drzwi zamknęły się, odcinając hałas i krzątaninę.

- Czy są wszyscy? - zapytała Nina. Twarz miała zasłoniętą czymś w rodzaju czarczafu. W ręku trzymała pistolet.

- Wszyscy - odparł Jim, zeskakując z łazika. - Policzyłem.

Mała Tatiana podeszła do szarego cielska i postawiła na nim nogę.

- Maharadża Hajdarabadu i upolowany przez niego tygrys ludojad. Gdzie jest fotograf?

- Tatiana, nie wygłupiaj się - powiedział Leskin. - Może on jeszcze żyje.

- Nigdy tygrys nie uchodził z życiem spod lufy młodego maharadży - zaproponowała Tatiana.

Zgubiła gdzieś plaster i całe czoło miała we krwi. Pawłysz zauważył to mimochodem, gdy same nogi poniosły go w stronę potwora rozciągniętego na posadzce. To był smok. W każdym razie nie potrafił znaleźć innego określenia. Smok miał łeb co najmniej metrowej długości, błyszczące żółte zębiska i groźne wytrzeszczone szkliste ślepie. Czarne żagle okazały się skrzydłami.

A więc tak wyglądał winowajca wszystkich kłopotów i nieszczęść, teraz powalony i zwyciężony.

- Ładny ptaszek - powiedział Jim do Pawłysza. - Nie widywałem go pan przedtem? Rozpiętość skrzydeł piętnaście metrów.

- Uchowaj Boże - powiedział Pawłysz. - Nie lubię takich znajomości.

Opodał stał niewysoki, łysiejący mężczyzna z pucołowatą poczciwą twarzą.

- To on was nękał? - zapytał go Pawłysz.

- Nękał? - jego sąsiad uśmiechnął się miękko, jakby przypadło mu do gustu samo brzmienie tego słowa. - Nękał. Delikatnie powiedziane! Jakby natrętny wielbiciel nękał swymi zalotami niewinną panienkę. Nie, on na nas polował. - Mężczyzna opierał się ciężko

na lasce.

- To znaczy, że można wam pogratulować?

- Tak, to jest pierwszy - powiedziała Nina, odrzucając czarczak z twarzy. - Poznajcie się: Leopold. Nasz sejsmolog i geofizyk.

- Spójrzcie - powiedziała Tatiana unosząc brzeg skrzydła. - Strzelałam do niego wczoraj i tu trafiłam.

- A co ze śmiertelnym strzałem maharadży? - zapytał Leopold, krzywiąc się z bólu. Noga mu widać dokuczała, bo trzymał ją uniesiona do góry.

Spod skrzydła wysuwała się łapa zakończona pazurami przypominającymi jatagany.

- Można byłoby zrobić kindżał - powiedział Jim. - Na Ziemi kolekcjonerzy dadzą za taki nożyk każdą cenę.

- Jeszcze będziesz miał czas na gromadzenie pamiątek - powiedziała Nina. - Tego zwierzaka potniemy na drobne kawałki, żeby dokładnie poznać jego anatomię.

Zerknęła na Pawłysz, dając mu tym do zrozumienia, że to już jego robota.

- A więc on nie jest jedyny? - zapytał Pawłysz. Pytanie rozbawiło obecnych.

- A niby z kim wojowaliśmy, kiedy łązik wjeżdżał do garażu? - zapytała Tatiana. - Tam pozostali jego pałający żądzą zemsty krewniacy.

Jakby na potwierdzenie jej słów znów rozległo się łomotanie w dach. Dudniło tak, że trzeba było porozumiewać się na migi. Solidny garaż trząsał się w posadach i Pawłysz zapragnął jak najszybciej znaleźć się za drzwiami wiodącymi do wnętrza stacji. Jim pogroził sufitowi pięścią, ale ten gest nie wywarł żadnego wrażenia na sprawcach hałasu. Leskin wyjął pistolet i uniósł jego lufę do góry. Nina chwyciła go za rękę. Wszyscy stali z zadartymi głowami i czekali na rozwój wypadków. Czekali niedługo, bo dach nie wytrzymał. Metal pękł i przez powstałą szczelinę trysnęło białe światło, a Pawłysz dojrzał żółte jatagany, drące grubą blachę niczym papier.

Niedługa, lecz hałaśliwa i zawzięta walka ze smokiem, który koniecznie chciał pomścić śmierć swego krewniaka, pozostawiła w pamięci Pawłysza urywane, chaotyczne wspomnienia. Podobnie bywa z człowiekiem, który usiłuje sobie przypomnieć kolejność wydarzeń w kłótni rodzinnej, ale nie może dociec, od czego właściwie kłótnia się zaczęła. Pamiętał, jak Leskin strzelał do góry, pamiętał, jak smok przeciskał się przez dziurę, starając się schwytać kogoś z ludzi cofniętych pod ścianę, pamiętał, jak Jim uruchomił hydrant przeciwpożarowy i strumień wody bijący w otwartą paszczkę zmusił potwora do rejterady. Zupełnie jednak nie pamiętał, co robił on sam w ciągu tych dwóch lub trzech minut, chociaż miał nadzieję, że nie wykazał szczególnego tchórzostwa.

- No i po wszystkim - powiedziała Nina, patrząc w szeroki otwór z postrzępionymi krawędziami, nad którym przewalały się niskie chmury. - Trzeba będzie dziś w nocy naprawić dach. Są ochotnicy?

- Ja to zrobię - powiedział Jim. - Nie potrzebuję pomocników.

- A ja? - zapytał Pawłysz.

- Pan będzie musiał zająć się tym - Nina wskazała smoka.

- Tylko proszę przypadkiem czymś się od niego nie zarazić! - ostrzegł Leskin.

- A teraz wrócimy do jadalni - powiedziała Nina - i przystąpimy do spożywania przerwane go posiłku. Leopoldzie, idź do lazaretu, doktor zajrzy do ciebie po obiedzie.

Pawłysz pobieżnie opatrzył ranę Małej Tatiany, która z jednakowym stoicyzmem znosiła ból i wyrzuty lekarza, a nawet zdążyła mu w trakcie zabiegu opowiedzieć, w jaki sposób upolowali smoka.

- To jeszcze doktor Streszny wymyślił. Przecież żadna broń nie robi im najmniejszej krzywdy. Można nawet trafić w głowę i nic z tego. To paskudztwo ma taki mikroskopijny mózdzek, że po prostu szkoda pocisków. Streszny wpadł na pomysł, żeby zrobić kukłę człowieka i zaminować ją. Smok przez trzy dni nie brał przynęty. Może one po prostu reagują tylko na ruchomy cel...

- Dużo ich tu jest? Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości, zaraz kończę.

- Nie szkodzi, jestem wytrzymała. One nie latają stadami. Już nauczyłam się je rozróżniać. Ten, którego wysadziliśmy w powietrze, jest stosunkowo niewielki. Ale bywają takie, że po prostu zasłaniają słońce. To chyba właśnie taki chciał się do nas dostać przez dach. Zazwyczaj krążą w niebie jak sępy i wtedy wcale się ich nie boję. Ale pikują jak kamień. Wystarczy sekunda i już są. Jeśli człowiek ubrany jest na czarno lub zielono, jeszcze można się uratować, ale każda jasna plama działa na nie, jak czerwona płachta na byka. Może

pan zauważył, że my nawet twarze smarujemy sobie błotem?

- Zauważyłem.

- To nie jest patologiczne zamiłowanie do brudu, tylko konieczność.

- A bez błota nie można się obyć?

- A co tu można jeszcze wymyślić? Nie mamy teatralnych szminek, skafandry są jasne. W takim stroju w ogóle nie można wychodzić poza stację. Próbowaliśmy zasłaniać twarze chustkami. Nina nadal tak robi, ale w tutejszym upale jedynie ona potrafi tak pracować. Błoto jest wygodniejsze.

- Możemy iść?

- Idziemy.

- Proszę siadać, doktorze - powiedziała Nina. - Najwyższy czas zapoznać pana z sytuacją.

Pawłysz posłusznie usiadł. Mała Tatiana pobiegła karmić chorych.

- Można odnieść wrażenie, że chcieliśmy pana umyślnie nastraszyć. To nie planeta, tylko jakiś koszmar - powiedziała Nina. - Powieść grozy. Pilne wezwanie z odległej stacji, tam jakieś nieznane siły zabijają dzielnych eksploratorów. Zjawiają się dwaj nieznajomi z noszami, następuje zagadkowa podróż nad przerażającym globem ...

Jim przyniósł garnek z zupą i napełnił talerze. Chochla w jego rękach wyglądała jak łyżeczka do kawy. Talerz też miał niecodzienny - widocznie woził go ze sobą - mieściło się w nim co najmniej trzy litry.

Tatiana wróciła z lazaretu i usiadła przy stole.

- Rozwiązanie tajemnicy kryło się w straszliwym potworze, który czyhał na spokojnych uczonych - powiedziała.

- I karmiono tego potwora młodzietkami aspirantkami - dodał Jim.

Leskin nie brał udziału w zabawie. Pochylił się nad talerzem i jadł metodycznie, solennie, niczym dorosły, który przypadkiem znalazł się na kinderbalu.

- Jak to się stało, że do tej pory nic nie wiadano o smokach? - zapytał Pawłysz.

- Sami się temu dziwimy - odparła Nina. - Pierwsza wyprawa nie wiadomo czemu nie wspomniała o nich nawet słowem. Wydaje mi się, że nad brzegiem morza, gdzie zwiadowcy rozbili obóz, była inna fauna i Inne problemy.

- Również nie zawsze przyjemne - dorzuciła Tatiana.

- Tak. A kiedy szukali miejsca na stałą stację, wpadło im w oko nasze wzgórze. Wówczas padały deszcze. Ulewy trwające od rana do wieczora. A podczas deszczu te stworzenia nie latają. Siedzą w swoich gniazdach.

- Teraz chodzimy tu z głowami zadartymi do góry - powiedziała Tatiana. - Dawniej było zupełnie inaczej, prawdziwy kurort. Kiedy skończyły się deszcze i przyszło ocieplenie, wybrałyśmy się z Niną na jakieś pomiary. Zostałam w łaziku, a ona wyszła na zewnątrz z aparaturą. Zupełnie nie mam pojęcia, w jaki sposób zdążyła zareagować. Siedziałam na miejscu kierowcy, a Nina nagle wskoczyła, zatrzasnęła właz, a on jak nie rąbnie w dach! Nie wiedziałam o co chodzi ... Pamiętasz Nino?

Nina skinęła głową, a Pawłysz pozwolił sobie na refleksję, że zwierchniczka stacji chyba nigdy nie chodziła po tej planecie tak beztrudnie, jak po deptaku uzdrowiska.

- W porządku - powiedziała Nina, gdy Tatiana skończyła swą opowieść. - Wszystko

jest jasne. Pawłysz już widział smoka. Ale mamy również inne problemy i najlepiej będzie się z nimi zapoznać od razu. Problemem numer dwa są komary. To nie komary, tylko harpie, dla mnie osobiście gorsze od smoków. Żądło długości centymetra przenika każdą tkaninę. Zaczynają na nas polować, gdy tylko zajdzie słońce. Kiedy pogryzą, człowiek zapada na febrę. I tak sobie żyjemy: w ciągu dnia smoki, nocą komary, a wskazania aparatów musimy przecież odczytywać przez całą dobę ...

- Proszę nie sądzić - powiedział Leskin, który już skończył swoją zupę - że my się skarżymy. Wszędzie bywają trudności.

- Wcale nie myślałem ...

- Chwileczkę. Z drugiej strony może pan zlekceważyć nasze problemy ze względu na lekkość, z jaką u nas, niestety, przyjęło się mówić o poważnych sprawach. Jeśli nie zdołamy podjąć skutecznych kroków zapobiegawczych, to nie wyobrażam sobie, czym się to może skończyć. Proszę jeść, zupa stygnie.

- On nie może - powiedziała Tatiana. - On myśli, w jaki sposób pozbyć się smoków. Wszyscy przez to przeszliśmy, doktorze.

Lazaret okazał się klitką nieco obszerniejszą od pozostałych. Pod jedną ścianą stały dwa łóżka. Jedno było zasłane, na drugim leżał Leopold. Po przeciwnej stronie, za parawanem, również stało łóżko. Spała na nim ciemnoskóra, kędzierzawa kobieta.

- Taniu, śpisz? - zapytał Leopold, kiedy Pawłysz skończył opatrywać mu nogę.

- Nie. Obudziłam się. Doktorze, chcę pana poznać - odezwał się słaby głos.

- Duża Tatiana miała gorączkę, wilgotne czoło i błyszczące oczy. Wargi na tle czekoladowej twarzy wydawały się jasnoniebieskie.

- Za godzinę zacznie się ostatni atak - powiedziała. - Już wiem, bo trzeci raz na to choruję. Ta febra jest punktualna jak zegarek. Za to nie boję się smoków, bo one nie napadają na czarnych.

- A w zeszłym tygodniu kto się na ciebie rzucił? Niedźwiedź?

- To był smok daltonista - odparła Tatiana i zerknęła kokieteryjnie na Pawłysza. Nowy doktor był w jej guście.

- Na półce powinien stać brulion Stresznego - powiedział Leopold. Tam jest historia choroby Tatiany.

Pawłysz sięgnął po brulion zapisany znajomym już charakterem i poczuł się tak, jakby przejął dyżur w klinice.

10

Kiedy Pawłysz dotarł wreszcie do garażu, smok był już rozciągnięty na podłodze -

bloniaste skrzydła wyprostowane, szponiaste łapy przyciśnięte do brzucha, wyszczerzona paszczyka uniesiona do góry. Smok wyglądał teraz niemal tak, jak motyl przypięty szpilką do denka oszklonej gabloty.

Jim stał na dachu łazika i filmował smoka z góry. Pozostali czekali, aż skończy zdjęcia, i przeszkadzali mu cennymi radami. Zwłaszcza Leskin, który uważał, że Jim wszystko robi nieprawidłowo. Był astronomem i fotografowanie uważał za swą domenę.

Smok był przerażający. Łatwo było sobie wyobrazić, jaki jest za życia - opatrzony szczątkową świadomością pocisk o wadze co najmniej pół tony.

- I za co on nas tak nie lubi? - powiedziała w zadumie Mała Tatiana.

- Najgorsze jest to - stwierdziła Nina, dostrzegając wchodzącego Pawłysza - że nie możemy nieustannie kryć się przed smokami. Jak tak dalej pójdzie, one nas po kolei wykończą. - Nie jest pan zmęczony, doktorze? -zapytała. - Wobec tego proszę pokierować sekcją.

Pawłysz zrozumiał nagle, że oto skończyły się uroczystości powitalne. Od tej chwili nikt już nie będzie porównywał go ze Stresznym, przekonany z góry o tym, że poprzedni lekarz był lepszy. Zaczyna się praca. Objął dyżur i teraz musi wymyślić sposób na pozbycie się smoków.

... Koło północy poczuł się tak zmordowany, jakby przez cały dzień nosił kamienie. Najważniejsza robota była już poza nim - rozczłonkowany smok został po kawałku upchnięty w rozmaitych naczyniach i lodówkach. Prymitywna, lecz doskonale skonstruowana maszyna bojowa o stopniu komplikacji pterodaktyla. Tego zwierza było bardzo trudno zabić i minapułapka należała do optymalnych środków walki z nim. Jeszcze lepiej byłoby zaopatrzyć się w działko przeciwlotnicze. Inna rzecz, iż Pawłysz był pewien, że każde tego rodzaju zamówienie doprowadziłoby do przysłania na stację psychiatry zamiast zenitówki.

- No cóż - powiedział Jim, gdy Pawłysz przekazał mu tę informację. - Będziemy zakładać miny. - Olbrzym nigdy nie tracił humoru.

- Odnieś serce do lodówki. Potem zajmiemy się jego żołądkiem, i to będzie na dzisiaj wszystko.

- Pawłysz oswoił się już z sytuacją i nawet zaczął pomiatać naukowcami. Jim posłusznie zatańczył do lodówki w magazynie plastikowy worek z dziesięciokilogramowym sercem smoka.

O w pół do drugiej w nocy stwierdziwszy, iż żołądek smoka jest pusty, jeśli nie liczyć tuzina kamyków, Pawłysz ogłosił koniec dnia pracy, dość długiego pierwszego dnia na nieznanym planecie (jeszcze rano był kilka tysięcy kilometrów od tego rajskiego zakątka!). Długo mył się pod prysznicem, starając się bez większego skutku zmyć z siebie zapach

smoka. W sąsiedniej kabinie pluskał się Jim.

- Dowiedziałeś się, doktorze, kogo żrą smoki? - zapytał, wycierając się.

- Nie żrą nikogo - odparł Pawłysz. - Wcale nie żartuję. Zasypiając na stojąco, dowlóknął się do pokoju i zwałił na łóżko.

11

- Dzień dobry, doktorze - powiedział Jim. Stał nad łóżkiem Pawłyszka z pochyloną głową, bo wszędzie musiał się pochylać. - Nie obudziłem cię?

Pytanie było retoryczne. Obudził Pawłyszka.

- Jak długo spałem?

- Niedługo. Siedem godzin. Po wczorajszej robocie można by pospać dłużej, ale wybieram się z Małą Tanią do lasu i pomyślałem, że może cię to zainteresować. Przy okazji wywieziemy szczątki smoka, bo jakoś nie najlepiej pachną. A propos, Duża Tatiana już wstała i objęła dyżur w kuchni. Nawet zaparzyła herbatę, na wypadek jeśli masz zwyczaj jadać śniadanie. Strzeż się! Tatiana jest córką tropików, a tamtejsze niewiasty bywają gorącokrwiste. No dobra, pójdę załadować mięso.

Pawłysz zajął najpierw do lazaretu. Leopold czytał. Noga mu nie dokuczała. Pawłysz usiadł na krawędzi łóżka i pogadał z Leopoldem o różnych głupstwach. Lekarze lubią sobie w czasie porannego obchodu pogawędzić z rekonwalescentami. Poza tym doktor i chory czuli do siebie wzajemną sympatię i rozmowa sprawiała im przyjemność.

Duża Tatiana była w jadalni. Po wczorajszym ataku nie było nawet śladu. Ucieszyła się na widok doktora, a Pawłysz pomyślał, że należy ona do tych zdrowych i energicznych z natury ludzi, których życie bawi i fascynuje. Płamisty kombinezon leżał na niej, jak galowy mundur kapitana statku międzygwiazdowego.

- Witam słynnego pogromcę smoków! - powiedziała Tatiana. Odpłynęła do kuchni, pohałasowała tam naczyniami, a potem krzyknęła: - Kiedy wytepi pan wszystkie smoki, proszę zostawić mi jednego, malutkiego.

- Po co?

- W naszej wsi bardzo się z niego ucieszą. Starzy ludzie powiadają, że dawniej w naszych stronach żyło mnóstwo smoków. Potem wyginęły. Niektórzy do tej pory wierzą w te baśnie. Dawniej w ogóle było mnóstwo różnych zwierząt.

- A teraz?

- Teraz niektórych już nie ma.

- ... Radzę panu zapoznać się z pracami naszego głównego teoretyka, doktora Stresznego. Powinien tu być gdzieś jego dziennik. Zawsze nas przekonywał, że jest ostatnim przedstawicielem rodu pamiętnikarzy.

- Widziałem ten dziennik, ale nikt mnie nie upoważniał do jego czytania.

- Streszny nie będzie tego miał panu za złe. Radzę przeczytać, może znajdzie pan jakieś przydatne informacje lub hipotezy, które ułatwią rozwiązanie zagadki.

Tatiana przyniosła kawę. Wszedł Jim.

- Czas w drogę - powiedział.

Jim odholował wózek ze ścierwem w dół, do śmietnika. Smoków nie było widać. Padał drobny, ale rześisty deszcz, a smoki takiej pogody nie lubią.

Potem łazik ruszył ku rzece, gdzie Jim miał robotę: jako geolog już dawno zamierzał zbadać obnażone skały urwiska, ale zawsze brakowało mu na to czasu.

Pawłysz siedział obok Małej Tani, która prowadziła pojazd.

- Dużo tu zwierzyny? - zapytał.

- Mało - odparła Tania. Zagryzła dolną wargę i potrząsnęła głową. Ciemny pukiel włosów opadł jej na bandaż. Wyglądała teraz jak malutki kowboj, któremu w czasie rodeo trafił się wyjątkowo perfidny mustang.

Łagodne brzegi strumienia, porośnięte krzewami i ostrą trawą, stawały się coraz bardziej strome, a sam strumień, uzupełniany wodą ze źródeł i deszczówką, przekształcał się w prawdziwą rzekę. Pasma zgniłej trawy i połamanych gałęzi zaznaczało poziom, do którego woda sięgała w czasie powodzi. Łazik wgramolił się na gruby pień drzewa, zeskoczył na ziemię i znieruchomiał nad niezbyt wysokim urwiskiem, gdzie rzeka podmyła zbocze wzgórza.

Jim wyszedł pierwszy. Postąpił chwilę w pobliżu wjazdu, rozglądając się po niebie.

Zajmę się robotą - powiedział wreszcie - a wy, jeśli chcecie, możecie przespacerować się po okolicy. Tylko ostrożnie.

Pawłysz z Tanią przeszli kilkanaście kroków z biegiem rzeki i zatrzymali się nad przezroczystą bystrzyną, w której pływały błękitne rybki.

- A komary tu są?

- Nie wiem - odparła Tatiana, zarzucając na głowę kaptur, gdyż deszcz nieoczekiwanie się nasilił, a ciężkie krople wzburzyły powierzchnię rzeki i pokryły ją wielkimi bąblami.

Pawłysz dostrzegł na ziemi kłębek białej sierści. Podniósł go.

- Mówiła pani, że tu jest mało zwierząt ...

- Jakiś świstak dostał się w czyjeś łapy. - Tatiana podeszła bliżej. - A pan z początku wydał mi się snobem. Tacy czasem zjawiają się u nas. Wszystko na nich błyszczy jak na starożytnym generale. Mundury prosto od krawca i pogardliwe spojrzenie z wyżyn swej funkcji. Ach, jacy wy wszyscy jesteście brudni i zaniedbani, jacy wy jesteście zwyczajni!

- Zmieniła pani zdanie?

- Smoka poćwiartował pan tak, jakby przez całe życie zajmował się wyłącznie patroszeniem tych zwierzątek.

Rozmawiając dotarli do lasu. Z jego głębi dobiegły jakieś szmery. Pawłysz chwycił

Tanie za rękę. Dziewczyna znieruchomiła.

Zastonięta niskimi krzewami polana wydawała się pusta i martwa, tylko z dołu dobiegały jakieś trzaski i mlaskanie. Ostrożnie zbliżyli się do skraju zarośli.

Dwa małe ptaki biły się nad obgryzionym do połowy szkieletem dużego zwierzęcia. Nie zwracając najmniejszej uwagi na nie, wielka stonoga wgryzała się w czaszkę, strącając na ziemię białe kłębuszki wełnistej sierści.

- Tatiana! Pawłysz! - krzyczał Jim. - Gdzie się podzieliście?

- Idziemy - powiedziała Tania. - To tylko świstak.

- Świstak? Myślałem, że one są małe.

- Duże, ale nieszkodliwe. Czasami spotykamy je w lesie. Jim stał przy łożyku. Deszcz ustał.

- Szybciej - krzyknął Jim. - Smok przyleciał!

Pawłysz zadarł głowę do góry. Przepuściwszy Tatianę przodem, wszedł do łożyka i już zatrzasnąwszy pokrywę wjazdu jeszcze raz spojrzął na niebo. Smok nadal krążył nad nimi, pozornie spokojny i nie przejawiający żadnych wrogich zamiarów.

Kiedy pojazd dotarł do wzgórza, niebo już zupełnie się przejaśniło. Chmury pędziły po nim w takim tempie, jakby spieszyły w inne okolice, gdzie pilnie potrzebny jest deszcz. Zrobiło się parno.

Pawłysz nie czekał, aż łazik podjedzie do garażu, otworzył wąż i wyskoczył na elastyczną, udeptaną ziemię przed budynkiem stacji.

- Otworzę drzwi! - krzyknął do Jima.

- Wracaj! - zawołał Jim.

W tej samej chwili Pawłysz poczuł ostre ukłucie, potem jeszcze jedno... Napad komarów był nieoczekiwany i zdradziecki: przecież powinny poczekać do wieczora. Stał i zaczął się od nich opędzać.

Jim coś krzyczał.

Pawłysz zrozumiał, że jedynym ratunkiem jest jak najszybsze znalezienie się w garażu. Podbiegł do drzwi i chwycił za szeroką dźwignię, aby odsunąć wrota. Silnik łazika ryknął, jakby maszyna również besztala doktora. Odruchowo uniósł głowę i spojrzał w niebo.

Smok spadał na niego jak kamień.

Pawłysz nie mógł oderwać oczu od olbrzymiejącego z każdą chwilą, jak na filmie rysunkowym, potwora. Rozróżniał już zęby w otwartej paszczęce, a jednak nie potrafił zmusić się do ucieczki, szukania kryjówki, mysiej dziury, bo to było nierealne, to nie mogło go dotyczyć... Przecież tak spokojnie otwierał drzwi garażu i nigdy nie skrzywdził żadnego smoka.

W rzeczywistości Pawłyszowi tylko się wydawało, że stoi nieruchomo. Zdażył uskoczyć w bok i upaść wzdłuż ściany, a smok wyciągnął szpony i szczęknął nimi, jak kastanietami, o jakiś metr nad ziemią i kiedy zastanawiał się, dlaczego w szponach nie ma ciepłutkiego i takiego smaczniutkiego ludzika, łazik, omal nie rozgniatając Pawłysza, podskoczył do ściany i potwór chcąc nie chcąc musiał u-nieść się do góry, przeklinając ludzką solidarność.

Drzwi garażu otworzyły się i Leskin, który przez nie wyskoczył, pomógł Pawłyszowi ukryć się w budynku. Łazik wpełzł za nim do środka i smokowi nie pozostało nic innego, jak tylko łomotać dziobem w pokiereszowane wrota.

- No, teraz do wieczora nie będzie można wysunąć nosa na dwór - powiedział z wyrzutem Leskin. - Deszcz ustał, smoki się powściekały, a co poniektórzy udają ruchome cele.

- Gratuluję chrztu bojowego - powiedziała podchodząc Nina Rawwa, spokojna i

życzliwa, jak przystoi szefowi stacji.

- Jaka szkoda! - zmartwiła się Mała Tatiana. - Teraz rzeczywiście nie da się wyjść, a ja chciałam założyć nową minę.

- I czemuż to smoki nie lubią lekarzy? - zapytał refleksyjnie Jim, do nikogo się nie zwracając. - Umyślnie na nich polują!

- Smoki wiedzą, że kiedyś wreszcie zjawi się tu lekarz, który odgadnie, dlaczego smoki chcą nas pożreć - odparła Nina.

- I to nie będę ja? - zapytał Pawłysz.

- A wpadł pan już na jakiś ślad?

Pawłysz pomyślał, że zagrażające stale niebezpieczeństwo staje się składnikiem dnia powszedniego. Upłynie jeszcze kilka tygodni takiego życia i smoki zrównają się z komarami. Ludzie nauczą się strzelać do nich z procy, truć flitem, płoszyć strachami na wróble, i będą pracować. Nie można przecież zatrzymywać roboty tylko dlatego, że uganiania się za wami niezniszczalny smok.

- Doktorze - powiedziała Nina. - Powinien pan odwiedzić swój gabinet w charakterze pacjenta. Ma pan skaleczony policzek, i w ogóle jest pan brudny jak nieszczęście. A lekarz powinien świecić przykładem.

Tak Pawłysz zawarł braterstwo krwi.

Pawłysz umył się, zakleił policzek plastrem i usiadł przy stole, żeby nieco odpocząć. Opanowała go zdradziecka niemoc. Nawet przy umiarkowanej wyobraźni nie trudno było przedstawić sobie, co by się z nim stało, gdyby smok sięgnął szponami pół metra dalej. A Pawłysz miał świetnie rozwiniętą wyobraźnię.

Wziął do ręki pamiętnik Stresznego, otworzył go i znów zamknął. Trzeba porozmawiać z Niną. Dziennik istotnie może się przydać.

Można było pomyśleć, że Nina usłyszała jego myśli, bo weszła do pokoju.

- Nie przeszkadzam? Z tym plastrem wygląda pan bardzo bojowo.

- Dziękuję, ale nie o to mi chodziło.

- Czyta pan notatki doktora?

- Chciałbym, ale nie mogę się na to zdecydować. Wątpię, aby ten dziennik był przeznaczony dla postronnych.

- Myli się pan. Streszny miał pewną słabość, być może odziedziczoną po jakimś grafomanie: nie tylko lubił czytać na głos wyjątki z dziennika, ale także podtykał go każdemu, kto próbował wymigać się od tej rozrywki pod pozorem, że nie znosi czytania na głos.

- Mówi pani o sobie?

- Tak. Może więc pan czytać spokojnie, Streszny będzie z tego zadowolony.

- Jim powiedział, że smoki nie lubią lekarzy... A jak to było ze Stresznym?

- Obserwował komary. Siedział w krzakach na zboczu, a kiedy szedł z powrotem, zamyślił się i zapomniał popatrzeć w niebo... A co to takiego?

Nina wpatrywała się w podłogę, po której czarnym łańcuszkiem biegły mróweczki.

- Widziałem je już wczoraj, ale nie sądziłem, że ich nie znacie.

- Nie, to coś nowego. Jeśli jeszcze i one gryzą... Pawłysz przypatrzył się uważnie czarnej nitce, która biegła do umywalki, zawracała i znikwała pod łóżkiem.

- One spieszą się do wodopoju - powiedział. - i wygląda na to, że nie zwracają na nas najmniejszej uwagi.

- Oby to była prawda.

- Nina dzielnie niosła brzemię odpowiedzialności. Jest kierownikiem stacji, a więc za wszystko odpowiada. Pawłysz pomyślał, że młoda kobieta musi dysponować szczególnymi zaletami, aby zajmować stanowiska, które zazwyczaj piastują starzy wyjadacze, zwiadowcy, mający za sobą pobyt na co najmniej kilku planetach.

Znacznie później dowiedział się, że Nina należy właśnie do takich wyjadaczy. Była to

jej szósta planeta i nikt w centrali nie wątpił, iż poradzi sobie z robotą nie gorzej od innych. Należała do tych miękkich z pozoru, zawsze spokojnych i uprzejmych żelaznych ludzików, którzy bez widocznego wysiłku ze swej strony zawsze bywają pierwsi - i w szkole, i na wyższej uczelni, i w pracy. Nina odpowiadała za wszystko i nikogo nie dziwiło, że los padł właśnie na nią. Ale żeby to zrozumieć, Pawłysz musiał spędzić na stacji niejeden dzień.

- Przyszłam do pana, gdyż pomyślałam, że nowy człowiek powinien innym okiem spojrzeć na nasze kłopoty. W nas wytworzyły się już stereotypy, które przeszkadzają w analizie sytuacji.

- Może jednak czymś dopiekliscie smokom? Nina patrzyła na mrówczą ścieżkę.

- Trzeba będzie sprawdzić, w jaki sposób one dostały się do stacji. Zajmie się pan tym? Jak mogliśmy dokuczyć smokom?

- Agresja zwierząt zawsze jest czymś spowodowana.

- Nie napadaliśmy na nie i jesteśmy gotowi pójść na jakiś kompromis. Ale kompromisy dostępne są jedynie istotom rozumnym.

- Mogliście zrobić to nieświadomie. Na kogo jeszcze smoki napadają?

- Wczoraj zbadał pan żołądek jednego z nich.

- Nino, jesteś tu? - W drzwiach ukazała się Mała Tania. Jej kombinezon był ozdobiony naszyjnikami z zębów smoka. Wyglądało to dość przerażająco.

- Leskin cię szuka. Utrzymuje, że pole magnetyczne zachowuje się nienormalnie.

- No i co z tego wynika?

- Jak zawsze jest przekonany, że to musi się źle skończyć.

- Pójdę do niego - powiedziała Nina. - Leskin jest pesymistą. Każda wyprawa badawcza musi mieć etatowego pesymistę. Podejrzewam, że psychologzy umyślnie nam go podsunęli, aby zrównoważyć nieumiarkowany optymizm Tani.

Gdy obie kobiety wyszły, Pawłysz ponownie otworzył dziennik Stresznego.

Doktor istotnie lubił pisać szczegółowo i rozwlekle. Pawłysz wyobraził sobie, jak Streszny siedzi przy biurku z przechyloną na bok głową, jak zachwycą się piękną konstrukcją zdań, urodą długich akapitów i widokiem rzadkich, archaicznych słów. Pierwsze karty zajmował opis wzgórza, budowy stacji, życia codziennego. Dalej szły charakterystyki poszczególnych członków wyprawy, charakterystyki długie, szczegółowe, lecz ostrożne, doktor bowiem traktował swój pamiętnik jak utwór literacki i nie chciał nikogo urazić. Dopiero na piątej stronie Pawłysz natknął się na pierwszą myśl, mającą związek z obecnymi wydarzeniami.

„Deszcze wkrótce ustaną. Nastąpi wiosna. Planeta winna posiadać umiarkowanie bogatą faunę, a jej obecne ubóstwo skłonny jestem tłumaczyć niesprzyjającą porą roku. Mogę

sobie wyobrazić, jak wraz ze wzrostem temperatury i pojawieniem się słońca z nor, z gniazd i kryjówek wypelzną, wybiegną, wylecą najrozmaitsze stworzenia, i że niektóre z nich mogą być dość pojętne, aby nawiązać z nami jakiś kontakt. Nie myślę tu o rozumie. Moje doświadczenie podpowiada mi, że ta planeta jeszcze nie dojrzała do rozwoju intelektu. Istnieje jednak pewna szansa, że nie zostaniemy zignorowani, gdyż jesteśmy zbyt widoczni, zbyt hałaśliwi, zbyt obcy i na swój sposób mimowolnie agresywni. Dziś rano miałem zatarg z Dużą Tatianą, która nadzorowała pracę robota budowlanego, kopiącego śmietnik stacji - wszak nie potrafimy niszczyć części odpadków i musimy je w jakiś sposób ukryć. Właśnie ukryć, nie naruszając przy tym normalnego życia naszego środowiska. Ta przemiła niewiasta z właściwą sobie lekkomyślnością zadowoliliła się tym, że robot wykopał głęboki dół. „A gdzie hermetyczna pokrywa?” - zapytałem...

Minęło parę dni i przepowiednie doktora Stresznego zaczęły się sprawdzać.

„Dziś ukłuł mnie komar. Właściwie nie był to komar, lecz owad, którego funkcje w stosunku do nas, ludzi, podobne są do funkcji ziemskiego komara - jest mały, cichutko bzyka i, co najważniejsze, gryzie. Dlatego, aby nie obciążać naszej fantazji wymyślaniami nowych nazw, będziemy nazywać tego dokuczliwego insekta komarem. Natychmiast uprzedziłem Ninę, że należy podjąć kroki mające na celu odparcie agresji komarów. Właśnie agresji, podkreśliłem, bowiem najprawdopodobniej ten mały wampir nie jest przypadkowym, egzotycznym gościem na wzgórzu. Za nim pojawia się inni amatorzy naszej krwi...”

W parę dni później Leopold zachorował na febrę. Trzęsło go przez trzy doby i przez trzy doby doktor Streszny walczył z wrogiem niewidzialnym, nieznanym i niezwyciężonym, ale na szczęście nie na tyle upartym, aby doprowadzić swą ofiarę do zguby. Na trzeci dzień febra ustąpiła. Doświadczenie lekarza w połączeniu z odrobiną szczęścia pozwoliło doktorowi skojarzyć chorobę z komarami i dlatego w ciągu tygodnia, podczas którego niemal wszyscy członkowie wyprawy (nie wyłączając samego Stresznego) zdążyli przebyć febrę, dziennik był całkowicie poświęcony komarom. Z tych notatek zainteresowało Pawłysza parę zdań, które podkreślił, aby ich nie zgubić.

„Komary gnieźdzą się gdzieś opodal stacji. Wylatują po zachodzie słońca i prawdopodobnie reagują na ciepło. Do tej pory nie wiem dwóch podstawowych rzeczy: kto poza nami stanowi obiekt napadu komarów i, po wtóre, jak wygląda ich cykl życiowy. W najbliższej wolnej chwili wybiorę się na poszukiwanie ich kryjówek”.

Doktor nie zdążył tego zrobić, gdyż pojawiły się smoki, niebezpieczeństwo o wiele groźniejsze od komarów. W pamiętniku szczegółowo opisano wszystkie wypadki ataku smoków na ludzi. Streszny usiłował znaleźć w nich jakąś logikę, jakieś prawidłowości. Sam postawił wykrzyknik na marginesie obok zdania: „Smok nie porzucił myśli o odpadnięciu

Leopolda nawet wtedy, kiedy ten ukrył się już w budynku, starał się sforsować drzwi i wyciągnąć go na zewnątrz".

Drzwi były otwarte i Pawłysz nie zauważył, kiedy weszła Mała Tatiana. Spostrzegł, że dziewczyna zagląda mu przez ramię i czyta dziennik wraz z nim dopiero wtedy, kiedy nad uchem szczęknęły mu smocze zęby jej naszyjnika.

- Nie chciałam przeszkadzać, doktorze - powiedziała. - Ale dziś prawie uratowałam panu życie i dlatego nie może mnie pan wypędzić. Tym bardziej że ja również mam własną teorię.

- Słucham - powiedział Pawłysz, zamykając pamiętnik.

- To jasne, że smoki nie lubią ludzi. A wie pan, dlaczego? Kiedyś, jakieś dziesięć lat temu, wylądowała tu wyprawa międzygwiazdowa. Nie nasza, tylko czyjaś tam. I byli tu antropoidzi. Podczas swego pobytu owi ludzie nabrali okropnej antypatii do smoków. Uganiali się za nimi, niszczyli ich gniazda, rozbijali młotkami smocze jaja i mordowali smoczęta. A smoki mają świetną pamięć, i teraz uznały, że ich wrogowie wrócili. Co pan o tym sądzi?

- A co pani proponuje? - Pawłysz wykręcił się od odpowiedzi.

- Ja? Na razie chodzić na czworakach, a w wolnych chwilach szukać śladów bazy tych, którzy byli tu przed nami.

- Dlaczego na czworakach?

- Żeby smoki nie brały nas za ludzi.

- To oczywista bzdura - powiedział Pawłysz, który uznał, że Tania żartuje, ale niemal w tej samej chwili pomyślał, że w tym żarcie kryje się ziarno prawdy. - Racja, kiedy smok mnie zaatakował, szczęknął pazurami zbyt wysoko.

- Aha - ucieszyła się Tania - przecież to jest przesłanka do eksperymentu. Prawda?

Pawłysz uśmiechnął się bez słowa, a Tatiana natychmiast wybiegła. Ponownie otworzył pamiętnik Stresznego. Na chybił trafił.

„Sądzę, że populacja wzgórza jest stabilna i ograniczona przestrzennie, zaś zasięg lotu komarów niewielki. Trzeba to sprawdzić, znacząc kilka osobników...”

Odwrócił kartę.

„...Kiedy nadchodzi noc i nie można zasnąć, bowiem nic równie skutecznie nie odpędza snu, jak nierozwiązany problem, to wyobraźnia, uwolniona od realiów dnia, rozsądza ramy logiki i podpowiada rozwiązania, które w pełnym świetle wydałyby się głupie, infantylne, naiwne... Dlatego piszę właśnie w nocy. Jest teraz trzecia i stacja śpi -choć nie, nie śpi Jim, który ma atak febry, niedawno zaglądałem do niego. Otaczają mnie wizje zrodzone z przeszłości tej planety, sceny, gdzie nie ma miejsca dla człowieka, w które

człowiek nie daje się wkomponować, podobnie jak i dziś stanowi na tej planecie dysonans. Przywykliśmy obdarzać otaczający nas świat rozumem... To pozostałość owych odległych epok, kiedy i las, i góry, i morze, i Słońce były żywe, przeważnie złe i podstępne, a rzadko tylko dobre, kiedy były one istotami prawie nigdy nie zważającymi na słowa, myśli, wątpliwości człowieka pierwotnego. Świat, jeszcze nie podporządkowany ludziom, wrogi im, pełen był obcego rozumu, rzucającego przeciw człowiekowi deszcze i śniegi, wiatry, susze i bezwzględne drapieżniki... A tutaj? Czy aby za konsekwentną krwiożerczością smoków i komarów nie kryje się obca wola, obcy nam, wrogi rozum, dla którego nasi konkretni, gryzący przeciwnicy są niczym więcej, jak tylko narzędziami zemsty, a może po prostu leukocytami, wypędzającymi z organizmu obce ciała? Za oknem siąpi drobny deszcz, planeta przyczała się... Nie, pora spać".

Na tym notatki się urwały. Doktorowi nie udało się już napisać nic więcej.

Pośrodku jadalni stała Mała Tania. Rozczochrana, z płonącymi oczami i smoczymi zębami połyskującymi na piersi. Nad nią wznosił się ponury Leskin. Nina siedziała przy stole i starała się zachować powagę.

- Gdybyś zginęła - tłumaczył Leskin Tani - musielibyśmy zwinąć stację. Czyżbyś sądziła, że ktoś pozwoli na dalsze funkcjonowanie wyprawy, w której zebrali się zwiadowcy, oddający się na pożarcie jakimś paskudnym stworom?

- Nie - odparła Mała Tania. - Wcale tak nie myślę.

- Aha - Leskin spostrzegł Pawłysza. - Podejrzewam, że doktor ma coś wspólnego z tym wybrykiem.

- Nie ma nic wspólnego - zapewnił go Pawłysz - gdyż nie wiem, o jaki wybryk chodzi.

- Taniu - powiedziała Nina czułym tonem - wtajemnicz doktora.

- Przysięgam, że Pawłysz nic o tym nie wiedział - zawołała Tatiana. - On nawet niczego nie podejrzewał. A w ogóle to wyprowadziłam łazika na placyk, narzuciłam na siebie koc, wysunęłam się przez dolny właz i wypełzłam na otwartą przestrzeń.

- Dżigit nie lęka się rogów i kopyt - zacytował tajemniczo Jim. W jego głosie nie było potępienia.

- Czołgałam się, a smoki latały nade mną.

- Nie latały, tylko pikowały - poprawił Leskin.

- I zanim Leskin, który obserwował to przez okno swojej pracowni, sforsował kratę, zapominając o drzwiach - kontynuowała Tania - przypełzłam z powrotem. A on jest zły, że nie zdążył mnie uratować.

- Rozumiem - powiedział Pawłysz. - Chciała pani sprawdzić, czy smoki napadają na pełzające stwory, i udawała takiego stwora.

- Jest pan bardzo bystry - zgodziła się Tatiana.

- A one się rzuciły - powiedział Jim. - Bardzo się cieszę, że doświadczenie się nie udało, bo w przeciwnym razie wszyscy musielibyśmy się czołgać. Wyobraźcie sobie mnie jako pełzacza.

Duża Tatiana krzyknęła z kuchni:

- Niosę bulion, przestańcie więc opowiadać swoje okropne historie, bo stracie apetyt!

Pawłysz zajął swoje miejsce. Siedząca obok Nina zapytała go półgłosem:

- Zwrócił pan uwagę na to, że Tatiana odczołgała się na parę metrów i zdążyła wrócić? Smoki szczękały jej pazurami nad głową, ale chybiały.

- Właśnie ! - zawołała Mała Tania, która dosłyszała ostatnie zdanie.

- Mężczyźni mogą pełzać wyłącznie u moich stóp - podsumowała dyskusję Duża Tatiana. - Do kobiet się to nie odnosi. Niech pan to zapamięta, doktorze, i nie waży się poniżać przed smokami.

- Zapamiętam - powiedział Pawłysz.

- A jednak nie potrafią zapanować nad oburzeniem - wtrącił się Leskin. - Przecież nie można regularnie obracać w żart wszystkich tragicznych aspektów naszego pobytu na tej planecie. -Śmiejecie się, zapominając nie tylko o skandalicznym pogwałceniu dyscypliny przez Tatianę, ale również o tym, że nasze postępowanie doprowadzi do tego, że smoki nas wszystkich wytępią.

Wieczorem, kiedy słońce zaszło i smoki odleciały, a komary jeszcze na dobre nie zabrały się do swojej mokrej roboty, stacja opustoszała. Wszyscy mieli mnóstwo pilnych spraw, wszyscy wypadli z harmonogramu i spieszyli nadrobić godziny przymusowej bezczynności. Pawłysz dopędził Jima przy wyjściu.

- Bardzo się spieszysz?

- Nie, nie bardzo. - Uprzejmość i życzliwość należały do mocnych stron charakteru pilota. Z pewnością w szkole pozwalał ściągać niezbyt pilnym kolegom, a teraz wszyscy go wyzyskiwali. Było oczywiste, że Jim się spieszy, gdyż poza swoimi aparatami musiał skontrolować również czujniki Lepolda. Ale cóż robić, Pawłysz też nie był święty.

- Jim, pokaż mi nory.

- Jakie nory?

- Doktor Streszny zaobserwował, że komary wylatują z nor.

- One chyba zewsząd wylatują. Ale chodźmy, pokażę ci te nory.

Jim szedł przodem, opatulony w koc z przyszytymi na przegubach rąk gumowymi mankietami. Na głowie miał plastikową konstrukcję, przypominającą hełm starożytnego nurka. Wielkie okulary i maska z gazy nadawały mu wygląd polarnika resztkami sił dążącego do bieguna. Pawłysz wiedział, że niewiele się od niego różni. Swoją odzież ochronną odziedziczył po Stresznym, a Leopold złota rączka, dopasował mu ten strój i udoskonalił.

- Patrz - powiedział Jim, zatrzymując się nad urwiskiem. - Nory.

Całe urwisko było usypane jamkami o średnicy jakichś 30 centymetrów.

- Co tu się gnieździ poza komarami?

- Streszny myślał, że świstaki. One w porze deszczowej siedzą w norach, a podczas suszy przenoszą się do lasu.

- One też gryzą?

- Coś ty, są zupełnie nieszkodliwe. Prawie nie mają pyszczka, tylko ryjek. Grzebią nim w ziemi i wyszukują owady.

- Nie widzę żadnego podobieństwa do świstaków.

- Ktoś je tak ochrzcił i nazwa się przyjęła. Gdyby ten pierwszy nazwał je mrówkojadami, byłyby mrówkojadami... Pójdę już, dobrze?

Pawłysz przykucnął obok norki i postanowił poczekać. Prószył deszcz, smoków więc można było się nie obawiać. Komary już latały dokoła, ale było ich niewiele. Odzież ochronna i podwójne rękawiczki grzały niczym piec. Nory wyglądały jak ślepiec potwora. Nitki prowadzące do sedna zagadki przecinały się gdzieś w pobliżu, ale na razie nie można

ich było dostrzec...

Z nory wytrysnęło nagle coś na kształt kłębu pary. Chmurka rozszerzyła się ku górze, rozsnuwała jak wachlarz na wietrze. Pawłysz wyteżył wzrok. Rany boskie! To przecież komary! Dziesiątki tysięcy owadów porzucały swe kryjówki i udawały się na polowanie. Streszny miał rację, komary gnieździły się w norach.

Owady reagowały na ciepło i zbaczały z kursu, aby spróbować krwi Pawłysza. Ciągnęły nie tylko z najbliższej jaskini, ale także z odległych krzewów w dole zbocza...

W niespełna minutę później nerwy odmówiły doktorowi posłuszeństwa. Zerwał się na równe nogi i jak szalony popędził w kierunku stacji. Był pokryty owadami jak choinka szronem i musiał długo je opłukiwać pod gorącym prysznicem. Wymyślił za to niezłą metodę walki z komarami: wystarczy ustawić w pobliżu nor coś ciepłego i pułapka gotowa.

Trzy komary zachował i przyniósł je w pudełeczku do swego pokoju. Rozebrał się, wysunął na parę centymetrów szufladę biurka, włożył tam pudełko, uchylił wieczko i wyteżył uwagę. Nie czekał długo. Komary wyprysnęły ze szczeliny niczym myśliwce przechwytujące i, ani razu nie zbaczając z kursu, wpiły się w wyciągniętą naprzeciw rękę. Pawłysz ze stoicyzmem zniósł ukłucia i z pewnym obrzydzeniem patrzył, jak ciała wampirów nabrzmiwały jego krwią. Wreszcie nassały się i syte, jeden za drugim, uniosły się w powietrze, aby poszukać zacisznego kącika, w którym mogłyby odpocząć po ciężkiej robocie. Taki kącik znalazł się na ścianie między łóżkiem a umywalką.

Pawłysz kartkował pamiętnik Stresznego i zerkał na komary, które spokojnie drzemały na ścianie. Może ich to nie obejmuje... Nagle jeden z komarów machnął skrzydełkami, spróbował wzlecieć, ale nie zdołał i upadł na podłogę. Upadł i znieruchomiał. Po paru sekundach za jego przykładem poszedł drugi i trzeci.

Pawłysz przykucnął. Komary leżały na podłodze łapkami do góry. Zdechły. Można było sobie darować wszelkie analizy. Komary otruły się jego krwią. Prawo wzajemnej niejadalności (cóż za odkrycie w dziedzinie biologii i kanibalizmu!) obowiązywało na tej planecie wszystkich. Stosun! ludzi z miejscową fauną nigdy nie nabiorą charakteru gastronomicznego. Komary ciągnęły wyłącznie do ciepła.

- Czy nie dałoby się obejrzeć jakiegoś świstaka? - zapytał podczas kolacji Pawłysz, zwracając się do Niny.

- Nie widziałam ich w pobliżu - odparła zapytana. - Tylko przelotnie. One są bardzo płochliwe i ostrożne.

- Przypominają pingwiny - powiedziała Duża Tatiana.

- Postaram się schwytać jednego - obiecała Mała Tania. - Widziałam na dole zamieszkałą norę.

Świstak był potrzebny Pawłyszowi, bo komary gnieździły się w świstaczych norach. Tatiana przyniosła świstaka już następnego ranka.

- Doktorze - zawołała, wpadając do lazaretu, gdzie Pawłysz gimnastykował Leopolda.
- Zadanie wykonane, jeniec czeka.

Pawłysz natychmiast włączył się do gry.

- Sam go przesłucham. Gdzie go umieszczono?

- Leży związany w czołgu.

- Nie stawiał oporu?

- Nie. Chciałam go wnieść do stacji, ale Nina zabroniła.

- Dlaczego? - zapytał Pawłysz, idąc korytarzem z Tanią. - Przecież na dworze latają smoki.

- Ona myśli, że świstak może nas zarazić. Czy z nią w ogóle można dyskutować?

- Nie boję się smoków. Kto dziś boi się smoków?

- Nina ma rację... Deszcz pada?

- Smoków nie widać. Proszę się nie bać.

Łazik stał obok garażu. Przy uchylonych wrotach czekała na nich Nina, która tego dnia pełniła dyżur kuchenny i dlatego miała na sobie fartuszek z falbankami, który jednak nie zdołał uczynić z niej słodkiej kobietki. Nawet grzywka, która miała zasłaniać bliznę na czole i świetnie harmonizowała z fartuszkiem, nie poprawiała sytuacji. Nina rozszyfrowała spojrzenie Pawłysza i powiedziała:

- Doskonale gotuję. Sam się pan o tym przekona, i natychmiast dodała już innym tonem.

- Pawłysz, jeżeli to jest absolutnie niezbędne, proszę, aby wyłącznie pan zajmował się tym zwierzęciem. Nie pozwolę nikomu go dotknąć. Ten świstak jest prawie zdechły, wygląda jak zaczadziały.

- Skąd wiesz? - oburzyła się Tania. - On przecież leży w łaziku. Nikt go poza mną nie

widział. To przemiłe zwierzątko.

- Zaglądałam do środka. Ja też jestem ciekawa... Tatiano!

Tatiana już była przy łaziku. Otworzyła włącznik i zanim Pawłysz zdążył jej pomóc, wyciągnęła związanego świstaka na zewnątrz.

- Ja już go dotykałam - powiedziała tonem wyjaśnienia. Pawłysz pochylił się nad świstakiem, który leżał na boku i szybko oddychał. Był wielkości średniego psa, miał krągłe, podługne ciało z krótkimi łapkami i nóżkami i gdyby postawić go słupka przy norze,- można byłoby wziąć go za prawdziwego świstaka. Na tym podobieństwo się kończyło - wystarczyło zerknąć na wyciągniętą w ryjek białą mordkę. Świstak szamotał się, usiłując zrzucić pęta, ale robił to bez najmniejszego przekonania, jakby chciał pokazać, że nie pogodził się z losem tak bardzo, jak to na pierwszy rzut oka wygląda.

- Tylko proszę go nie rozwiązywać - ostrzegła Tatiana - bo ucieknie. - Gdzie panu następnego złapię? świstaki nie leżą na ulicy.

Świstak westchnął. On akurat leżał „na ulicy”.

Kilka komarów latało nad zwierzakiem. W każdej chwili mógł zjawić się również smok. Pawłysz odsunął Tanie i wziął świstaka na rękę. Zwierzak był lekki i gorący.

Zdechł w pół godziny później. Był wycieńczony, chory na wszystkie swoje choroby (Nina jak zawsze miała rację), więc Pawłysz nie zdołał go uratować, ale zbadał mu krew i treść żołądka. Świstak mimo wszystko przysłużył się nauce.

Mozaika układała się w dość logiczną całość i brakowało tylko ostatniego kamyka. Kiedy Pawłysz badał swoją ofiarę, do laboratorium zajrzała Nina i zadała kilka pytań. Z ich treści wynikało, że domyśla się, o co mu chodzi.

Ostatni kamyk znalazł się późnym wieczorem.

Pawłysz grał w jadalni w szachy z sympatycznym Leopoldem i niespiesznie gawędził z nim o sztuce - obaj przekładali Botticellego nad Rafaela i odrobinę chętni się własną odwagą. Nagle do pokoju wtargnęła Duża Tatiana ubrana w strój ochronny, straszna jak Marsjanin ze starego obrazka, i zrywając maskę zawołała:

- Dłużej w tym piekle nie będę pracować! Wyślijcie mnie na Jowisza albo na Merkurego, tam przynajmniej nie ma powietrza i w ogóle nic nie ma!

- Co się stało? - Pawłysz poderwał się na równe nogi.

- Nina pana prosi, doktorze. Uważa, że to pana zainteresuje. To jakiś potwór, ona nawet myszy się nie boi. Tego już za wiele. Dokąd to? Proszę się najpierw ubrać, bo tam są komary. A ciebie, Poi, nigdzie nie puszczę. Zostałeś bez nogi, a teraz chcesz nadstawiać głowę... Zagram z tobą w szachy.

Leopold naturalnie jej nie usłuchał. Dopędził Pawłysza w komorze wyjściowej. Ubrany był tak dziwacznie i niecodziennie, że Pawłysz dopiero po chwili opanował śmiech: miał na sobie płaszcz Tatiany. Pawłysz ujął go pod ramię i ten na jednej nodze dobiegł do wyjścia. Zadrzwiami oślepił ich promień reflektora, a głos Jima zawołał: - Stójcie! Kto uczyni choć jeden krok, zginie! Pawłysz nie bardzo wiedział, czy geolog żartuje, czy też cytuje niezbyt dokładnie kolejnego klasyka, ale posłusznie znieruchomiał. Głos Jima dobiegał z ciemności za reflektorem.

- Są na kopule obserwatorium - powiedział Leopold. Pawłysz rozejrzał się dokoła, ale nic nie zobaczył. Potem opuścił wzrok.

Cały placyk był pokryty czarnym, sfalowanym dywanem. Odnosiło się wrażenie, że ziemia otworzyła swoje pory i wypuściła na zewnątrz niezliczone mrowie owadów. Placyk wyglądał jak jeziorko ropy naftowej.

- Doktorze, widział pan kiedyś coś podobnego? - zapytała Nina z góry.

- Nie, Bozia strzegła - odparł Pawłysz, opędzając się od komarów.

- Jeśli to potrwa dłużej - powiedział Leskin - trzeba będzie ewakuować stację.

Owady przelewały się tuż za progiem, o pół metra od butów Pawłysza. W ich bezsensownym na pierwszy rzut oka mrowieniu wyczuwało się jakiś system, jakiś cel. i chociaż każda mrówka biegła w swoją stronę, całe morze stopniowo przesuwało się w prawo, ku skrajowi wzgórza.

- Czy one tu skądś przyszły? - zapytał Pawłysz. - Może ktoś widział, jak to się zaczęło?

Głos małej Tatiany nagle odezwał się z dachu tuż nad głową Pawłysza, jakby z

księżycą, który akurat wzeszedł, jakby umyślnie po to, żeby oświetlić tę scenę.

- Poszłam do magazynu po części zapasowe do radiostacji i zobaczyłam, że mrówki biegają. Wówczas zawołałam Ninę, która była z Leskinem w obserwatorium. Przyszedł też Jim. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że musiałam wycofać się na dach, a oni na kopułę.

- Ciekawe, czy tak będzie już zawsze, czy też to tylko przejściowe zjawisko?

- Przejściowe - powiedział Pawłysz, robiąc krok do przodu. - Mrówki nie gryzą. - Rozsunął nogą strumień owadów, który coraz szybciej, niczym wodospad, staczał się poza granicę oświetlonego kręgu.

Kiedy wszyscy zeszli już ze swoich stanowisk obserwacyjnych, jedynie ariergarda mrówczej armii uwijała się po placyku. Grunt był spulchniony, jakby ktoś przejechał po nim grabiami.

- To znaczy, że one wypełzły wprost spod ziemi? - Tak, widziałam to - odparła Tatiana.

- Wiecie co? To mi przypomina migrację lemingów - powiedziała Nina.

Pawłysz skinął głową. Zgadzał się z Niną, bo sam miał podobne skojarzenia. Był teraz w dziewięćdziesięciu procentach pewien, że ze smokami można sobie poradzić, i że wie, jak to zrobić. Ale dziesięć procent ryzyka skłoniło go do milczenia. Postanowił nie narzucać innym swojej recepty, a przynajmniej poczekać z tym do jutra.

Przy śniadaniu Nina zapytała:

- Doktorze, będzie panu potrzebny łazik?

- Właśnie chciałem o to panią prosić.

- Widzę, że Newtonowi spadło jabłko? - zapytał Jim.

- Spadło - zgodził się Pawłysz. - Teraz trzeba je tylko podnieść.

- Taniu, sprawdź akumulatory - powiedziała Nina. - W obie strony będzie ze dwadzieścia pięć kilometrów zupełnego bezdroża.

- Nino! - wykrzyknął Pawłysz. - Pani jest genialna.

- Wcale nie jestem tego pewna - odparła Nina. - Powinam już dawno się domyślić.

- Nasza Nina jest we wszystkim pierwsza - poparła Pawłysza Mała Tatiana. - Nawet w biologii. Dokąd jedziemy, doktorze?

Pawłysz spojrzał pytająco na Ninę.

- Sława, po co ta kokieteria? - uśmiechnęła się Nina. - Przecież wie pan lepiej ode mnie. Na sąsiednie wzgórze. Zgadza się?

- Zgadza się.

- Z doktorem pojedzie Mała Tania i Jim. Reszta zostanie tu.

- Ostatecznie nie mam w tej chwili nic do roboty - powiedział Leskin.

Droga przez las okazała się bardzo uciążliwa i trudna. Łazik, kierowany twarda, ale nie zawsze rozsądną ręką Tani, skakał niczym pasikonik. To po prostu cud, że pasażerowie nie połamali sobie rąk i nóg.

- Jeżeli dobrze zrozumiałem - odezwał się Leskin, kiedy łazik zwolnił, przedzierając się przez krzaki - jedziemy obejrzeć siedlisko smoków. Jeśli wierzyć naszej zwierzchnicze i Pawłyszowi, przylatują one z sąsiedniego wzgórza. No cóż, to logiczne...

Zamilkł, czekając na relacje Pawłysza.

- Zadamy im cios wprost w ich gnieździe?

Pawłysz dopiero teraz zauważył, że Leskin wziął ze sobą pistolet. Jim również to spostrzegł i powiedział:

- Ale nie z twojej armaty.

- Nie prosiłem o zabieranie ze sobą broni - powiedział Pawłysz.

- Nie jestem takim altruistą, jak pan, doktorze. Przecież nie wiadomo, co nas tam czeka. Moje doświadczenie podpowiada mi...

Tatiana skrzywiła się niechętnie i zmusiła swój pojazd do skoku przez niezbyt szeroki wąwozik. Pasażerowie powpadali na siebie i rozmowę trzeba było na chwilę przerwać. Kiedy

Łazik ponownie znalazł się na stosunkowo równym terenie, Mała Tatiana powiedziała:

- Pawłysz działa z pobudek humanitarnych, a my, zwiadowcy, jesteśmy ludźmi okrutnymi. Doktor nie pozwoli skrzywdzić nieszkodliwych maleństw. Przecież one mają dzieci. A Leskin wyjdzie im naprzeciw z gałązką palmową. Bardzo dobrze, że Nina pozwoliła mu z nami pojechać. W końcu stacja może obejść się bez astronoma.

- Pan rzeczywiście uważa - powiedział Leskin, nie zwracając uwagi na zaczepkę Tani - że smoki trzeba oszczędzać?

- Nie tylko ja. Nina również tak uważa, i Tania chyba też...

- Kocham je nad życie - powiedziała Tania i dodała gazu.

Pawłysz chwycił za pas przy siedzeniu i wygłosił monolog:

- Ludzkość - powiedział z emfazą - jest największym z przestępców i jedynie długa skrucha pozwoli jej uzyskać przebaczenie za grzechy. Ktoś mądry powiedział: „Tam gdzie pojawia się człowiek, przyroda zamienia się w środowisko naturalne”. Wielkim nakładem sił dostosowywaliśmy to środowisko do własnych potrzeb, nie myśląc wcale o przyrodzie. Wytępiiliśmy mnóstwo żywych istot, niektóre z nich całkowicie.

- A pan teraz oskarża nas - wtrącił Jim - o zamach na przyrodę tej planety, podjęty wyłącznie w tym celu, aby smoki nas nie zżarły.

- Chętnie zostawilibyśmy je w spokoju - powiedziała Tatiana - ale one mają do nas jakieś pretensje. Trzymajcie się!

Znów skoczyli. Pawłysz już dawno przestał liczyć wstrząsy i wyboje. Łazik krążył po dziewiczym lesie, przedzierał się przez strumienie i wąwozy.

- Wszyscy myślimy i działamy zgodnie z odwiecznymi stereotypami - powiedział Pawłysz. - Każdy z tu obecnych jest człowiekiem wykształconym, słuchał wykładów o nieingerencji i tak dalej. Każdy gotów jest przestrzegać zasad, które ludzkość z takim trudem wypracowała. Ale wystarczył pierwszy atak, aby odezwał się w nas myśliwy. Zabij smoka! - Oto wasze hasło.

- Doktorze, proszę nie uogólniać - zaproponowała Tatiana. - Myśliwy obudził się jedynie w duszy Leskina. On nie wierzy w przyjaźń z drapieżcami.

- Nie wierzę - powiedział twardo Leskin.

Pawłysz zrozumiał, że jego monolog nie wywarł na słuchaczach zbyt wielkiego wrażenia. Oni to wszystko wiedzieli nie gorzej od niego. Dobrze jest dyskutować w bezpiecznym łaziku, ale znacznie gorzej, kiedy trzeba odczytywać wskazania przyrządów, a nad głową krąży smok, który nie słyszał o ekologii i humanizmie.

Łazik sforsował wpław szeroką rzekę, wygramolił się na przeciwległy brzeg i zaczął wolno wspinać się po zboczu, omijając wielkie drzewa.

- Mam wjechać na wzgórze? - zapytała Tatiana.

- Już jesteśmy na miejscu? - zdziwił się Pawłysz. Wobec tego lepiej będzie wjechać nieco wyżej i znaleźć kawałek otwartego terenu, ale tak, żeby zbytnio nie zwracać na siebie uwagi.

- Trzeba będzie kołować - powiedziała Tatiana - i w rezultacie narobimy więcej hałasu, niż gdybyśmy wjeżdżali na wzgórze prosto.

- No, jak uważasz.

Łazik zamruczał i ruszył przez zarośla. Zrobiło się jaśniej. Potem wóz zakołysał się i znalazł się na płaskim tarasie. Za iluminatorami rozciągało się niskie urwisko usiane norami świstaków. Stanęli.

- Omal nie przejechałam świstaka - powiedziała Tatiana. - Wskoczył mi gamoń wprost pod maskę. Nie zna przepisów ruchu drogowego.

Pawłysz wyjrzał przez boczny iluminator i dostrzegł, jak z nory o jakieś pięć metrów od niego wysuwa się wąski, biały pyszczek z ryjkiem wyciągniętym jak do pocałunku. Malutkie czarne ślepka patrzyły z wyrzutem na pojazd. Ryjek był czarny od pokrywających go mrówek. Świstakowi przerwano posiłek.

- Patrzcie - zawołała Tania - odpędzają małe!

Przez polanę rozkołysanym krokiem biegł świstak. Przednie łapy majtały mu się nad brzuchem. Popędzał nimi w kierunku nory dwoje młodych, które opierały się i próbowały czmychnąć w bok, aby obejrzeć sobie z bliska dziwnego gościa. Wreszcie rodzicielowi udało się zapędzić latorośle do nory i zatkać ją swoim ciałem tak, że na zewnątrz sterczały tylko okrągłe, białe pośladki.

- Pojedziemy dalej? - zapytała Tania.

- Tak, one się nas boją. Wydostaliśmy się na płaski szczyt.

Na górze roiło się od świstaków. Były ich tam całe setki. Na widok łazika porzucały swoje zajęcia, stawały słupka, a potem albo uciekały co sił w nogach, albo oddalały się z godnością. Nad świstakami unosiły się chmary komarów, ale zwierzaki nie zwracały na nie najmniejszej uwagi.

Łazik przetoczył się przez niski grzebień i znieruchomiał na skraju rozległego, nagiego placyku, gdzie rosło gigantyczne, poskręcane przez wichry drzewo.

Placyk był pusty, ale najwyraźniej zamieszkały, bo gdzieś leżały na nim zwiędłe gałęzie i wielkie kule smoczego pomiotu. Ziemia była dokładnie udeptana. „Wielka szkoda - pomyślał Pawłysz - że wyprawa dotarła tu w porze deszczowej. Ulewy spłukały z naszego wzgórza wszystkie te rzucające się w oczy ślady czyjegoś siedliska”.

- Smocza jama - powiedział Leskin z dziwnym naciskiem w głosie.

- Mógłby pan schować pistolet - zwrócił się do niego Pawłysz.

- Nie będę strzelał bez potrzeby - w głosie Leskina zabrzmiało ostrzeżenie, jakby Pawłysz chciał oddać jego towarzyszy na pożarcie smokom, a on był jedynym ich obrońcą.

- A co z humanizmem? - zapytała Tania.

- Wszystko w granicach rozsądku - odparł Leskin ze śmiertelną powagą.

Pawłysz odsunął boczny właz.

- Komary nalecą - ostrzegł Jim.

- Wątpię.

- Spójrzcie - powiedziała Tatiana.-Tam, pod drzewa. W zagłębieniu między korzeniami leżały na podściółce z gałęzi trzy okrągłe jaja o średnicy co najmniej pół metra.

- Tatiana, podjedź tam - rozkazał Leskin.

- Co pan zamierza?

- Doktorze, proszę się nie wtrącać! - wybuchnął Leskin. - Dość już słuszych słów i rozumnych działań. Pańscy ulubieńcy są krwawymi drapieżcami, którzy zawsze będą zagrażać ludziom. Jeśli można zmniejszyć liczbę tych stworów, trzeba koniecznie to zrobić!

- To mi wygląda na atak hysterii. - Pawłysz starał się mówić spokojnym tonem. - Usiłuje pan zrównać się z miejscowymi zwierzętami i zaprowadzić porządek w ich świecie z pozycji siły.

- Nie w ich świecie! W naszym świecie! Ten świat już nigdy nie będzie taki, jakim był przed zjawieniem się człowieka. Musimy uczynić ten świat wygodnym i bezpiecznym dla ludzi.

Pawłysz zerknął na Jima i Tanie. Po czyjej są stronie?

- Leskin. niczego w ten sposób nie osiągniesz - powiedział Jim.

Astronom opuścił pistolet. Wybuch minął, ale pozostał niesmak po niepotrzebnej sprzeczce. Tatiana, usiłując rozładować napięcie, powiedziała:

- Weźmiemy sobie jedno jajko? Największe we wszechświecie. Muzea nie wybaczą nam, jeśli tego nie zrobimy.

- Może następnym razem? - zapytał Pawłysz, ale bez szczególnego przekonania.

Łazik podjechał do drzewa. Pawłysz zerknął na Leskina, który siedział spokojnie, ale unikał jego wzroku. Pawłysz wysunął się z włazu i popatrzył w górę. Niebo było czyste.

- Proszę się nie lękać - powiedział Leskin - w razie czego osłonię pana.

Pawłysz zeskoczył na wydeptaną ziemię. Leskin wyszedł za nim i zatrzymał się, przyciskając się plecami do karoserii. Pozornie pogodził się z sytuacją, ale Pawłysza nie opuszczało wrażenie, że astronom czeka na byle pretekst, aby otworzyć ogień. „Musimy zaraz stąd odjechać” - pomyślał. Podniósł najbliższe jajo i podał je Tani. Jajo było ciężkie i śliskie.

- Spójrzcie, jakie urocze maleństwo! - Tatiana wysunęła się do pasa z górnego włazu.

Przez placyk w kierunku łazika dreptało świstaczątko. Wyciągnęło ryjek, rozcapierzyło łapki i w ogóle było uosobieniem ciekawości.

- Weźmy go ze sobą! - zawołała Tatiana.

Pawłysz ruszył w stronę świstaka, ale natychmiast znieruchomiał.

Tuż za świstaczątkiem w kierunku drzewa spokojnie szedł szary smok. Leniwie przestawiał łapy i powłóczył skrzydłami po ziemi. Wyglądał jak spacerujący mędrzec, rozmyślający nad marnością tego świata. Był tu gospodarzem i doskonale o tym wiedział. Właśnie obojętnie zerknął na pojazd Ziemi...

- Do wozu! - krzyknął Pawłysz do Leskina, sądząc, że astronom stoi za jego plecami.

Chwycił małego świstaka niczym dziecko, któremu zagraża zły pies, rzucił się do łazika i przegapił chwilę, w której Leskin zaczął strzelać prosto w paszczkę zbliżającego się smoka.

I stało się tak, że w decydującej chwili nie było komu astronoma powstrzymać. Pawłysz wskoczył do łazika ze świstakiem na rękach i rzucił go Tani, która nie zdążyła jeszcze skryć się we włazie. Jim stał wewnątrz pojazdu i ostrożnie układał na podłodze smocze jajo, aby się nie rozbiło... Następna minuta składała się z krótszych lub dłuższych odcinków czasu, nawzajem ze sobą nie powiązanych.

Pawłysz dał nura we właz, aby jak najszybciej dotrzeć do dźwigni sterowych, bo Tania trzymała na rękach małego świstaka i miała skrepowane ruchy... Zdążył przy tym zauważyć kącikiem oka, jak zaskoczony smok przysiadł na ogonie, jak otworzył żółtą paszczę i zaczął prostować stężałe nagle skrzydła... Leskin jak szalony strzelał wciąż do smoka i szedł mu naprzeciw... A z góry jak kamień spadał inny smok...

Pawłysz rzucił pojazd do przodu, aby osłonić Leskina przed smokiem, a przed jego oczyma, niczym w złym amatorskim filmie, migotały chmury, pień drzewa, pochylona na bok ziemia, czarne skrzydła... Żeby tylko nie potraćić Leskina... Krzyki, dziki hurgot... Jim odepchnął Pawłysza i wypadł na zewnątrz przez boczny właz... Tatiana pomagała mu wciągnąć do środka ciało astronoma, a szpony smoka łomotały w dach łazika...

Potem nastąpiła cisza, tak głęboka, że aż dzwoniło w uszach... Przez to dzwonienie przebijał huk pracującego silnika i chrapliwy jęk.

- Musiałem - powiedział Leskin silnym, spokojnym głosem. - Musiałem ratować Pawłysza... Chciałem... - i u-milkł.

Pawłysz zmusił się do oderwania rąk od dźwigni. Nie przyszło mu to łatwo, gdyż palce niemal wrosły mu w metal. Leskin leżał na podłodze kabiny. Tatiana rozcinała na nim skrwawiony kombinezon. Świstaczek zwinął się w kłębek i mrużył ślepką.

Nie można było wezwać kutra ratunkowego, gdyż nie miałby gdzie wylądować. Nie można też było wieźć Leski-na do stacji łązikiem, bo stracił mnóstwo krwi i był w ciężkim stanie. Pawłysz prowizorycznie opatrzył go i wstrzyknął środki przeciwbólowe.

- Zjedźmy nad rzekę - powiedział. Teraz już nikt nie przeciwstawiał się jego rozkazom.

Jim usiadł na miejscu kierowcy. Pawłysz i Tatiana podtrzymywali Leskina, starając się łagodzić wstrząsy. Jim prowadził ostrożnie, ale mimo wszystko łązik co chwila podskakiwał do góry. To może nawet lepiej, że Leskin stracił przytomność.

Dotarli nad rzekę, wjechali w jej koryto i jakieś cztery kilometry płynęli z prądem. Przy niskim, pochyłym brzegu, o sto metrów od rzadkiego lasu, Pawłysz poprosił Jima o wyprowadzenie łązika na grunt. Zatrzymali się przy pierwszych drzewach i wynieśli nieprzytomnego Leskina na trawę. Tania z doktorem mieli przy nim zostać, a Jim ruszyć pełnym gazem do stacji, żeby przywieźć lekarstwa i kapsułę ratowniczą, w której można było bez ryzyka ewakuować rannego.

- Trochę to niebezpieczne - powiedział Jim, wsiadając do wozu. - Mogą jednak przylecieć.

- Nie ma obawy - odparł Pawłysz. - Smoków tu nie będzie.

- Jesteś pewien, doktorze?

Tania i Pawłysz obserwowali, jak łązik przecina rzekę, a potem, przedzierając się przez krzewy, wspina się na przeciwległe zbocze. Wóz zniknął, ale jeszcze przez jakiś czas docierał do nich trzask łamanych gałęzi i ryk silnika. Potem zrobiło się cicho, tylko Leskin z rzadka pojękiwał. Dzień był pochmurny, lecz suchy.

- Sława, proszę się na niego nie gniewać - powiedziała Tania. Siedziała na ziemi obok Pawłysza, objąłszy rękami kolana. Pawłysz uniósł przegub ręki Leskina i policzył puls. - On myślał, że spieszysz ci na ratunek.

- Wcale się nie gniewam.

- A smocze jajo się stłukło.

- Nawet tego nie zauważyłem. Co ze świstakiem?

- Został w kabinie i nawet nie wie, że to wszystko przez niego.

Wiatr przebiegł nad rzeką, zmarszczył wodę.

- Wiesz, Taniu - powiedział Pawłysz - że wkrótce nasza stacja przeniesie się tutaj?

- Na brzeg? Bardzo się cieszę - Tania wcale się nie zdziwiła.

- Ładna okolica?

- Woda pod nosem, można się kąpać. Latem będzie gorąco. A dlaczego?...

- Opowiem ci krótką historyjkę kryminalną. Przecież każdy kryminał kończy się solowym występem detektywa, który przyznaje się do własnych błędów i zapoznaje słuchaczy z tokiem genialnego rozumowania, które doprowadza do wykrycia, kto z obecnych sypał truciznę do ulubionej filiżanki starej hrabiny.

- Opowiadaj więc, detektywie - powiedziała Tatiana. Była zmęczona, niepokoiła się o Leskina i dlatego podtrzymywała grę bez normalnego zapału.

- Co zastałem po przybyciu na stację? - kontynuował Pawłysz. - Smoki, które napadały na ludzi i kompletnie zaszczutą wyprawę.

- To już lekka przesada.

- Oczywiście, ale cała literatura bazuje na przesadzie. A jakie wersje śledcze narzucały się przede wszystkim? Że na planecie mieszkają troglodcy i smoki biorą nas za nich. Mało przekonujące. Zbyt niski poziom ewolucji. Druga wersja jest twoja: zjawili się jacyś przybysze i rozzłościли smoki, które mają świetną pamięć.

- Pamiętam, ale to nie wersja, tylko głupi pomysł.

- Nic podobnego. Ta wersja jest równie dobra, jak każda inna. Ostatecznie wszystko sprowadza się do dwóch wariantów: albo w czymś przeszkodziliśmy smokom, albo biorą nas za kogoś innego. Poszczyliło mi się, bo w dniu mojego przyjazdu upolowaliście smoka. Zbadałem go. i co się okazało? Metabolizm smoków nie pozwala na odżywianie się ludźmi. Co więcej, wkrótce potem dowiedziałem się, że komary, które wściekle atakują ludzi, również nie mogą pić naszej krwi, gdyż jest dla nich trująca. Czyli tutejsza fauna zachowuje się podobnie do ludzi, którzy umyślnie zbierają muchomory, zjadają je i umierają w męczarniach. A co najważniejsze, zarówno smoki, jak i komary szaleją wyłącznie w okolicach naszego wzgórza. W lesie już ich nie ma.

- I po stwierdzeniu tych faktów wyłoniła się nowa wersja - powiedziała Tatiana.

- Naturalnie. Nazwijmy ją wersją tragicznej pomyłki. Wcale tego nie zauważając zajęliśmy ich dom. Komary lecą w kierunku ciepła - ciepła świstaków. Skąd niby mają wiedzieć, że to jest inne ciepło. A smoki biorą nas za kogoś innego, za swoją normalną zdobycz.

- Dlaczego więc smok, kiedy chciał cię schwytać, szczęknął szponami na wysokości metra nad ziemią? Kiedy przeprowadziłam eksperyment z pełzaniem, smok również chybił, zwierając pazury na tej samej wysokości, i dlaczego one rzucają się na jasne przedmioty?

- Po prostu zawodzi je instynkt, gdyż właśnie w ten sposób od pokoleń polowały.

- Ale przecież na naszym wzgórzu nie ma świstaków! - To właśnie wprowadzało nas w błąd. Inaczej trudno byłoby się nie domyślić, o co tu chodzi, i właśnie to zmuśliło komary

do picia naszej, trującej dla nich krwi.

- A gdzie... - zaczęła Tania, ale Pawłysz jej przerwał:

- To znaczy, że istnieje nisza ekologiczna. Każde wzgórze tworzy odrębną biocenozę. Komary gnieźdzą się w norach świstaków i piją ich krew. Najprawdopodobniej same też są świstakom do czegoś potrzebne, może ich larwy służą im za pokarm. Świstaki odżywiają się mrówkami i kontrolują ich liczebność... Smoki również korzystają z tej biocenozy, ale pieczołowicie pilnują, żeby ich terytorium było nienaruszalne. Zjadają słabe, chore, nieprzystosowane zwierzęta.

- A ja siedziałam na dachu - przypomniała sobie Tania.

- Najazd rozmnożonych ponad miarę mrówek stał się dla mnie ostatnim kamykiem, uzupełniającym mozaikę tego świata - powiedział Pawłysz. - No dobrze, idźmy dalej. Co się więc stało? Przylatujemy, lądujemy na wzgórzu. Dzieje się to w porze deszczowej, kiedy życie na planecie zamiera. Zaczynamy budować stację i zasypujemy nory, nawet ich nie zauważając. Świstaki giną albo uciekają do lasu. Tam nie ma ich pokarmu, wobec czego zwierzęta stopniowo wymierają. Pamiętasz świstaka, którego mi przywiozłaś? Był chory i półżywy z wyczerpania. Komary w procesie ewolucji przyzwyczyły się do poprzestawiania na „własnych” świstakach. Odlecieć stąd nie mogą. Świstaków zabrakło, leciały więc do ciepła, gryzły nas i zdychały od naszej krwi. A smoki straciły siedlisko. Pewnie chętnie by zmieniły wzgórze, ale na każdym szczycie mieszka odrębny ród, który nie wpuści do siebie obcych smoków.

- A jeśli tutaj będzie coś podobnego? - Tatiana rozejrzała się dokoła, wsłuchiwała się w odgłosy lasu.

- Wszystko zależy od nas. Zanim się przeniesiemy, trzeba będzie sprawdzić, czy przypadkiem nie wchodzimy komuś w drogę.

- Zgoda - powiedziała Tatiana. - Mnie się tu podoba.

„Segeza” weszła na orbitę po dziesięciu tygodniach od chwili, kiedy Pawłysz zastąpił doktora Stresznego. Statek miał wysłać własny kuter z towarami dla stacji. Nina i Pawłysz udali się pieszo w kierunku lądowiska, gdyż Mała Tania i Jim naprawiali łązik. Niezawodny dotąd pojazd zepsuł się akurat wtedy, kiedy należało dowieść gościom, że trafili na wzorową stację.

Ukryli się przed palącymi promieniami słońca pod lekkim daszkiem tuż obok ekspedycyjnego kutra ratowniczego. Po śliskiej, błyszczącej burcie stateczku wędrowała długa karawana pomarańczowych pajaków. Przodem szedł największy, dowódca, a za nim reszta według wzrostu. Pajaki nie mogły utrzymać się na gładkim metalu i od czasu do czasu któryś z nich ciężko spadał na plastikową podłogę, ale pozostałe natychmiast zwierzały szeregi.

- Znalazły gniazdo - powiedział Pawłysz.

Pajaki lubiły ptasie jaja i ciągle szwendały się w pobliżu.

- Grabieżcy - powiedziała Nina. - i jak to z nimi bywa, tchórzliwi.

Przykryła dłonią pajaka zwiadowcę, biegnącego przed szykiem. Pajak udał martwego. Nina wyrzuciła go w krzaki. Pozostałe pajaki rozbiegły się, złamały szyk, nie wiedząc dokąd iść.

- Niech się szamoczą. Może papuga zdąży przenieść jajka w inne miejsce.

Cycero, który nie odstępował Niny na krok, uznał, że Nina rzuciła pajaka po to, aby przyniósł go z powrotem, i pobiegł w zarośla.

- Nie odchodź za daleko - krzyknęła Nina.

Z gałęzi pobliskiego drzewa sfrunęła duża papuga. Wypatrzyła błyszczący guzik przy mundurze Pawłysza i postanowiła wziąć go sobie na pamiątkę. Pawłysz odpędził ją ręką i powiedział:

- Lepiej byś pilnowała jaj. Nie widzisz pajaków?

- Chętnie stąd odlatujesz? - zapytała Nina.

- Nie.

- Ja też wolalabym, żebyś został. Tym bardziej że roboty starczy tu na długo. Może jednak...

- Streszny wraca.

- Łatwo znajdziesz z nim wspólny język.

- Przecież wiesz, że odleczę.

Papuga jeszcze raz próbowała dobrać się do guzika.

- Stopniowo odnajdujemy własne miejsce w tej niezbyt zgodnej rodzinie.

- Dziękuję. Beze mnie rezultat byłby taki sam.

- Nie wiem. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo narastania wrogości i z każdym krokiem coraz trudniej jest obejrzeć się za siebie i odnaleźć pierwszy błąd. Przecież mogło się zdarzyć, że stacja zostałaby zwinięta, a planeta zamknięta dla badań, dopóki nie znajdą się „skuteczne metody walki z wrogą fauną”.

Spoza zakrętu wyłoniła się pokierszowana maska łazika. Pojazd stanął przy hangarze. Tania wyskoczyła z wjazdu, a za nią na ziemię zwałił się Napoleon.

- Nino - powiedziała Tatiana - zamawialiśmy otwarte wózki. Przywieźli je?

- Za chwilę się dowiesz. Napoleonie, dokąd to? Tatiana dopędziła Napoleona i dała mu prztyczka w biały ryjek. Świstak obraził się i usiadł na poźółklej trawie.

Kuter z „Segeży”, połyskując w słońcu, wolno opadł na polanę. Cycero przestraszył się, wypadł z zarośli i przytulił się do Niny. Zapomniał o pająku i ścisnął go w łapce jak cukierek.

Otworzył się wjazd kutra i na ziemię spłynęła pochylnia wejściowa. W otworze wjazdu ukazał się Gleb Bauer, mrużąc oczy oślepione jaskrawym światłem. Dostrzegł wychodzącego z cienia Pawłysza i krzyknął:

- Sława, opaliłeś się jak na wczasach!

Doktor Streszny, który wyłonił się za nim, natychmiast spojrział na niebo. Nina powiedziała:

- To nie od razu mija.

Świstak Cycero nabrał odwagi i ruszył przez polanę w kierunku Gleba. Wyciągnął łapkę jak po jałmużnę. Ludzie okropnie go rozpuścili.

- Taniu, opiekuj się świstakami - powiedział Pawłysz. -Kleopatra lada dzień powinna rodzić.

- Sława, nie przejmuj się tak bardzo - powiedziała Nina. - Widzę, że nie potrafisz sobie wyobrazić życia bez Kleopatry.

Gleb rozculił się patrząc na Cycerona.

- Jaki on śliczny. Jak się nazywasz, pingwinie?

Cycero zrozumiał, że człowiek zwraca się do niego, i przechylił śmiesznie głowę, zastanawiając się, co by tu można było wycyganić od gościa.

- Czy to są świstaki? - zapytał Streszny, przywitawszy się z obecnymi. - Jakoś do tej pory nie miałem okazji przyjrzeć się im z bliska.

- Nie wolno żebrać - skarciła Nina Cycerona. - Jak się będziesz tak zachowywał, to przyleci smok i cię zabierze.

Napoleon poderwał się z ziemi i podreptał w stronę ludzi, udając chciwego poszukiwacza skarbu, który spóźnił się na podział złotodajnych działek w Klondike.

Gdzieś niezmiernie wysoko w oślepiająco słonecznym niebie krążył smok, nie zwracając najmniejszej uwagi na ludzi i świstaki.

Dymitr De-Spiller
Przedziwna planeta Igwi

1

Podczas lądowania statek zawadził jedną z łap o gładką ścianę dołu i mało brakowało, a byłby tam wpadł. Utrzymał jednak równowagę, wdrapał się po zboczu na równą płaszczyznę, czepiając się gruntu mosiężnymi spiralnymi podkowami i znieruchomiał.

Gurow spojrział przez iluminator. Wokół rozciągała się błękitnoszara równina. Monotonny krajobraz Igwi urozmaicały trochę nieliczne pagórki. Niebo było czarne. Skrzyły się na nim gwiazdy, a nisko nad horyzontem płonął wschodzący Ewitarius, oświetlając promieniami równinę, i rzucając gigantyczne refleksy na jej powierzchnię przypominającą zmatowiałe szkło.

- Znajdujemy się w odległości mniej więcej pięciuset kilometrów od północnego bieguna Igwi - stwierdził Bujancew rzuciwszy okiem na tablicę świetlną.

- O pięćset dwadzieścia - uściślił Mostów.

- Bardziej na południe nie mogliśmy wylądować. Tam jest o wiele goręcej niż tu - powiedział Gurow i rozpoczął przygotowania do wyjścia na zewnątrz. Ubrał się w żaroodporny skafander, włożył buty na grubych owalnych podszwach i po przejściu dwóch hermetycznych komór znalazł się na powierzchni planety. Dreptał chwilę w miejscu, aby rozprostować kości, po czym bez pośpiechu skierował się w stronę pobliskiego wzgórza. Miał zamiar zrobić z wierzchołka trochę zdjęć filmowych.

Przeszedł pewnie jakieś pięćset kroków, gdy poczuł nagle silnie pchnięcie, stracił równowagę i upadł. Wydało mu się, że coś żywego prześlizgnęło się koło jego butów.

Spróbował wstać, lecz dotkliwy ból zmusił go do przysiadu. Wyglądało na to, że zwichnął nogę. Gurow, wściekły, włączył nadajnik i po chwili Bujancew i Mostów usłyszeli przytłumiony szumem zakłóceń głos swego kapitana:

- Chłopcy, czy mnie słyszycie?

- Słyszemy - odpowiedział Bujancew.

- Zwichnąłem nogę i potrzebuję pomocy.

- W porządku, kapitanie, już idziemy - odparł Bujancew.

Po chwili Bujancew i Mostów kroczyli po śliskim igwijskim gruncie. W gigantycznym, oślepiającym blasku Ewitariusza z trudem dostrzegali sylwetkę Gurowa.

Kiedy zbliżyli się do miejsca, w którym Gurow zwichnął nogę, Bujancew ze zdumieniem rozłożył ręce: kapitan znikł, jakby się zapadł w głąb.

Nieprawdopodobna historia! Przecież nie mógł się nigdzie schować, chyba że za wzgórzem. Zaniepokojony Mostów krzyknął na cały głos do mikrofonu:

- Gurow, czy mnie słyszysz?! Odezwij się!...

Odpowiedzi nie było.

Bujancew z Mostowem obeszli wzgórze dokoła i szybko przekonali się, że Gurowa nigdzie nie ma. Wówczas zdecydowali, że muszą się rozdzielić. Mostów postanowił wdrapać się na wzgórze, aby stamtąd rozejrzeć się po okolicy.

Ze wzgórza oczom Mostowa ukazał się bardzo dziwny obraz. Ich statek przesunął się trochę w bok i stanął sztorcem, opierając się jedną z łap o sterczącą pod kątem z powierzchni gruntu ciemną kolumnę. Kolumna ta, idealnie gładka i prosta, wyglądała jak lufa działa artyleryjskiego wycelowana gdzieś w bok od wąwozu, na którego skraju wylądował statek.

Za wzgórzem Mostów dostrzegł Bujancewa, który stał i z uwagą przyglądał się dziwnej kolumnie. Nagle Mostów zdał sobie sprawę, że statek znajduje się w bardzo chwiejnej pozycji. Niech tylko łapa ześlizgnie się z kolumny, statek stoczy się po zboczu w dół i wywróci.

Kosmonauci po naradzie zdecydowali, że wrócą na statek i jeśli tylko okaże się to możliwe, spróbują wznieść się w górę. Może krążąc nad równiną odnajdą Gurowa i rozeznają się w tym, co się na tej planecie dzieje.

Po piętnastu minutach Bujancew i Mostów siedzieli już za pulpitem sterowniczym i usiłowali uruchomić statek. Nie udawało im się jednak w żaden sposób oderwać łapy statku od kolumny. Okazało się, że kolumna przebiła mosiężną spiralną podkowę i utkwiała w niej na dobre. Wówczas postanowili naruszyć połowę awaryjnego zapasu baterii sferycznych - przy ich pomocy statek uwolnił wreszcie swoją łapę i wznosił się w górę.

W tym samym czasie, kiedy miały miejsce te niezwykle wydarzenia, pewna ekspedycja polarna, w skład której wchodził Botanik, Medyk i Technolog, odkryła niezwykle rośliny, zdolne - aż strach pomyśleć - poruszać się samodzielnie. W trakcie przeprowadzania gorączkowych prac badawczych ruchliwe rośliny zostały trochę nadwerężone.

Pierwszy natknął się na rośliny szef ekspedycji - Botanik. Przechadzając się powoli wczesnym rankiem w pobliżu Namiotu, w którym obok pojemnika z mieszanką odżywczą spali sobie w najlepsze Technolog i Medyk, Botanik rzucił okiem na grunt i stanął jak wryty. Trzy ciemne plamy przesunęły się skokami, oddalając się od wzgórza, na szczycie którego uczestnicy ekspedycji umieścili niedawno potężny miotacz harpunów. Po krótkiej wędrówce plamy zatrzymały się.

Botanik pochylił się nad zagadkowymi plamami, chcąc przyjrzeć im się dokładnie. Miały spiralny kształt i oczywiście nie mogły być niczym innym, jak przedstawicielami nieznanej jeszcze nauce odmiany polarnego porostu.

Botanik zadrżał z emocji. Odkrył porosty, które potrafią poruszać się po gruncie! Skostniałej od wielowiekowego zastoju teorii biologii kosmostatycznej groził nieoczekiwany i nieprawdopodobny wstrząs.

Szef ekspedycji jak wicher wpadł do Namiotu i potrząsnął za ramiona swoich współpracowników. Obudzeni koledzy niezwłocznie udali się za nim, aby zobaczyć nowe zjawisko na własne oczy.

Podczas oględzin roślin wydarzyło się jeszcze coś dziwnego. Na powierzchni gruntu pojawiły się nieoczekiwanie dwie małe, owalne plamy. Niewątpliwie były to pędy spiralnych roślin. Posuwały się susami, gwałtownie, co świadczyło o tym, że rozpoczął się proces rozmnażania. Na twarzy Technologa pojawił się rumieniec. Zaczerwienił się on, rzecz jasna, nie dlatego, że stał się mimowolnym świadkiem najskrytszej tajemnicy przyrody. Po prostu Technolog zawsze dotychczas odrzucał możliwość istnienia tego rodzaju roślin. Szczycił się swoją racjonalistyczną postawą i uważał, że stara legenda, mówiąca o takich roślinach, nie zasługuje na uwagę, i oto okazuje się, że nie miał racji! Głęboko zawstydzony pogratulował serdecznie Botanikowi wielkiego odkrycia. Medyk uczynił to samo, po czym wszyscy trzej powolutku ruszyli śladem owalnych pędów.

Po chwili młode pędy znalazły się w pobliżu szerokiego dołu, gdzie prawdopodobnie miały zamiar się skryć. Botanik postanowił oderwać kawałek gruntu wraz z tkanką ruchliwych pędów i delikatnie wbił w grunt motykę. Pędy zareagowały na to tak, że najpierw znikły, a następnie przekształciły się w niestabilną latorośl o trzech pędach, zmieniając co

chwila swój kształt.

Wgłębienie, które powstało w gruncie od uderzenia motyka, jak należało się spodziewać, wypełniło się - w strefie polarnej grunt zawsze się wyrównuje, niwelując niewielkie wgłębienia. Oczywiście nie jest żadnym paradoksem fakt, że głębokie doły, na odwrót, nie wypełniają się.

„A to dopiero!” - zadumał się Botanik, obserwując osobliwe pędy. Przyszło mu do głowy, że roślina zmieściłaby się z łatwością w czerpaku koparki, którą uczestnicy ekspedycji pobierali próbki gruntu, i dobrze byłoby spróbować ją oderwać. Botanik poprosił kolegów, by przetoczyli koparkę w kierunku jego znaleziska, po czym ustawił ją tak, by można było roślinę zgarnąć. „Byle tylko czerpak się nie zerwał” - myślał przyglądając się, jak koparka zagłębia się w grunt.

Kawałek gruntu wraz z naukową zdobyczą znalazł się w czerpaku, wzniosł się razem z nim w górę i zawisł na giętkim wysięgniku nad wrytym w gruncie dołem. Wewnątrz czerpaka - widać to było przez przezroczyste ścianki - coś się chwilami poruszało i kłębiło. Ruchliwy porost stał się własnością badaczy.

Ten radosny fakt został uczczony marszem triumfalnym wokół koparki, po czym uczestnicy ekspedycji udali się do Namiotu i zajęli się mieszanką odżywczą. Nie zdążyli jeszcze zaspokoić głodu, gdy Botanik uświadomił sobie, że spiralne rośliny mogą gdzieś przewędrować i... szukaj potem wiatru w polu. Zdecydował więc, że należy niezwłocznie przytwierdzić je jakoś harpunem do gruntu. Botanik w towarzystwie Technologa udał się na wzgórze, na którym był umieszczony miotacz harpunów, wycelował w kierunku najbliższej spiralnej rośliny i wystrzelił.

O dziwo, nie przyniosło to oczekiwanego rezultatu.

Zaatakowana harpunem roślina nie została przyszpilona do gruntu, lecz znikła, a dwie inne lekko się przesunęły. Harpun wbił się w grunt, pozostawiając w nim długi kanał, który był na tyle głęboki, że nie wypełnił się.

Technolog nawinął linę na bęben, wyciągnął harpun z kanału i z wrażenia aż zdrętwiał, harpun był spłaszczony na placek.

To był prawdziwy pech! Ekspedycja utraciła w ten sposób możliwość obrony przed sarjarami. Gdyby się teraz pojawiły, trzeba będzie rzucić badania i wycofać się do Miasteczka Biologicznego. Pograżeni w niewesołych myślach badacze powrócili do przerwanej posiłku.

3

Już przeszło godzinę statek krążył w czarnym niebie nad powierzchnią planety Igwi. Martwa powierzchnia planety odbierała kosmonautom nadzieję na wyjaśnienie tajemnicy zniknięcia kapitana. Mieli do dyspozycji jeszcze pół godziny, potem wyczerpią się zapasy diamagnetycznej plazmy, będą musieli udać się do Piątej Stacji Zewnętrznej. Bujancew i Mostów przestali już wierzyć, że zobaczą jeszcze kiedyś Curowa.

- Obawiam się, że kapitan zamienił się w parę - powiedział zdenerwowany Bujancew.

- Tak uważasz?

- To bardzo prawdopodobne. Może gdzieś obok niego z niewiadomych przyczyn wydzieliło się nagle bardzo dużo ciepła i oto rezultat - zniknięcie bez śladu.

- Możliwe, że masz rację, tylko dziwne, że to ciepło nie pozostawiło żadnych śladów - zauważył Mostów.

- Istotnie. W ogóle tyle tu niezrozumiałych rzeczy. Jak wyjaśnić, na przykład, monolityczność gruntu Igwy? Przecież nie ma tu atmosfery i promienie Ewitariusza powinny były rozdrobnić grunt na proszek.

Kosmonauci przelatywali nad nielicznymi wzgórzami i dolinami bardzo przypominającymi te, które widzieli już wcześniej. Refleksy odbitych od gruntu promieni Ewitariusza prześlizgiwały się po równinie, kopiując jak gdyby rozkołysane ruchy statku kosmicznego.

Wreszcie dostrzegli kolumnę, która tak jak poprzednio sterczała z gruntu, i prawie równocześnie ujrzeli Gurowa. Leżał nieruchomo na łagodnym stoku wzgórza.

Podksecytowani kosmonauci natychmiast skierowali statek w dół, wylądowali, wypadli z włazów i pędem podbiegli do kapitana. Gurow był nieprzytomny.

4

W czasie gdy Bujancew i Mostów krążyli nad milczącym obszarem Igwi w poszukiwaniu swego kapitana, ekspedycja kierowana przez Botanika doznała trzech kolejnych niepowodzeń.

Po pierwsze - z okolicy Namiotu bardzo nie w porę znikły spiralne rośliny. Skrupulatne przeszukanie każdego skrawka poletka doświadczalnego nie dało rezultatu - świadectwo wielkiego odkrycia przepadło gdzieś jak kamień w wodę.

Przygnębiony Botanik postanowił skontaktować się z Miasteczkiem Biologicznym. Nadał w tym celu telegram, w którym informował o wszystkim, co zaszło. Między innymi także o tym, że w wyniku zderzenia z zadziwiająco twardą rośliną harpun się spłaszczył.

Po wysłaniu telegramu Botanik, trochę już uspokojony, poprosił kolegów, by przesunęli koparkę w stronę Namiotu. Postanowił przetransportować ruchliwy porost do specjalnej skrzyni. Odkręcił nawet w tym celu pokrywę.

Medyk z Technologiem zdążyli już przebyć połowę drogi, gdy zdarzyło się nowe nieszczęście - zepsuł się wysięgnik koparki. (Jak wykazało przeprowadzone potem dochodzenie, jego konstrukcja miała pewne odchylenia od normy.)

Odbyło się to tak: najpierw wewnątrz wysięgnika pojawiły się jakieś pęcherze. Po chwili pęcherze pękły, wysięgnik zgiął się, wypłynęły z niego struzki lśniącej cieczy, a potem wszystko to znikło bez śladu. Czerpak upadł na grunt i też rozpląnął się w przestrzeni. Grunt się wybrzuszył, jakby wchłonął trochę znajdującej się w czerpaku substancji, osiadł i znów stał się gładki jak poprzednio. Jednakże na powierzchni gruntu wyraźnie rysowały się bardzo zmienione kontury ruchliwej rośliny, która wydostała się teraz na zewnątrz.

Po tym drugim idiotycznym pechu spotkał ekspedycję jeszcze jeden, którego zwiastunem stał się nadany z Miasteczka Biologicznego pilny telegram. W telegramie w słowach pełnych współczucia informowano ich, że z otrzymanych danych wynika, iż stado sarjarów zbliża się do miejsca, w którym ulokowała się ekspedycja. Pozbawieni broni badacze powinni jak najprędzej wycofać się z zagrożonego terenu - ekspedycja zostanie natychmiast ewakuowana.

Bardzo przygnębiająco podziałała ta wiadomość na Botanika. Runęły jego nadzieje, że zostanie naukowo potwierdzone odkrycie roślin, które zdolne są samorzutnie poruszać się po gruncie. Ze złości i z żalu jego twarz przybrała barwę pąsową.

Wkrótce do Namiotu podjechało urządzenie transportowe. Uczestnicy ekspedycji zajęli w nim miejsca i urządzenie ruszyło w kierunku Miasteczka Biologicznego.

Medyk twierdził później, że przez siatkę okalającą platformę urządzenia

transportowego widział jakoby w pobliżu Namiotu trzy dziwne rośliny w kształcie spirali.

5

Już trzecią dobę oddalała się planeta Igwi od kosmonautów zdążających w bezkresnym przestworzu kosmosu do Piątej Stacji Zewnętrznej.

Gurow doszedł już do siebie i relacjonował kolegom swoje przygody. Wówczas, kiedy Bujancew i Mostów ruszyli w jego kierunku, grunt pod nim się rozstał, on runął w jakąś otchłań, a grunt się nad nim zamknął. Porządnie nim wtedy zatrzęsło.

- Krzyczałem do was ile sił, aż wreszcie ochryłem. Obmacałem ręką kask i stwierdziłem, że nadajnik jest uszkodzony. Zapewne uderzył o coś. Znajdowałem się w kamiennym worku, ale, o dziwo, przez ścianki wszystko widziałem - grunt Igwi jest przezroczysty.

- Czyżby? - zdziwił się Bujancew. - Mnie się on nie wydał przezroczysty.

- To zapewne dlatego, że powierzchnia planety przepalona jest promieniami Ewitariusa i wyblakła. Mogę was zapewnić, że grunt Igwi jest jak matowe szkło: przezroczysty od wewnątrz i nieprzezroczysty z zewnątrz. Tak więc znajdowałem się w jakiejś klitce. Przez ściany przenikało jasne światło, a o jakieś dziesięć kroków ode mnie w warstwie przezroczystego gruntu płąsały jakieś trzy świecące stwory. Kiedy jeden z nich podpłynął bliżej, zdołałem mu się dokładnie przyjrzeć.

Wielki, błyszczący, na połę przezroczysty sznur nieustannie się wyginał. Stawał się to grubszy, to cieńszy. Oplatały go setki wijących się odgałęzień - to wybrzuszały się, to nikły w środku. Jego barwa stale się zmieniała - wewnątrz przesuwwały się z miejsca na miejsce różnokolorowe plamy. Trzęsąc się i kołysząc stwór poruszał się w przestrzeni trójwymiarowej.

Gurow naszkicował na kartce, jak wyglądał ów stwór, i opowiadał dalej:

- Zauważyłem tam jeszcze jakieś świecące przedmioty. Ściany mojej klitki jarzyły się zielonym światłem i obwiedzione były czerwoną zębatą linią. Miałem wrażenie, że siedzę w zielonej skrzynce składającej się z dwu części. Od dołu zielone światło wspierało się na wygiętym słupie niebieskiego światła, a drugi koniec słupa, sterczący w górę, ginął w jakimś dużym splocie świecących taśm.

- A czy widziałeś powierzchnię planety? - zapytał Mostów.

- Widziałem. Ze środka wyglądała jak biały namiot pokrywający świat, w którym się znajdowałem. Zauważyłem, że substancja wypełniająca ten świat jest mieszaniną dwu minerałów. Jeden z nich, bezbarwny, zawiera mnóstwo jasnoliliowych kryształków wielkości ziarenka maku. Kiedy tańczący stwór przechodził przez te ziarenka na wskroś, mieniły się one kolorami tęczy. Zauważyłem, że żadna cząstka substancji nie zmieniła przy tanecznych

ruchach stworu swego miejsca. Przesuwał się tylko z miejsca na miejsce jakiś barwny proces.

- Domyślam się, co chcesz powiedzieć! - zawołał Mostów. - Kiedy po tablicy świetlnej biegną litery, w rzeczywistości zapalają się i gasną lampki. Tak to wyglądało?

- Dokładnie tak - potwierdził Gurow. - Później, kiedy te stwory odpłynęły, rozmyślałem o nich i doszedłem do wniosku, że te istoty to są procesy. Procesy trwała, zlokalizowane i w dodatku żywe. Może powstały one w wyniku ewolucji, która ciągnęła się miliony lat.

- A w jaki sposób wydostałeś się ze swojej klitki? - zainteresował się Bujancew.

- Tego właśnie nie wiem. Pamiętam, że dziwne stwory dokądś odpłynęły i długo nie było ich widać. Co prawda chwilami wydawało mi się, że w oddali przepływają świecące plamy. Przypomniałem sobie, że mam przecież kamerę filmową, wyjąłem ją z pokrowca i w tej samej chwili zbliżyły się do mnie dwa stwory. No cóż, zaryzykuję - pomyślałem i nacisnąłem elektroiskrowy dystryktor kamery filmowej.

I wtedy zdarzyło się coś dziwnego: moja klitka kołysząc się jak na falach przepłynęła przez warstwę gruntu Igwi. Przez chwilę tkwiła nieruchomo, a potem gwałtownie przechyliła się w bok. Mimo woli oparłem się chorą nogą o ściankę, poczułem przeszywający ból i straciłem przytomność...

Kiedy Gurow skończył swą opowieść, Bujancew powiedział:

- Nie rozumiem tylko, w jaki sposób te istoty-procesy żyjące w gruncie Igwi schwytały cię i co oznacza ta kolumna? Co to za diabelskie sztuczki?

- Nie wiem, jak one robią te swoje kawały - powiedział Mostów - ale przyszło mi do głowy, że niewykluczone, iż między naszymi pojęciami i ich pojęciami zachodzi zabawna korelacja: to, co jest dla nas próżnią, dla nich jest jakąś materią - i na odwrót.

- Co takiego? - zdziwił się Gurow.

- Zastanówmy się. Te istoty-procesy mogą zapewne poruszać się dowolnie w warstwach gruntu i nie wydaje im się on czymś stałym. A próżnia to dla nich coś takiego, jak dla nas granitowa skała - te istoty stają wobec niej bezradnie. Wyobraźmy teraz sobie, że dysponują one narzędziami do deformacji próżni. Wówczas każda szczelina, którą zrobią, wyda nam się kolumną. Wzgórza to dla nich doły, a doły - to wzgórza.

Wkrótce potem trójka kosmonautów obejrzała nakręcony przez kapitana Gurowa film. Na ekranie przesuwwały się, pląsały i falowały dwa wibrujące kolorowe stwory. Któż by mógł pomyśleć, że jedna z tych zjaw była specjalistą w dziedzinie nauk technicznych, a druga - medycznych (byli to Technolog i Medyk). Gdyby statek wylądował na Igwi o trzydzieści - czterdzieści stopni bardziej na południe, oczom Ziemiaków ukazałby się całkiem inny obraz: zobaczyliby całe kolonie przezroczystych, zakrzywionych rurek, w których ściankach

zapalają się i gasną miliardy różnokolorowych iskier. Tak wyglądają korzenie roślin tropikalnych, zdobiących dziwny świat ukryty we wnętrzu planety Igwi.

Wiktor Kołupajew

Miłość do Ziemi

Projekcja holograficzna, zwana teleścianą, rozbłysnęła nagle oślepiającym, niebieskim światłem, zamigotała i powoli wypełniła cały pokój. Espace usadowił się wygodnie w głębokim skórzanym fotelu i wyciągnął nogi. Zawsze z wielkim zainteresowaniem oglądał ostatnie wiadomości. Obrazy holograficzne przenosiły go z jednego zakątka Ziemi w drugi, rzucały w głąb oceanu i w otchłań kosmosu. Miał wrażenie, że staje się uczestnikiem zdarzeń, w jakich by w rzeczywistości nigdy nie mógł uczestniczyć, i to sprawiało mu przyjemność.

Już od kilku miesięcy Espace mieszkał w tym zagubionym nad brzegiem morza pensjonacie. Nigdy nie oddalał się od niego, starał się nie patrzeć na płytę z gliderami i unikał towarzystwa, choć był człowiekiem wesołym i dowcipnym.

Espace pragnął wiedzieć o Ziemi wszystko i całymi godzinami wysiadywał przed teleścianą, ciesząc się, że wszystko to może zobaczyć. Jego nienasycona miłość do Ziemi, do oceanów, lasów, drzew, zwierząt, miast była czymś w rodzaju choroby, na którą nie zwracał uwagi. A gdyby nawet zwrócił, to i tak nie zechciałby się od niej uwolnić. I tylko gdy już oczy odmawiały mu posłuszeństwa, schodził na brzeg morza i kładł się na gorącym białym piasku. Potem wdrapywał się na niewysoką skałę nawisłą nad wodą i skakał w spienione fale. Odpływał daleko, czasem odpoczywał leżąc na plecach i wracał dopiero wówczas, gdy czuł się porządnie zmęczony. Wtedy znowu kładł się na piasku, patrzył w niebo na bielejące kędzierzawe chmury, a kiedy ciepło promieni słonecznych przeniknęło jego ciało, wstawał i wracał do pensjonatu.

Jedynie dwa razy zmusił się do tego, aby usiąść w fotelu glidera, unieść się w powietrze i polecieć do Limiki do Elsy. Pamiętał, gdzie mieszkała, ale za każdym razem zatrzymywał się przed jej drzwiami. Coś niezrozumiałego nie pozwalało mu iść dalej. Wracał do swego pensjonatu „Skalne gniazdo” i siadał przed teleścianą.

Wieczorami schodził na parter do baru, zajmował miejsce przed ogromnym staroświeckim kominkiem, w którym płonęły smolne polana, i słuchał, o czym rozmawiają przygodni towarzysze. W „Skalnym gnieździe” znajdowali schronienie ci, którzy z różnych względów chcieli na parę dni uwolnić się od kłopotów codzienności, oderwać się od wszystkich problemów. Tutaj nikt nikomu nie przeszkadzał, nie zadawał zbędnych pytań. Można było po całych dniach łązić po górach albo kapać się w morzu. Można było przyjechać nieoczekiwanie i równie nieoczekiwanie wyjechać, nie uprzedzając nawet recepcji.

W ciągu kilku miesięcy spędzonych w „Skalnym gnieździe” Espace nie zawarł żadnych znajomości. Z rzadka tylko wtrącał do rozmowy parę mało znaczących fraz. Rozkoszował się samotnością, rozkoszował się poczuciem jedności z całą Ziemią. Czuł się szczęśliwy.

Tego wieczoru, jak zawsze, siedział w barze, przysunąwszy fotel do kominka, i patrzył

z zachwytem na języczki ognia liżące polana. Obok siedziało jeszcze parę osób, niemal sami mężczyźni. Rosły barman od czasu do czasu roznosił kielichy z musującym napojem.

W pobliżu Espace'a, bliżej otwartego na oścież okna, siedział wysoki mężczyzna około czterdziestki. Jego czarne włosy miejscami przyprószone były siwizną. Już drugi wieczór z rzędu siadał w pobliżu Espace'a. Szczegół ten w gruncie rzeczy nie zwróciłby uwagi Espace'a, gdyby nie pewna okoliczność: otóż nieznajomy często, zbyt często, aby to wyglądało na przypadek, spoglądał w jego stronę.

Przesiedzieli w ten sposób około godziny i Espace zamierzał właśnie wrócić do swego pokoju, aby znowu uczestniczyć w wydarzeniach, które mógł mu zaofiarować stereoskopowy telewizor, kiedy nagle nieznajomy gwałtownie przysunął swój fotel do fotela Espace'a i zapytał:

- Espace?

Espace nie od razu odpowiedział. W twarzy mężczyzny było coś znajomego. A może po prostu był to powszechny, często spotykany na Ziemi typ urody. Oczy jego patrzyły czujnie, jakby spodziewał się przeczącej odpowiedzi i odrobinę drwiąco, jakby ta odpowiedź w żadnej mierze nie mogła go wywieść w pole.

- Tak, nazywam się Espace - odpowiedział dopiero po chwili i powoli wstał nie chcąc dopuścić do rozmowy.

- Wpadnę do ciebie. - Nie było to pytanie. Zdanie wypowiedziano tak, że nie było wątpliwości, że rzeczywiście przyjdzie do pokoju Espace'a. - Za dziesięć minut.

Espace mimo woli kiwnął głową. W chwilę później, kiedy uświadomił sobie już nie ton, a sens wypowiedzi, było mu głupio wobec siebie samego, że robi coś, na co nie ma ochoty. Nie zamierzał zawierać znajomości. To by odciągnęło go od stereoskopowego telewizora.

Przesunął fotel, żeby przejść, i sprężystym krokiem wyszedł z baru. Był wysoki i kształtnie zbudowany. Poruszał się dosyć niezwykle: wydawało się, że idą tylko nogi, podczas gdy tułów i głowa zostają w miejscu. Ale mimo wszystko w jego sposobie poruszania krył się pewien wdzięk.

Wszedłszy do pokoju natychmiast włączył teleścianę - niech nieznajomy sam nawiązuje rozmowę, jeśli ma ochotę. W kronice pokazywano połów ryb na Mielźnie Litwundzkiej, u jego nóg pluskały olbrzymie rybiska, których nazw nawet nie znał. Później wystąpił ktoś, kogo spiker przedstawił jako przewodniczącego komisji do spraw dalekich lotów kosmicznych. Ogłoszono konkurs na obsadzenie wakatów w ekspedycji „Prometeusz-7”. Espace uśmiechnął się. Nie wybierał się w Daleki Kosmos. Nie mógł wytrzymać z dala od Ziemi ani jednego dnia. A przecież to wyprawa na wiele, wiele lat.

Później wyświetlano starą kronikę filmową. Były to ostatnie kadry odebrane ze statku „Prometeusz-6”. Obraz był mało czytelny i nie udało się rozpoznać twarzy członków załogi.

Rozległo się pukanie do drzwi. Odwróciło to uwagę Espace'a i nie dosłyszał słów spikera, który mówił coś o wyprawie. Zdaje się, że nie odbierano od niej żadnych sygnałów.

Za drzwiami oczywiście stał nieznajomy. Espace milcząco wprowadził go do pokoju, nie zapraszając, aby usiadł. Ale gość usiadł bez zaproszenia. Espace był wdzięczny, że nieznajomy nie zajął miejsca w jego ulubionym fotelu, choć i stał bliżej drzwi. Espace usiadł i wyciągnął nogi. Kronika skończyła się. Rozpoczęta się audycja z serii „Wędrowniki po Syberii i Kanadzie”.

Nieznajomy nie wstając z fotela przechylił się i wyłączył teleścianę.

- Nazywam się Royd - powiedział.

Espace kiwnął głową na znak, że przyjął to do wiadomości.

- Od jak dawna siedzisz w tej górskiej dziurze? - zapytał Royd.

- W „Skalnym gnieździe” - poprawił Espace. - Około sześciu miesięcy.

- Espace, nigdy bym nie uwierzył, że możesz spędzić sześć miesięcy w tej górskiej dziurze.

- W „Skalnym gnieździe” - znowu poprawił Espace.

- Tak czy owak dziura - odparował Royd. Jego twarz o prawidłowych wyrazistych rysach była zwrócona w stronę Espace'a. Było w niej coś nieuchwytnie znajomego. Espace już był gotów zapytać o to, gdy Royd uprzedził go: - Próbujesz przypomnieć sobie, gdzie mnie widziałeś?

- Tak - odpowiedział Espace. - Często spotykany typ urody.

- Możliwe, choć spędziliśmy razem około dwu lat. Ale przypuszczam, że mnie nie pamiętasz... A co ty w ogóle pamiętasz?

Espace uśmiechnął się.

- Wszystko, co trzeba.

- Tylko to, co trzeba? A ponad to? Próbujesz zapomnieć czy zapomniałeś naprawdę?

Przez ostatnie sześć miesięcy Espace nie zastanawiał się nad tym. Po prostu, jak mu się wydawało, wyrwał się z ciemności i teraz rozkoszował się życiem, nawet nie swoim własnym, a życiem Ziemi.

- Nie potrzebuję nic więcej - odpowiedział chłodno.

- Dobrze - Royd uśmiechnął się. - Zaczniemy po kolei. Czy chciałbyś znaleźć się w ekspedycji „Prometeusz”?

- A więc o to chodzi? Jesteś werbownikiem? Nie ma chętnych?

- Ogłoszono konkurs - tysiąc osób na jedno miejsce. I to po komisji kwalifikacyjnej.

To znaczy, że nie chcesz?

- Za nic na świecie. Całkiem dobrze czuję się na Ziemi.

- A teraz z innej beczki. Nie zapomniałeś chyba Elsy?

- Nie - Espace mimo woli zagryzł wargi. Nie chciał, aby ktokolwiek wspominał jej imię. Tu sam jeszcze nic nie mógł zrozumieć.

- Byłeś u niej?

- Nie, nie byłem. - Espace odpowiadał, ponieważ czuł, że pytania nie były pustymi frazesami. A mimo wszystko rozmowa zaczęła go irytować.

- Wiem, dlaczegoś nie był u niej. Boisz się, że ona po prostu cię wyrzuci, nie zechce z tobą rozmawiać. Taki, jaki jesteś, nie istniejesz dla niej. Ty przecież nawet próbowałeś ją zobaczyć i stchórzyłeś. To nie miłość do Ziemi, to po prostu tchórzostwo.

- Dosyć! - Espace zacisnął dłonie na oparciach fotela i wychylił się do przodu. - Słyszysz, mam tego dosyć!

- Wszyscy kochamy Ziemię...

Obaj umilkli. Espace wciąż starał się przypomnieć sobie, gdzie widział tego człowieka, i czego on może od niego chcieć?

- Czego chcesz ode mnie?

- Chciałbym, abyś przypomniał sobie wszystko i wrócił. Jesteś bardzo potrzebny i jesteś w stanie wrócić, oczywiście, jeśli zechcesz.

- Dokąd? - Espace nie chciał nigdzie wracać. Tutaj czuł się bardzo dobrze. - Dokąd powinienem wrócić?

Royd odpowiedział pytaniem.

- Co ty pamiętasz z tego, co działo się przed sześcioma miesiącami, przed twoim przyjazdem do tej górskiej... do tego „Skalnego gniazda”?

- Elsa - wyszeptał Espace. - Bardzo dawno.

- Co jeszcze?

- Pragnienie ujrzenia Ziemi.

- A jeszcze?

- Więcej nic. Nic nie pamiętam.

- Ale czy chociaż chcesz sobie przypomnieć?

- Chcę. - Espace nagle zaczął sobie przypominać, dlaczego uciekał od ludzi. No bo przecież uciekał! Nawet nie mógł zmusić siebie, aby odwiedzić Elsę. - Chcę i boję się. Na pewno było tam coś strasznego...

- Czegoś strasniejszego, niż się stało, nie uda się wymyślić. - Royd poczuł, że Espace uznaje jego przewagę, i rozmawiał z nim po ojcowsku, odrobinę władczo, ale z powagą i

nawet z pewną dozą serdeczności. - Zbieraj się, lecimy.

- Dokąd? - zapytał Espace znużony.
- Do Kiryła.
- Do Kiryła? Nie znam żadnego. Daleko to?
- Trzy godziny. Znałeś i Kiryła.
- Znałem go? - zdziwił się Espace.
- Znałeś, wielu znałeś, i my zbierzemy ich wszystkich razem.
- Po co?
- Żebyśmy nie musieli się wstydzić.
- Dobrze. Jestem gotów. Nie mam żadnego bagażu.

..*

Wyszli z pensjonatu „Skalne gniazdo” i ruszyli w stronę postoju gliderów. Zapadł zmrok. Niebo było czyste, usiane gwiazdami. Royd zatrzymał się, zadarł głowę i długo wpatrywał się w czarną czeluść.

- Czy wiesz, co gna człowieka w kosmos?
- Nie. Nie rozumiem tych ludzi.
- Miłość do Ziemi... Idziemy.

Dwumiejscowy glider znaleźli bez trudu. Royd podniósł osłonę, włączył oświetlenie pulpitu sterowniczego, gestem zaprosił Espace'a, aby zajął miejsce, i usiadł sam. Glider wzbił się w powietrze, parę sekund wisiał nieruchomo, podczas gdy Royd programował trasę na specjalnej mapie i pomknął do przodu.

- Co będziemy u niego robić?
- Będziemy rozmawiać, w dodatku ty będziesz prowadził rozmowę. Chętnie bym sam z nim porozmawiał, ale on nie zechce mnie widzieć. Stchórzy. Rozmawiać będziesz ty.
- Ale o czym? Ja go wcale nie znam!
- Wszystko jedno o czym. Jeśli zapyta o mnie, możesz opowiedzieć. Nie mam przed wami sekretów.
- A może opowiedziałbyś mi wszystko, żebym lepiej zrozumiał, co należy robić?
- Oczywiście, to by nie było od rzeczy. Już raz próbowałem tak zrobić, ale nasz kochany Crooce o mały włos nie wpakował mnie do szpitala dla psychicznie chorych, i wiesz co, uwierzyliby jemu, a nie mnie...

Espace odchylił się na oparcie fotela i zamknął oczy, ale nie mógł usnąć. Coś tam kłębiło się w jego pamięci, jakieś dręczące wspomnienia, okoliczności i twarze. Nagle poczuł, że kiedyś pamiętał wszystko, jeszcze całkiem niedawno, kilka miesięcy temu. Co to było? Co

to takiego było, że starał się zapomnieć? Ale to znaczy, że chciał zapomnieć! Bo przecież nie zapomniał Elsy. Przecież o niej pamięta wszystko, i jej twarz, i delikatne ręce, i usta, które tak często i z taką radością go całowały. Pamięta moment, kiedy się poznali i jak postanowili się pobrać, i potem to rozstanie. Bez łez, bez goryczy. Było bardzo ciężko, jakby rozstawali się na zawsze... Odprowadzała go. Ona go odprowadzała! To nie było zwykłe rozstanie. Ona go dokądś odprowadzała! Dokąd on mógł od niej odejść? No co jest z tobą, moja ty pamięci? Przypomnij sobie. Dokąd ona ciebie odprowadzała?

Pytanie to przyszło mu do głowy nagle. Przez te sześć miesięcy w „Skalnym gnieździe” ani razu o tym nie pomyślał... Royd wie o Elsie. i o nim samym również. Przez te sześć miesięcy głowa odwykła od myślenia i teraz poczuł tępy ból.

- Royd, kim ja jestem?

- Przybyszem z innego systemu gwiazdowego - uśmiechnął się Royd.

- Mówię poważnie. Gdzie my byliśmy razem?

- W jednej z oddalonych galaktyk.

- Nie chcesz odpowiadać?

- Ty przecież nie uwierzysz. Lepiej dojdź do wszystkiego sam. A ja postaram się pomóc. Jestem tym również zainteresowany.

Wkrótce zaczęło świtać. Lecieli na wysokości dziesięciu tysięcy metrów. W dole można już było co nieco rozróżnić poprzez popielaty obłoczek rozplywającej się mgły. Pod nimi rozpościerała się tajga. Espace nigdy nie był na Syberii. Zawsze ciągnęło go tam, gdzie ciepło. Na myśl o zimnie skulił się, choć w kabinie glidera była całkiem normalna temperatura.

Wylądowali gdzieś na brzegu Obu, w niewielkiej wioseczce ciągnącej się na przestrzeni kilometra. Glider zostawili na poboczu polnej drogi uchodzącej w sosnowy bór. Była godzina ósma rano. Z trawy dochodziło cykanie koników polnych. Jakiś ptak natarczywie dopytywał się: „Niedźwiedzia widziałeś? Niedźwiedzia widziałeś?” W pobliżu bezszelestnie przeleciał towarowy glider z czworograniastymi cysternami z mlekiem. Prowadziła go młoda dziewczyna w kwiecistej sukience i w białej chustce na głowie. Krzyknęła coś, ale ani Espace, ani Royd nie dosłyszeli.

Wioseczka była czysta i schludna. Po obu stronach jedynej drogi ciągnęły się jednopiętrowe cottages. Okna domów po jednej stronie były zwrócone w stronę Obu, po drugiej - w stronę sosnowego boru. Ludzi było mało, głównie dzieciarnia wychodząca już z wędkami. Niekiedy na placu obok któregoś z domów lądował glider przeznaczony do lokalnego transportu, maleńki, wolnoobrotowy, pomalowany w kratkę, wychodził z niego ktoś i dokądś spieszył.

Espace i Royd doszli do małego hoteliku i przystanęli.

- Do Kiryła pójdziesz sam - powiedział Royd. - On mieszka na końcu ulicy, w przedostatnim cottage'u po lewej stronie. Ja poczekam na ciebie tutaj.

- Coś jednak powinienem mu powiedzieć? A może zapytać?

- Wszystko, co chcesz. Już ci mówiłem. Po prostu porozmawiajcie, i to wszystko.

- Mówiłeś, że kiedyś go znałem, to znaczy, że powinienem mówić mu po imieniu?

- Jak chcesz.

- Ale mogę przynajmniej powiedzieć, że to ty mnie przysłałeś? Że jesteś tutaj?

- Możesz powiedzieć wszystko, co zechcesz.

- A dlaczego ty nie chcesz z nim rozmawiać?

- Na pewno on sam nie chciałby się ze mną widzieć.

- Na pewno? No a przez kanał łączności rozmawiałeś z nim?

- Pokaż swoją lewą rękę - poprosił Royd nie odpowiadając na pytanie. - Gdzie masz tarczę łączności?

Espace zaczerwienił się.

- Ja jeszcze nie... Na pewno zgubiłem. Nie, zostawiłem w „Skalnym gnieździe”. Ale ona nie działa. Zepsuta.

- Przypuszczam, że Kirył też nie ma tarczy łączności - sucho i szorstko powiedział Royd. - Idź już, jeśli nie masz więcej pytań.

Royd znikł w drzwiach hoteliku, a Espace ruszył drogą wzdłuż domów. Zatrzymał się przy przedostatnim zabudowaniu, rozejrzał się wokół. Dom jak dom. Niewysoki parkan, furtka z zasuwką. Otworzył furtkę i przeszedł ścieżką do ganku. Ta sama ścieżka od ganku w głąb prowadziła ku niezbyt stromemu urwisku. Dróżka wiodła obok grządek z pomidorami i ogórkami, obok klombu z gladiolusami i floksami. W drzwiach ukazała się kobieta. Wyglądała na zmęczoną. Pytająco popatrzyła na Espace'a. Espace skłonił głowę.

- Przepraszam, czy tu mieszka Kirył?

- Tak, tutaj, proszę do pokoju. Mam na imię Anna.

- Espace - powiedział nieoczekiwanie dla samego siebie.

- Nie, nie - z lękiem wyszeptała kobieta. - Nie zabierajcie go. On nie chce. A ja nie mogę.

Espace pomyślał, że niepotrzebnie wymienił swoje imię. Coś w tym jednak jest, skoro wywarło na Annie takie wrażenie.

- Nigdzie nie zamierzam go zabierać. Po prostu chciałbym z nim porozmawiać.

- Tak, tak. Przepraszam. To ja tak... Pracowałam dzisiaj na nocnej zmianie. Mieliśmy dzisiaj w stacji awarię. Jestem cybernetykiem. Jestem bardzo zmęczona, wszystkim

zmęczona. Zmęczyło mnie oczekiwanie...

- To znaczy, że mógłbym go zobaczyć?

- Tak, tak. Oczywiście. Poszli razem z Andrzejkiem na ryby. Niedaleko stąd. Ścieżką w dół. Tam są kładki... Wezwać ich?

- Nie, ja sam. Jak go rozpoznać?

- Czyżbyś go nie znał? - przeraziła się kobieta. - No oczywiście... On jest w białym swetrze. W białym, całkiem białym.

Stała, póki Espace nie zszedł z urwiska, i dopiero wtedy wróciła do domu.

Piaszczysty brzeg opadał do rzeki niewielkimi łagodnymi stopniami, które wymyła woda. W odległości pięćdziesięciu metrów Espace zobaczył drewniane kładki i na nich dwóch ludzi: mężczyznę około czterdziestki w białym swetrze i siedmioletniego chłopca. Obaj siedzieli na deskach, ich bosc stopy niemal dotykały wody. Sądząc po pławikach ryba nie brała.

Espace podszedł do wody i głośno powiedział:

- Kirył!

Mężczyzna obejrzał się i cicho powiedział:

- Tak. Ot i masz tobie. - i głośno: - Witaj!

- Kiryle, chciałbym z tobą porozmawiać. - Espace niezdecydowanie przestąpił z nogi na nogę.

Andrzejek pociągnął ojca za rękaw:

- Tata, bierze.

- Potrzyj moją wędkę - powiedział Kirył do syna, niechętnie wstając, i człapiąc po kładce bosymi stopami zszedł na piasek: - i o czym to chciałeś ze mną porozmawiać?

- No tak - Espace wzruszył ramionami. - Po prostu chcę pogadać. Mówią, że pracowaliśmy gdzieś razem. Czy to prawda?

- Może i prawda. A ty sam nie pamiętasz?

- Nie, nic nie pamiętam.

- i ja nie pamiętam. Możliwe, że gdzieś się spotkaliśmy. Może siądziemy na tej kłodzie. Po co mamy stać? - Usiedli. - Wybacz, ale Anna wróciła dopiero z pracy. Jest zmęczona. Dlatego nie zapraszam cię do domu.

- Dlaczego nie masz na ręce tarczy łączności? - nagle zapytał Espace.

- A, to... Chyba zostawiłem w domu. Zresztą to bzdura. Nikt mnie nie wywołuje. Łowimy z synem rybki. Chodzimy do lasu na grzyby... Pogoda wspaniała. - Kirył ziewnął. - Ot co.

- Coś dziwnego mi się przytrafiło - powiedział Espace. - Pół roku przesiedziałem w

„Skalnym gnieździe”. Wiesz, że przyjeżdżają tam ci, którzy jakiś czas pragną побыć w samotności. Ale wczoraj nagle zapragnąłem dowiedzieć się, co robiłem przedtem, i nic nie pamiętam. Do wczoraj nawet i wspominać nie chciałem, byłem jak w letargu. A dzisiaj nagle zapragnąłem sobie przypomnieć i nie mogę. Czuję, że lada moment moja pamięć obudzi się, ale brak jakiegoś impulsu. Może byś mi pomógł?

Kirył milczał, potem pochylił się. znalazł w piasku kamyk i chciał go rzucić do wody, ale się rozmyślił, i zastygł trzymając kamień w ręce.

- Nie wiem, w jaki sposób mógłbym ci pomóc. Pamięć płata figle. Zresztą może i lepiej, że nic nie pamiętasz... No to co, pogadaliśmy sobie? To ja już pójdę.

- Tak, pogadaliśmy - Espace wstał i bez pożegnania ruszył brzegiem w stronę hotelu.

- Espace, zaczekaj! - nagle krzyknął Kirył. - Kto cię tu przysłał?

Espace przystanął. Ładna historia! Przecież on się Kiryłowi nie przedstawił. Czyżby to oznaczało, że Kirył jednak go zna?

- Prosił mnie o to Royd. Kirył podszedł bliżej.

- Royd? A on też jest tutaj? Więc i on wrócił?

- To znaczy, że go znasz? Skąd go znasz?

- No... Chodziliśmy do jednej szkoły.

- A mnie? Przecież odezwałeś się do mnie po imieniu?

- Czyżby? Mieszka tu taki jeden Espace. Jesteś do niego podobny. Wyrwało mi się niechcący. - A co z... Roydem?

- Royd zamierza zebrać nas wszystkich razem.

- No, no. Pójdę posiedzieć trochę z synem. - Kirył odwrócił się i ruszył w stronę kładek.

Espace popatrzył za nim. „Widać, że Kirył wie wszystko, a w każdym razie sporo. Ale nie wiadomo dlaczego nie chce mówić. Wygląda na to, że się boi. Royd milczy, ponieważ mogę mu nie uwierzyć. No i dobrze! Sam dojdę do sedna. Jest jeszcze Elsa...”

Royd czekał na niego w hotelu. O nic nie pytał, tylko badawczo popatrzył na Espace'a. Ten odezwał się nie proszony:

- On niewątpliwie mnie zna. W każdym razie zna moje imię, choć mu się nie przedstawiałem. Kiedy to spostrzegł, wyłgał się. Z tobą, jeśli mu wierzyć, chodził kiedyś do tej samej szkoły. Zdziwił się, że jesteś tutaj... Ty sam nie chcesz mi nic powiedzieć, ponieważ boisz się, że nie uwierzę. A on - ponieważ boi się sam. To całkiem jasne, i bez waszej pomocy połapię się w tym wszystkim. A teraz polecę do Elsy, od niej dowiem się wszystkiego.

- Ona cię wyrzuci. Zrozum, że dla niej nie istniejesz.

Ciebie nie ma. Nie wolno bez potrzeby zadawać jej bólu. A bez naszej pomocy mimo wszystko do niczego nie dojdiesz.

..*

- Andrzejku - powiedział Kirył do syna. - Posiedź tu z wędką, a ja tymczasem załatwię pewną sprawę.

- Szybko wrócisz?

- Jeszcze nie wiem, ale postaram się jak najszybciej. Kirył wspiał się na szczyt urwiska, szybko szedł do domu.

Anna siedziała w pokoju, bezwolna, przestraszona, ogłuszona.

- Kiryle, co teraz będzie? Powiedziałeś mi o wszystkim?

- Nic mi nie powiedziałem. Powinienem się spalić ze wstydu. Nie mogę tak dłużej żyć. Anno. Muszę być z nimi.

- Ciągle czekam na to. Bałam się tego.

- No, powiedz, czyżbyś chciała być żoną tchórza. A Andrzejek? Przecież kiedyś zapyta, dlaczego jestem tutaj? On i tak wiele rozumie. Jak będzie się czuł jako syn tchórza?

- Ale przecież ty nas kochasz i Wszystko kochasz i Całą Ziemię!

- Wybacz, Anno. - Podeszedł do niej i objął jej ramiona. - Wybacz, Anno.

Wyszedł z domu i zamaszystym krokiem zbliżał się do hotelu. A kiedy ujrzał, że dwaj mężczyźni opuścili hotel, nie wytrzymał i pobiegł do nich.

- Royd! - krzyknął. - Jestem z wami!

Royd i Espace zatrzymali się. Kirył wpadł na Royda i klepnął go pięścią w ramię. W jego oczach była radość.

- Witam cię, dowódco! - krzyknął jeszcze raz. - Jestem z wami, niech to diabli!

Royd przyjął go nieco oschle, ale wyciągnął rękę.

- Liczyłem na ciebie, Kiryle. Bardzo liczyłem.

Espace popatrzył na nich ze zdziwieniem i było mu trochę przykro. Oni rozumieli się nawzajem, i zapewne wiedzieli o sobie wszystko. A co z nim?

- Espace! - Kirył odwrócił się do niego. - Oczywiście, że cię znam. Choć z czasem zacząłem pewne fakty zapominać. Ciekaw jestem, ile czasu bym potrzebował, aby zapomnieć wszystko.

- Jeśli bardzo tego pragniesz, zapomnisz - powiedział Royd. - Lecimy do Crooce'a. Trzeba jeszcze odszukać pozostałych.

- Crooce? - skrzywił się Kirył. - Tego to już zupełnie nie pamiętam. Czyżby był z nami jakiś Crooce?

- Był - powiedział Royd. - Programista. On właśnie o mały figiel wpakowałby mnie do szpitala dla psychicznie chorych. Ale teraz wszyscy trzej z nim porozmawiamy.

- Oczywiście, Crooce... - powiedział Kirił. - Pewnego razu zajął tu do mnie Wsiewołod. Wydaje się, że on zamierzał wrócić.

- Czy wiesz, jak go odnaleźć? - zapytał Royd.

- Wiem. Powiedział mi. Instytut Czasu i Przestrzeni koło Gravipolis. Jest tam szefem jakiegoś problemowego laboratorium. Przecież on jeszcze w ekspedycji zaczął szukać teoretycznych podstaw. Tym bardziej że jest z wykształcenia czystym fizykiem teoretykiem. Lecimy do niego?

- Lecimy - wyraził zgodę Royd.

- Czy wy chociaż jedliście śniadanie?

- Nie - odpowiedział Espace. - Nawiasem mówiąc, kolacji też nie jedliśmy.

- O, takiej gorze mięśni jak ty przydałoby się dobre żarcie. Może wpadniemy do mnie do domu?

- Nie - powiedział Royd. - Przegryziemy coś w barze hotelowym, żeby nie tracić niepotrzebnie czasu.

Usiedli przy stoliku. Espace podszedł do automatu, wybrał potrawy i natychmiast przystąpili do jedzenia. Kirił przyłączył się do nich.

- Otóż - powiedział - nikt z nas nie może mieć zwyczajnych tarcz łączności, bo przecież chyba żaden z nas nie próbował ponownie się zarejestrować. Ale mamy własne tarcze i możemy rozmawiać między sobą. Przecież nie zawsze będziemy latać razem. Royd, ile osób zostało?

- Jedna...

- Jedna?! Wstyd... Zapewne każdy myślał, że będzie ostatni, i odeszli wszyscy.

Espace na razie nie rozumiał nic z tego, o czym mówili. Oczywiście, opowiedzą mu o wszystkim, kiedy będzie w stanie im uwierzyć. Ale powinien postarać się coś niecoś przypomnieć sobie sam. No, na przykład, Royd. Teraz Espace był przekonany, że kiedyś go znał. Ten jego sposób mówienia, a może zachowanie? Nieco oschłe, powściągliwe, prawie bez emocji. Władczy ton głosu. Kirił nazwał go dowódcą. Kogo zazwyczaj tak nazywają? Dowódców batyskafów, kierowników ekspedycji, dowódców statków kosmicznych? Czy kiedykolwiek sam Espace był w głębinach oceanu, w kosmosie lub w jakiegokolwiek innej ekspedycji? Nie, zupełnie tego nie pamiętał. Ale przecież i Kirił pamięta nie wszystko! Nie pamięta na przykład Crooce'a, który, według Royda, był również z nimi. Jeśli to prawda, że Crooce był z nimi - może i on nic nie pamięta. Prawdopodobnie Royd wszystko mu zrelacjonował i Crooce zwrócił się o pomoc do lekarzy.

- Rozmawiałem z kierownikiem „Skalnego gniazda” -przerwał jego rozmyślenia Royd. - Obiecali przesłać twoją tarczę łączności do Gravipolis do Wsiewołoda. i ja, i Kirył mamy swoje na rękę. W każdej chwili możemy nawiązać ze sobą łączność.

- Czy nie moglibyśmy zarejestrować zwyczajnych tarcz? -zapytał Espace.

- Nie, ponieważ Royd, Kirył, Espace, Crooce, Wsiewołod i Santa już je kiedyś otrzymali. Ich numery są zajęte. Nikt nie wyda nam nowych.

Wszyscy trzej wstali i opuścili bar. Była godzina dziewiąta rano.

- Potrzebny jest nam glider - powiedział Royd. - Ile czasu potrzeba, aby go przywołać?

- Przywołanie glidera dalekiego zasięgu potrwa około godziny - odpowiedział Kirył. - Macie dwumiejscowy? Z powodzeniem zmieścimy się wszyscy trzej. Tylko ktoś musi się położyć w bagażniku. Tam jest miękko. Wy przecież nie spaliście? No, który z was?

- Niech śpi Espace - powiedział Royd.

Espace nie miał nic przeciw temu i zgodził się. Wcisnęli się do glidera, który cały czas stał na poboczu drogi. Royd znowu zajął miejsce przy pulpicie sterowniczym.

- Przylecimy tam wieczorem - powiedział Kirył. - Wsiewołoda nie będzie w pracy. Proponuję, aby go nie szukać, tylko dać telefonogram do dyspozytora głównego lądowiska w Gravipolis. aby zawiadomiono Wsiewołoda o naszym przybyciu.

Royd wysłał telefonogram przy pomocy aparatu nadawczego znajdującego się w kabinie glidera.

Espace zapadł w drzemkę. Śniła mu się ciemność ze świecącymi się gdzieś tam punktami. Zupełnie wyraźnie poczuł smak soli w ustach. Pochyliła się nad nim ludzka twarz oświetlona wąskim promieniem światła. Była to twarz kobiety. Dzielili ich jakaś przegroda, i wtedy znowu zaczął zapadać się w pustkę.

„Espace, ocknij się! To ja, Verona. Espace, ocknij się”

I obudził się. Ciemniały przed nim oparcia dwóch foteli, między którymi migotały wskaźniki przyrządów pokładowych. Nad głową przez przezroczystą osłonę przeświecały jaskrawe gwiazdy, i wydało mu się, że widział już coś podobnego. Widział!

- Verona - wyszeptał.

- Obudził się - spostrzegł Royd. - Co? Co powiedziałeś?

- Verona - powtórzył Espace.

- Verona! - wykrzyknął Royd. Znikł cały jego dotychczasowy spokój. - Pamiętasz Veronę?

- Widziałem ją przed chwilą.

- Verona została tam sama! Zrozumiałeś? Verona była z nami. Została tam sama. W końcu coś sobie przypomniałeś! To ona uratowała ci życie. Co jeszcze sobie przypominasz?

- Patrzyła na mnie i mówiła: „Ocknij się, Espace. To ja, Verona. Ocknij się, Espace!”
A dookoła ciemność, i białe punkty, niczym gwiazdy. To wszystko.

- Jak była ubrana?

- Nie wiem. Jej twarz nie dotykała mojej, coś stało na przeszkodzie. Nic więcej nie widziałem.

- To był skafander, Espace. Zauważyliśmy wówczas jakieś ciało kosmiczne, i wy z Veroną polecieście je obejrzeć. Nie wiadomo, z jakiego powodu nastąpiła eksplozja. Byłeś trochę poturbowany. Tak było?

- Ależ tak. Czy to znaczy, że byłem w kosmosie? To mogło być gdzieś w pasie planetoid. A ja myślałem, że nigdy nie byłem w kosmosie.

- To było trochę dalej - uśmiechnął się Royd.

- A gdzie wobec tego została Verona? Przecież nie na Jowiszu?

- Nie, nie... Jak to dobrze, że nareszcie zacząłeś sobie przypominać. Wkrótce będziesz w stanie nam uwierzyć.

- Uwierzę wam i teraz!

- Poczekaj do spotkania z Wsiewołodem. Jesteśmy już nad Gravipolis. Dyspozytor zakomunikował, że Wsiewołod będzie na nas czekał u siebie w domu. Jest to gdzieś nad rzeką Hudson. Za pięć minut będziemy u niego.

Glider począł się zniżać - i wkrótce siadł na niewielkiej jasno oświetlonej polance wśród sosen. Royd podniósł osłonę. Wszyscy trzej wyszli z kabiny. Espace rozprostowywał nogi. Podróż w bagażniku mimo wszystko nie była najwygodniejsza.

Z ciemności wynurzył się jakiś człowiek. Był nieco niższy niż Espace, ale za to znacznie szerszy w ramionach. W jego rękach czuło się ogromną siłę. Biegł jakby bokiem, śmiesznie wymachując rękami.

- Witajcie! - krzyknął. - Oho! To Royd! Kirył! A to oczywiście Espace! Przyjaciele, zaparzyłem wam kawę - palce lizać! Chodźmy prędzej. Jestem sam. Miałem gościa, ale pozbyłem się go, aby nam nie przeszkadzał. Espace, to jest twoja tarcza łączności. - Podał Espace'owi błyszczący przedmiot. - Byłem zdziwiony, kiedy mi to przysłali. Niczym znak od piratów. No chodźmy, chodźmy. Cieszę się, że zobaczyłem starych przyjaciół.

Ruszyli w stronę domu, a kiedy przechodzili koło latarni, Espace spojrzął na napis wygrawerowany na wewnętrznej stronie bransolety. Napis głosił: „Espace. «Prome-teusz-6»”.

..*

Ogromny i masywny Wsiewołod wypełnił sobą połowę pokoju, którego jedną ze ścian zajmowały specjalne półki z najrozmaitszymi gatunkami kaktusów. Kawa rzeczywiście była

wspaniała. Na stole stało również pudełko z ciastem i puszka chałwy.

- Siadajcie, kochani, siadajcie. Cztery krzesła, czterech ludzi i czworokątny stół. Co za zbieżność! Cha-cha-cha!

- Wsiewotodzie - odezwał się Royd. - My trzej postanowiliśmy wrócić.

- Ja jeszcze nic nie obiecywałem - zaprotestował Espace.

- To nic. Jesteś porządny chłop. Wrócisz. Tak więc postanowiliśmy wrócić. Teraz pytamy ciebie, Wsiewołodzie, czy pójdziesz z nami?

- O, chłopcy, choćby zaraz! Moje ubranko o tam w kącie się poniewiera. Co za pytanie? Kawkę tylko wypijemy i w drogę. Dopóki ciemno, żeby koty nie widziały. Ale wypijcie kawę. Jak się dowiecie, kto ją parzył, pospadacie z krzesel.

- Wsiewołodzie, my mówimy poważnie - powiedział Kirył. - A ty żarty sobie stroisz. To wszystko nie jest takie proste.

- W porządku. Załatwione. O czym tu mówić? Wypijemy kawkę i w drogę. Opowiedzcie lepiej, co z wami? No tak, Espace i Kirył odeszli jeszcze przy mnie. A ty, Royd?

- Dwa tygodnie temu. Pochowali się wszyscy jak szczury. Espace'a ledwie odnalazłem. Dopomógł jego wysoki wzrost. Trudno nie zauważyć. Gdzie mieszka Kirył, wiedziałem wcześniej... Tam, Wsiewołodzie, została tylko Verona.

- Verona, Verona... Jakoś nie pamiętam. Ależ tak, tak, przypominam sobie. A ja najpierw pogałem do Akademii. Jest problem, powiadam. Mówiąc krótko i węzłowato, w wolny od pracy dzień można odwiedzić oddaloną galaktykę... Nawet się nie śmieli. Wyrzucili na pysk. No i obijałem się trochę, obijałem, aż w końcu tu trafiłem, do Naukowo-Badawczego Instytutu Czasu i Przestrzeni. Tutaj nie mają nic przeciw problemom... Tylko z początku nie pamiętałem, skąd mi przyszedł do głowy ten pomysł. Po prostu przyszedł - i już. A kiedy zająłem się obliczeniami, połamałem sobie na nich zęby. Cały świat widziałem tylko w tej kartce papieru. Nie było mi do śmiechu! Uznali, że zacząłem pleść bzdury. A później przychodzę kiedyś do domu, a ona siedzi i mówi: „Wiesz co, Siewka, wiem, że mnie kochasz, że ze względu na mnie wzięłeś udział w ekspedycji. A mój mąż w tydzień po tym, jak mnie pożegnał, znalazł sobie taką jedną... Tak że mogę być teraz twoją żoną. Tylko odejźmy stąd”.

- A co to za ona? - nie wytrzymał Kirył i roześmiał się, bo też zabawnie opowiadał Siewka.

- Jak to kto? To wy nie wiedzieliście? Żenka!

- Ach, ty łgarzu! - rozległo się w drzwiach. - Wszystko gotów poświęcić dla łgarstw. To niby znaczy, że ja do ciebie przyszedłem?

- Eugenio! - krzyknął Royd.

- Żeńka, przecież miałaś iść do sąsiadów. Choć na pięć minut - mamy tu męskie sprawy, później bym cię poprosił.

- No w porządku, wszyscy znają twoje zamiłowanie do gadulstwa. Royd, ty chyba nie przyszedłeś ot tak, z wizytą? Kirył. A to... Espace?

- Tak jest - potwierdził Kirył. - Tylko ja ciebie właściwie nie pamiętam. Niewyraźnie, mętnie, jak przez mgłę.

- Wiadomo - powiedział Wsiewołod. - Ja z początku prawie nic nie pamiętałem. Jakbym wylazł ze skorupy. Potem zacząłem się zastanawiać, co było wcześniej? Wtedy właśnie przyszła Żeńka, pomogła mi trochę, a i sam zacząłem sobie pomalutku przypominać. A kiedy postanowiłem wrócić, przypomniałem sobie prawie wszystko. Tak myślę, że jest to jakieś uboczne zjawisko. A może właśnie zasadnicze, podstawowe. Coś zmusiło nas do powrotu tutaj i zapomnienia, skąd przybyliśmy. Przypuśćmy, że przeszkadzaliśmy komuś, ktoś tam nie chciał, abyśmy złożyli mu wizytę. Najpierw próbowano nas przestraszyć. Pamiętacie ten wypadek z Espace'em? Nawiasem mówiąc, dziecinna igraszka. A później znaleźli sposób. Niezawodny sposób.

- Verona została - dodał Royd.

- Z tego, co usłyszałem i zobaczyłem w ciągu tej doby... - zaczął Espace.

- Doba jeszcze nie minęła - poprawił Royd.

- ... zrozumiałem jedno. Wy wszyscy i ja też jesteśmy uczestnikami ekspedycji, która wystartowała dwa i pół roku temu na statku „Prometeusz-6”.

- Tak - potwierdził Royd. - Wierzysz w to? Ty jeszcze nie wszystko pamiętasz, ale jesteś w stanie w to uwierzyć?

- Jakoś mi się to w głowie nie mieści. Ale przecież mnie nie okłamujecie?

- Dlatego właśnie nie chciałem cię od razu we wszystko wtajemniczać. Nie uwierzyłybyś.

- Całkiem prawdopodobne... A sam statek... też wrócił?

- Nie, Espace - powiedział Royd. - Statek nie wrócił. Statek kontynuuje lot. Na „Prometeuszu-6” została tylko Verona. Sama! Rozumiecie?

- A jak my znaleźliśmy się tutaj?

- Fizyczne i techniczne podstawy tego zjawiska nie są nam znane. Ale pewne przyczyny są zrozumiałe. Po pierwsze - wszyscy tęskniliśmy za Ziemią. Po drugie - baliśmy się, że nigdy więcej jej nie ujrzymy... To chyba wystarczy.

- Ale Verona została!

- Została Verona i ja. Losowaliśmy, kto powinien tutaj wrócić. Wypadło na mnie.

Byłem przekonany, że wy sami już nie wrócić. Należało was odszukać i namówić do powrotu.

- Bzdury! My z Żeńką już pakowaliśmy walizki. Prawda, Żeniu?

- Prawda - potwierdziła.

Kiedy Eugenia przysłała do męża (do kogo innego mogła pójść?), ten najpierw przestraszył się. Przecież wiedział, że jej nigdy nie zobaczy. No, może po wielu, wielu latach. Kiedy mu wszystko opowiedziała, ucieszył się. No bo przecież w żaden sposób nie mogła dowieść, że jest Eugenia, jego żoną i matką malutkiej Lady. Ona była w ekspedycji „Prometeusz-6”. Nie mogła być na Ziemi, i przepędził ją, nawet nie pozwalając zobaczyć się z dzieckiem. Niepotrzebnie wróciła na Ziemię. A odejść znowu na zawsze było niewypowiedzianie trudno. Bóg z nim. Ale nie zobaczyła córeczki! i wtedy odnalazła Wsiewołoda. Wspólnie wszystko sobie przypomnieli i postanowili wrócić. Ten wielki, niezgrabny mężczyzna, gaduła i żartowniś, był jej jedynym oparciem. Wzajemnie byli dla siebie oparciem. Bo przecież on ją kochał.

- A zatem jest nas pięcioro. Crooce - szósty. Kto wie, gdzie są pozostali? - zapytał Royd.

- Wiem, gdzie jest Santa - powiedziała Eugenia. -Ale wydaje mi się, że nie ma sensu ciągnąć jej z nami. Ona zamierzała wyjść za mąż.

- Za kogo?

- Nie wiem, ale to świetna dziewczyna, ona nigdy nie zdejmuje z ręki bransolety z tarczą łączności. - Eugenia obróciła tarczę na swojej bransoletce - tarcza nie odpowiedziała sygnałem świetlnym. Powtórzyła sygnał wywoławczy jeszcze kilka razy. Nikt nie odpowiadał.

- Można spróbować wywołać Robina - powiedziała. -Nie widzieliśmy go ani razu, ale kiedyś on sam nas wywołał. Powiedział, że idzie do floty podwodnej, i decyzja ta, jak mówił, jest nieodwołalna. Ale gdyby coś zdarzyło się z nami, gotów nam pomóc, odpowie na wezwanie.

- Wywołaj go, Żeniu - poprosił Royd.

Eugenia ponownie dotknęła matowej tarczy, i po kilku sekundach pojawiła się na niej lekko wystraszona twarz Robina.

- Co się stało, Eugenio?

- Robin, zebraliśmy się tu w piątkę. Ja, Wsiewołod, Royd, Kiryl i Espace. Royd chce z tobą porozmawiać. Co ty na to?

- Niech mówi - bez entuzjazmu odpowiedział Robin. - Robin, cała nasza piątka postanowiła wrócić. Na „Prometeuszu” została tylko Verona. Została tam sama. Decyzję

podjęliśmy dobrowolnie. Nie można żyć z nękającym wstydem, że się stchórzyło. Kochamy Ziemię, ale właśnie ta miłość popycha nas w nieznanne światy. Zapewne jest mi lżej niż innym. Nie mam na Ziemi nikogo bliskiego. Ale i ja kocham Ziemię. Robin, jestem tutaj, czekam na ciebie. Lot powinien być kontynuowany.

- Royd, sprawa nie ogranicza się tylko do naszej ekspedycji. Ekspedycja powinna dać jakieś rezultaty, wnieść coś nowego, nieznanego. Wszyscy zetknęliśmy się z takim właśnie zjawiskiem. Żadne odkrycie dokonane wcześniej nie może się z tym równać. Należy zapoznać z nim innych. Trzy razy byłem w Radzie do Spraw Galaktyki i trzy razy nikt nie chciał wierzyć, że jestem Robinem, członkiem załogi „Prometeusza-6”. Trzeba, aby uwierzyli nam na Ziemi. Być może, wyślą jeszcze jedną ekspedycję. Przygotowuje się właśnie start „Prometeusza-7”. Należy udowodnić, że wszystko, co się z nami stało, rzeczywiście miało miejsce. W takim wypadku zgodzę się wrócić na „Prometeusza-6”.

- Mnie też chodziła po głowie myśl, aby udać się do Rady - powiedział Kirył. - Ale byłem przekonany, że mi nie uwierzą...

- Kochani, przecież nie mogą nie uwierzyć nam wszystkim - głośno powiedział Wsiewołod.

- Dobrze, wylatujemy dzisiaj. Robin, czy ty jesteś na jakimś batyskafie?

- Nie, nie wstąpiłem do floty podwodnej. Za trzy godziny będę u podnóża Kilimandżaro. A wy?

- Ja chciałbym jeszcze raz spotkać się z Crooce'em. Wszyscy polecimy do niego. Zdjął bransoletę łączności i nie uważa się za uczestnika naszej wyprawy. Spotkamy się w Radzie o dwunastej według czasu ziemskiego.

- Dobrze. Czekam na was - i Robin przerwał łączność.

- On, zdaje się, ma do nas pretensje - powiedział Kirył.

- Całkiem zrozumiałe - po raz pierwszy odezwał się Espace. - On chociaż próbował coś zrobić, nie bacząc na wstyd. Ma prawo wściekać się, na mnie w każdym razie.

- Kawa wypita, można ruszać do ataku na Radę - powiedział Wsiewołod.

- Mamy dwumiejscowy glider, przydałby się jeszcze jeden, trzymiejscowy - zatroszczył się Royd.

- Crooce'a nie liczysz? - zapytał Espace.

- Crooce nie żyje na pustyni. Urządził się jako pracownik muzeum „Podbój Dalekiego Kosmosu”. Jest komisarzem ekspozycji pod tytułem: „Prometeusz-6”. Odkurza nasze rzeczy oddane do muzeum i opowiada zwiedzającym o tym, jak wielcy, wspaniali i mężni ludzie polecili w Daleki Kosmos na „Prometeusza-6”. Między innymi i o niej jakim Crooce'ie, programiście „Prometeusza”. Wyobrażam sobie, jak o nim mówi.

- Chcę porozmawiać z Crooce'em - powiedział Wsiewołod. - Zaraz zamawiam glider.

..*

Muzeum „Podbój Dalekiego Kosmosu” znajdowało się na przedmieściu Paryża. Był to ogromny szklany budynek stojący na naturalnym wzniesieniu. Do budynku wiodły szerokie kamienne schody, na których tu i ówdzie siedziały zakochane pary, bawiły się dzieci, a wycieczkowiec grupami i pojedynczo wchodził na górę. Royd, Kirił, Wsiewołod, Eugenia i Espace weszli do środka i przyłączyli się do grupy, która miała oglądać „Prometeusza-6”.

Jak przewidywał Royd, grupę prowadził Crooce. Było widać, że Crooce nabrał wprawy w wygłaszaniu uroczystych oracji. Charakterystyki kosmonautów składały się wyłącznie z samych pochwał, a sam Crooce pośród bohaterów zajmował niepoślednie miejsce.

Zwiedzający z zainteresowaniem oglądali plansze, wewnętrzne wyposażenie kajut i komór statku. Espace nagle zobaczył tabliczkę z napisem: „Espace. Nawigator”. Wszedł do kajuty i ze zdziwieniem oglądał jej wnętrze. Nawet odważył się to i owo dotknąć rękoma.

Najpierw grupa astronautów trzymała się z dala od zwiedzających. Potem Royd i pozostali zaczęli się przesuwać do pierwszych rzędów, aby w końcu stanąć nos w nos z Crooce'em.

Crooce rozpoznał ich. Jego nagle pobladła twarz i pewne trudności w wymowie świadczyły o tym dobitnie. Jednakże doprowadził grupę do końca, i kiedy zwiedzający rozeszli się, został sam na sam z załogą „Prometeusza”.

- Crooce - powiedział Royd. - Nie ma sensu udawać, że nas nie poznałeś. Postanowiliśmy wrócić na statek.

- Nazywam się Antoni - odpowiedział. - Zdumiewające, jak bardzo przypominacie załogę „Prometeusza”. Chciecie, mogę wam pokazać planszę z ich stereoskopowymi zdjęciami.

- My właśnie jesteśmy załogą „Prometeusza” - przerwał mu Royd, ale Crooce ciągnął dalej:

- Mówią, że przypominam jednego z nich. Jak powiedziałeś? Crooce? Zdumiewające podobieństwo. No co my tak stoimy? Zaprowadzę was do dyrektora muzeum. Zdumiewająca zbieżność. - Odszedł nieco na bok.

- Crooce, my wracamy. Wszyscy. Idziesz z nami? Każdy z nas miał powody, dla których wrócił na Ziemię. Ale nikomu to nie przyniosło ulgi. Tylko wstyd i poczucie niewypełnionego obowiązku. Powinniśmy wrócić, żeby znowu mieć dla siebie samych szacunek.

- Wysłuchałem was z zainteresowaniem - odpowiedział Crooce. - Ale kto uwierzy, że jesteście załogą „Prometeusza”, kiedy on leci gdzieś tam w odległości dwudziestu parseków od Ziemi? Nikt.

- Wybieramy się właśnie do Rady do Spraw Galaktyki. Znamy wiele faktów. Uwierz nam.

- Chcecie przyznać się do tchórzostwa?

- Tak, przyznamy się, nawet więcej, pokonamy nasze tchórzostwo. Ale czekaj, to przecież ty pierwszy opuściłeś statek.

- Nie! Nie ja! To był Espace. Przypomnijcie sobie, ale i wcześniej wielu...

- To znaczy, że nazywałeś się Antoni? - zapytał Wsiewołod. - Kąpiesz się w promieniach własnej sławy? Przez całe życie będziesz pielęgnował swoją sławę, wychwalał się pod niebiosa, delectował się sobą. Dlatego że nikt nie jest w stanie dowiedzieć się prawdy? Dlatego że „Prometeusz” powinien wrócić po twojej śmierci! Crooce, zastanów się, jeszcze jest czas.

- Nie! Wy nie polecicie do Rady!

- Odchodzimy - powiedział Royd. - Mamy mało czasu. - i odeszli.

- Przypomniałem go sobie - odezwał się Espace. - i wszystko inne zaczynam sobie przypominać.

- I ja go sobie przypomniałem - powtórzył Kirył.

..*

... Do obiadu siadali o godzinie drugiej według czasu ziemskiego. W niewielkiej i przytulnej sali stało osiem czteroosobowych stolików. Ludzie zazwyczaj rozbijali się na grupki i wiele razy w czasie obiadu zmieniali miejsce i towarzystwo przy stole. Pod jedną ze ścian stało dwanaście kuchennych automatów, i każdy członek załogi mógł sobie wybrać dania według własnego gustu.

Przy obiedzie zawsze było wesoło. Tutaj również można było wymienić zdanie w nieskrępowanej atmosferze, podyskutować i zapić gorzyc porażki w dyskusji łykiem kompotu czy kawy.

Ale w ostatnich czasach zmieniło się coś w nastrojach ludzi. Słyszało się coraz mniej żartów i śmiechu, zauważalna natomiast się stała pośepna, nienaturalna uprzejmość członków załogi wobec siebie, i jeśli wcześniej o Ziemi mówili niezbyt często, teraz słyszało się tylko: „A mój Andrzejek...”, „Kiedyś razem z bratem...”, „Żona mówi do mnie...” A tego, który rozpoczynał mówić na ten temat, obstępowali ze wszystkich stron, chciwie słuchali, zadawali pytania, które w innych warunkach i w innym czasie brzmiałyby absurdalnie i głupio.

Lot trwał już dwa lata. Tęsknota za Ziemią, za tymi, którzy tam zostali, dawała o sobie znać z coraz większą siłą. Statek pędził z nadświetlną prędkością i oni wiedzieli, że ci wszyscy, o których opowiadano, wydorosleli, zestarzeni się, a może nawet umarli. Łączność z Ziemią została przerwana dwadzieścia dwa miesiące temu. Do Niebieskiej Gwiazdy, do jednej z jej planet, na której, jak przypuszczano, istnieją rozumne istoty, pozostało jeszcze dwa lata lotu.

Dowódca statku zarządził nowy porządek dnia. Więcej czasu poświęcano zajęciom sportowym, członkowie załogi częściej przebywali razem. Ale wszystko to nadaremnie. Wiedzieć, co ich czeka, to jedno, ale wypróbować na własnej skórze, to coś zupełnie innego. Tęsknota za Ziemią przybierała dziwną postać. Coraz częściej proszono Royda o pozwolenie opuszczenia statku, całymi godzinami przebywali w bezdennej pustce w całkowitej samotności, choć próbowali udawać, że w towarzystwie czują się lepiej.

Pewnego razu przy obiedzie Robin, zazwyczaj milczący, cicho, z pewną dozą radości i smutku jednocześnie powiedział:

- Gdybyście wiedzieli, jaka mi się urodziła wnuczka...

Popatrzyli na niego ze zdziwieniem, ale on tego nie zauważył. Tutaj wiedzieli o sobie wszystko. No bo przecież w ciągu dwóch lat można sobie opowiedzieć o wszystkim. Wszyscy wiedzieli, że jeśli Rabinowi rzeczywiście urodziła się kiedyś wnuczka, to teraz jest już dorosłą kobietą. W dodatku nie mógł nawet wiedzieć, czy urodziła się wnuczka, czy wnuczek.

- Dlaczego mi nie gratulujecie? - powiedział cicho i rozejrzał się po wszystkich twarzach, i wyglądał tak, jakby rzeczywiście urodziła mu się wnuczka, taka malutka, różowitka. A on, dziadek, będzie ją teraz wozić w wózeku.

Royd podszedł do niego i uściśnął mu rękę.

- Gratuluję ci, Robin. - Powiedział to tak zwyczajnie, jakby w słowach Robina nie było rażącej nedorzecznosci, rażącej nieprawdy, i wszyscy pozostali gratulowali Robinowi. A on siedział szczęśliwy i całkiem poważnie przyjmował owe gratulacje.

W chwilę potem Royd opuścił towarzystwo. Następnego dnia przeprowadzono badania lekarskie. Wszyscy zrozumieli, że to z powodu Robina. Tylko on jeden, zdaje się, nie rozumiał. Eugenia bardzo dokładnie zbadała stan jego psychiki wszelkimi dostępnymi na statku metodami. Nie zauważyła najmniejszych odchyień od normy, był całkowicie zdrow. Tylko ta wnuczka. Nie przestawał twierdzić, że urodziła mu się wnuczka.

Następny był Trący, cybernetyk pokładowy. Pewnego razu zakomunikował, że na Ziemi przygotowują ekspedycję „Prometeusz-7” i określił termin startu. To, że „Prometeusz-7”, a potem „8” i następne polecą, wiedzieli wszyscy. Ale kiedy startowali z Ziemi, nie było jeszcze wiadomo nic konkretnego o terminie startu „Prometeusza-7”. Powiedział to

mimochodem, jakby wyrwało mu się to niechcący.

Następnego dnia Eugenia powiedziała do Santy, że znowu nie udało jej się zobaczyć swojej córki.

Potem Kirył zawiadomił Royda, że jego synek Andrzejek złamał nogę, i prosił, aby go zwolnić z kolejnej wachty w kabinie nawigacyjnej.

Na statku działo się coś dziwnego, niepojętego. Royd zgodził się zastąpić Kiryła na wachcie. A ten nałożył skafander i opuścił statek. Nie było go dwa dni: Zapasów tlenu w zbiornikach batyskafu wystarczało na dobę. Royd, Conti i Verona wyszli w Kosmos na statkach planetarnych na poszukiwania, ale Kiryła nie znaleźli. Pod koniec drugiej doby wrócił sam, radosny, i powiedział:

- Wszystko w porządku. Lekarze zapewniają, że nie zostaną nawet najmniejsze ślady złamania.

Ze zbiorników skafandra zużyto tylko ilość tlenu, jaka była przewidziana na godzinę.

Royd wezwał go do siebie. Potem Robina, Tracy'ego i Santę. Wsiewołod, trzeci pilot Conti oraz inżynier pokładowy Emmie przyszedli do niego sami. A później zaprosił wszystkich pozostałych. Wyjaśniło się, że siedmiu członków załogi „Prometeusza - 6” po kilka razy odwiedzało Ziemię.

Rzeczywiście pierwszy ze statku w Kosmos wyszedł Robin.

Po prostu nie mógł się obejść bez tych spacerów w całkowitej samotności. Tam nikt nie przeszkadzał mu w rozmyślaniach, nikt nie odwodził go od tego zajęcia. A myślał on zresztą, jak i inni ostatnimi czasy, o Ziemi, o swojej rodzinie, której już nigdy nie zobaczy, i zrodziło się w nim tak potężne, nie do pokonania pragnienie, aby zobaczyć rodzinę, że nawet jakoś wcale się nie zdziwił, kiedy uświadomił sobie, że stoi pośrodku swojego gabinetu we własnym domu. Absurdalność sytuacji - stał w pokoju w skafandrze kosmicznym - trochę go otrzeźwiła. Odkładając wyjaśnienie przyczyn tego zjawiska do bardziej sprzyjającego momentu, postanowił wykorzystać swoje nieoczekiwane przybycie tutaj. Należało pozbyć się skafandra, co też uczynił nie zwlekając. Później ostrożnie uchylił drzwi prowadzące na schody i usłyszał płacz. Płakało niemowlę. Dochodziły głosy dwóch kobiet. Rozpoznał głos żony i córki. Z rozmowy wynikało, że urodziła się dziewczynka. Nie śmiał pokazać im się na oczy. Później wrócił do gabinetu, przywdział skafander i... znalazł się w pustce. Statek znajdował się nie dalej niż w odległości kilometra. Robin poleciał do niego, wszedł do komory służowej, a przy obiedzie nie wytrzymał i powiedział, że urodziła mu się wnuczka. Od tej pory zaczął regularnie odwiedzać swój dom.

To samo przydarzyło się Tracy'emu i Sancie, i Kiryłowi, i -wszystkim tym, którzy opuszczali statek. Kirył nawet mieszkał w domu dwa dni. Żona Kiryła, choć niewiele

zrozumiała z jego mętnych wyjaśnień, pojęła jedno, że jej mąż, który odleciał na zawsze, może pojawiać się w domu. Teraz nie chciała go wypuścić.

Wszyscy jakby pozbyli się jakiegoś ogromnego ciężaru. Ci, którzy bywali już na Ziemi, wypytywali się nawzajem o szczegóły pobytu. A ci, którzy jeszcze nie byli, szykowali się do drogi. Tylko Royd i Verona nie wybierali się na Ziemię. Royd, ponieważ nie miał tam ani bliskich, ani przyjaciół, a Verona od razu oświadczyła, że nie zmusi się potem do powrotu na statek.

Wsiewołod i Robin przystąpili do prób zbadania tego zjawiska. Niestety nie mieli ani programu działania, ani nie znali sposobów i metod. W dodatku zjawisko wydawało się zbyt nieprawdopodobne. Najprościej można by to wytłumaczyć przy pomocy falowodu w trójwymiarowej przestrzeni, przez który ludzie przechodzili z Kosmosu na Ziemię i z powrotem. Analizatory pola grawitacyjnego rejestrowały niewielki impuls, kiedy człowiek zniknął, i taki sam impuls, ale z wychyleniem przeciwnym, kiedy się ponownie zjawiał.

Nikt nie wiedział, kiedy powstało to zjawisko i kiedy ono zaniknie. Postanowiono odwiedzać Ziemię kolejno, i to na krótki przeciąg czasu, a także ani ze statku na Ziemię, ani z Ziemi na statek nic ze sobą nie zabierać.

Przez kilka dni wszystko toczyło się zgodnie z planem, tylko okropnie dłużył się czas oczekiwania na swoją kolej. Potem nie wrócił Crooce. Minął dzień, tydzień, a jego wciąż nie było. Trący odszedł także nikogo nie uprzedzając. Następnie odeszli Espace, Kirył, Eugenia, Conti, Emmie. Potem nastąpiła pewna równowaga: nikt nie wychodził w Kosmos i nikt z niego nie wracał.

A później nagle, tego samego dnia, znikł Wsiewołod, Robin i Santa.

„Prometeusz-6” kontynuował lot w przestrzeni. Jego załoga składała się teraz z dwóch osób: Verony i Royda. Oboje nie przerywali swoich zajęć, ale Royd cierpliwie czekał, kiedy i Verona opuści statek. Jego samego Ziemia nie przyciągała w sposób tak przemożny jak pozostałych. A jednak to nie mogło ich usprawiedliwić. Royd miał nadzieję, że powrócą.

Po trzech miesiącach, od chwili kiedy zostali we dwoje, dogonili „Prometeusza-1”. Statek nie odpowiadał na sygnały wywoławcze. Prowadziły go automaty. Osiemnaście godzin oba statki szły po równoległych torach. Przez ten czas Royd zdążył dokładnie obejrzeć cały statek i nie stwierdził żadnych uszkodzeń, choć statek zszedł z kursu. Nie było na nim nikogo. Statek był pusty.

Wtedy Royd zrozumiał, że jego załoga nie wróci. Należało ich odszukać i przekonać o konieczności powrotu. Royd i Verona ciągnęli losy. Jemu wypadło wrócić na Ziemię.

Na „Prometeuszu” Verona została sama.

Royd dosyć szybko odnalazł Crooce'a, ale ten zaprzeczał, jakoby tak się nazywał. Z

Kiryłem również sprawa wyglądała beznadziejnie, a na ślady pozostałych nie trafił. Do Rady nie miał odwagi pójść, bał się. Z Espace'em spotkał się zupełnie przypadkowo. Trudno było nie zauważyć jego sylwetki, i wtedy właśnie polecili do Kiryła...

..*

Przewodniczący Rady do Spraw Galaktyki oczywiście znalazł osobiście wszystkich członków ekspedycji „Prometeusz”. I nie jego to wina, że Rabinowi trzykrotnie nie chcieli uwierzyć. W sali przy okrągłym stole oprócz niego i astronautów zasiadali fizycy, psychologowie i przedstawiciele innych gałęzi nauki.

- No cóż - powiedział Przewodniczący, kiedy Royd zakończył swoją relację. - Będziemy badać to niezwykle zjawisko. Dziwne... Wszyscy dotąd uważaliśmy, że „paradoks czasu” jest bezsporny. Widać mamy tu do czynienia z czymś innym. Dobrze się stało, że znaleźliście dosyć odwagi, aby tu przyjść. Rozumiem, co czuliście. Rozumiem, jak was ciągnęło ku Ziemi, i tutaj... Trzeba było przezwyciężyć potężną barierę psychologiczną, aby wszystko to nam opowiedzieć. Bo to i wstyd, i obawa, że was nie zrozumieją. W pewnym sensie odczuliście brak więzi z Ziemią. Dobrze, że jesteście znowu z nami. Co teraz zamierzacie robić?

- Nasza szóstka zamierza wrócić na statek. Verona nie wytrwa tam długo sama. Crooce'a wykluczaliśmy z naszej ekspedycji. Oczywiście mogą się z nami nie zgodzić. Ale takie są nasze zamierzenia. Czterech członków załogi znajduje się gdzieś na Ziemi. Możliwe, że i oni szukają kontaktów z nami i z Radą. Potrzebna jest im pomoc w odnalezieniu nas i w powrocie na statek.

- Wszystkie wasze postulaty zostaną rozpatrzone. Odnajdziemy Santę, Tracy'ego, Contiego i Emmie.

- A poza tym... może na razie nie należy nikomu mówić o naszym tchórzostwie? Choćby przez jakiś czas.

- O to możecie się nie martwić.

- Wobec tego wkładamy skafandry i odlatujemy o ósmej zero zero w odstępach jednonominutowych.

- W porządku. Do tego czasu przygotowujemy aparaturę. Dziękuję Wsiewołodowi i Rabinowi za pracę, którą wykonali. Wszystkie materiały, które nam przekazaliście, wykorzystamy przy finalizowaniu ekspedycji „Prometeusz-7”. Program tej ekspedycji zostanie zmieniony. „Prometeusz-7” zajmie się zbadaniem zjawiska, z którym zetknęliście się wy. Wasze zadania pozostaną bez zmian. W drodze powrotnej możecie opuścić statek i wrócić na Ziemię.

O godzinie trzeciej po południu opuścili budynek Rady. Wsiewolod poleciał do Gravipolis, Kirył - na brzeg Obu, Espace - nad Adriatyk. Eugenii obiecano ułatwić spotkanie z córkg. Robin wrócił na Wyspy Brytyjskie, a Royd - na Półwysep Apeniński.

..*

Royd pierwszy zjawił się w pobliżu statku i całą minutę niepokoił się o Espace'a. Ale ten wyszedł zgodnie z harmonogramem. Natychmiast zresztą nawiązali ze sobą łączność radiową. W ciągu następnych pięciu minut cała szóstka zbliżała się do „Prometeusza”.

„Co z Veroną? Jak sobie radziła sama?” - myślał teraz Royd.

Zaczęli już rozróżniać szczegóły statku, kiedy nagle na spotkanie im wyleciało pięć innych postaci w skafandrach, i natychmiast eter wypełnił się okrzykami:

- Royd? Wszyscy wróciliście?

- Kto mówi? Kto mówi?

- Santa!

- Trący!

- Conti!

- Emmie!

- Verona!

I oto wszyscy są już na pokładzie. Klepią się nawzajem po ramionach, ściskają sobie ręce. Verona bliska jest płaczu.

- Jak znaleźliście się tutaj? - pyta Royd.

- Wszyscy czworo zjawili się w ubiegłym tygodniu - odpowiada Verona.

Wszyscy widzieli Ziemię! Wszyscy widzieli Ziemię! Tylko ona...

- Verono - powiedział Royd - jutro wyprawimy ciebie na tydzień. Zobaczysz Ziemię.

Niestety następnego dnia statek minął obszar przestrzeni kosmicznej, w której powstawały falowody. Verona nie zobaczyła Ziemi. Trzymała się dzielnie i nawet nie płakała. Trudno było zresztą znaleźć jakieś słowa pocieszenia. Wówczas Royd podszedł i pocałował ją:

- Ten pocałunek przesyła ci twoja matka - powiedział.

„Prometeusz” mknął w stronę Niebieskiej Gwiazdy.

Feliks Kriwin
Wynalazca Wieczności

1

Wynalazca Wieczności zmarł w 1943 roku w małej miejscowości uzdrowskiej nad Morzem Śródziemnym. Nieco wcześniej w tymże morzu utonął przedstawiciel władz okupacyjnych, któremu przysła ochota ochłodzić się w śródziemnomorskich wodach i który pozostał tam dłużej, niż to sobie zakładał.

Równocześnie z nim znajdowali się w wodzie:

Profesor entomologii, lat pięćdziesiąt osiem;

Agent niewielkiej firmy handlowej, trzydzieści dwa lata;

Listonosz nie wyglądający na swoje szesnaście lat;

Studentka medycyny, niewiele ponad dwadzieścia;

Fryzjerka damska, około trzydziestki;

Ekspedientka, właścicielka sklepu kolonialnego, niewiele ponad czterdziestkę;

a także Starsza Pani-modelka, której wieku nie udało się ustalić.

Na obecność w wodzie wspomnianych osób zwrócono uwagę dopiero wtedy, gdy przedstawiciel władz okupacyjnych bezpowrotnie zniknął z pola widzenia. Agent handlowy i Fryzjerka rozmawiali o czymś żywo, Starsza Pani zażywała kąpieli morskiej tuż przy brzegu, inni po prostu pluskali się, każdy na swój sposób.

Wyciągnięto ich na brzeg i zatrzymano w charakterze zakładników - pod groźbą, że zostaną rozstrzelani, jeżeli w ciągu miesiąca nie zgłosi się faktyczny przestępca. Nie wtrącono ich do więzienia, by nie zabijać w nich woli życia, przeciwnie, umieszczono w komfortowej willi, wewnątrz bardzo przytulnej, lecz na zewnątrz okratowanej i starannie strzeżonej.

2

Był to swego rodzaju eksperyment.

Pierwszy dzień wydawał się niezmiernie długi. Profesor objaśnił to przyczynami natury subiektywnej. Czas - powiedział - jest tylko w połowie kategorią obiektywną, w połowie zaś - czysto psychologiczną, uzależnioną od procesów zachodzących w nas samych. Radość sprawia, że biegnie szybciej, cierpienie zwalnia jego bieg, a gdy czeka się na śmierć - wlecze się niestychanie powoli, albowiem życie nie chce się poddać śmierci.

Wspomniał o śmierci nie podejrzewając, że właśnie tu, wśród nich, znajduje się wynalazca Nieśmiertelności, której zresztą dotychczas jeszcze nie wynaleziono.

Starsza Pani-modelka ochoczo podtrzymała ten temat Rozmowy o wspólnym losie

odrywały ją od rozmyślań o własnym nieuniknionym kresie.

W owych latach, gdy Starsza Pani była modelką, myśl o przemijaniu nie nawiedzała jej. Teraz nie zostało już nic oprócz przemijania. Kąpiele morskie, zamiast pomóc, zgubiły ją ostatecznie. Takie to niespokojne czasy - ktoś kogoś topi, a chorego człowieka wyciągają z wody, przerywają kurację...

- Nie mówmy o śmierci - odezwała się Ekspedientka. - Póki jesteśmy młodzi... - Urwała, pochwycając krytyczne spojrzenie Fryzjerki.

Profesor przyznał jej rację - po to, by żyć, trzeba się skoncentrować na życiu. Są owady, które żyją tylko przez parę godzin i bynajmniej nie jest to dla nich powodem do rozpacz. Przez ten krótki czas wcale nie przeżywają mniej niż krokodyle w ciągu trzystu lat.

- Doprawdy trzystu? - Starszej Pani zabłyśły oczy. Własny wiek wydał jej się prawie niemowlęcym.

- Nienawidzę owadów - powiedziała Fryzjerka. - i nie rozumiem, po co krokodyle żyją tak długo.

Starsza Pani kiwnęła potakująco głową. Doprawdy żyją tak długo? Trzysta lat! A przed nią zaledwie miesiąc. Cóż można zrobić przez ten czas? Użyć życia - z pewnością nie. Na to całego życia za mało, co dopiero mówić o marnym miesiącu. Owady - to co innego, mają minimalne potrzeby. W ogóle nie wiadomo, po co żyją. A krokodyle?

Też nie wiadomo po co, jak słusznie stwierdziła Fryzjerka. Żyją trzysta lat - i nie wiadomo po co.

3

- Wszystko jest względne - odezwał się Agent. Ponieważ był handlowcem na względną skalę, wyznawał teorię względności. - Każde miasto jest małym państwem, każdy dom - małym miastem...

- Jakież przyjemne to nasze miasteczko - powiedziała Fryzjerka, obrzucając spojrzeniem ściany i sufit.

Agent zaproponował jej spacer po korytarzu, ale odmówiła. Była fryzjerką damską i serce jej zamierało na widok mężczyzn strzygących się obok, w salonie męskim. Ich brody i wąsy stanowiły dla niej całkowitą zagadkę, po powrocie do domu długo stała przed lustrem z brzytwą w rękę, wyobrażając sobie, że goli klienta. W salonie damskim, a tym bardziej w swym samotnym pokoiku, nie miała kogo golić i ręka jej zawisała w powietrzu jak szybujący ptak...

Listonosz przyniósł gazetę. Odkrył w składziku całą paczkę starych gazet, ale

przyniósł tylko jedną. Uporządkował je według dat i choć wszystkie były sprzed lat pięciu, to jednak w porównaniu z najstarszą, późniejsze zapewniały regularny dopływ informacji.

Agent rozłożył gazetę i przeczytał komunikat o utworzeniu się rządu Daladiera, który w rzeczywistości został rozwiązany już trzy lata temu. Wiadomość o utworzeniu tego rządu, który w swoim czasie nie spełnił niczych oczekiwań, dziś została powitana z radością, ponieważ oznaczała ustąpienie władz okupacyjnych. Istniało wprawdzie niebezpieczeństwo, iż rząd Daladiera ustąpi miejsca rządowi Paula Reynaud, który w najcięższych chwilach ucieknie i Paryża, ustąpiwszy miejsca marszałkowi Petain, który ustąpi go z kolei wspomnianym władzom okupacyjnym. i choć mawia się, że nowe jest tylko dawno zapomnianym starym, niekiedy stare powraca tak szybko, iż nawet nie zdąży się o nim zapomnieć.

- Wszystko jest względne - powtórzył Agent, zagłębiając się w lekturze.

Rzeczywiście, wszystko jest względne. Przecież człowiek już w chwili swych narodzin skazany jest na śmierć, różnica polega tylko na terminie, w którym wyrok ten zostanie wykonany - za dzień, za miesiąc, czy za sto lat. Myśl tę wypowiedział Profesor, znawca układów biologicznych mających niejednakowy okres trwania, lecz jednakowe zakończenie.

Już wówczas, na plaży, Fryzjerka nie mogła oderwać oczu od wspaniałej brody Profesora, która nawet teraz nie przestawała jej kusić. Palce ścisnęły wymagowaną brzytwę, ręka wlatywała jak ptak...

- Z punktu widzenia motyla, trzydzieści dni to wcale niemało - powiedział Profesor.

4

- Z pewnością dla motyla godzina znaczy tyle co rok - wyraził przypuszczenie Agent.
- Czas dla niego liczy się według wyższego kursu, toteż i zysk życiowy jest nie mniejszy niż w przypadku innych.

- Ja wolę stały kurs - wtrąciła Ekspedientka.

Agent jednak uważał, iż stały kurs możliwy jest wyłącznie przy obfitości towarów, a przy ich deficycie trzeba śrubować ceny.

- My, ludzie - mówił - żyjemy w warunkach obfitości czasu - mamy do dyspozycji lata, dziesiątki lat. Dlatego też nie cenimy czasu. Gdybyśmy mieli wyliczony każdy dzień, czas miałby znacznie wyższą cenę.

- I osiągnęlibyśmy taki sam zysk? - spytała z powątpiewaniem Ekspedientka.

- Oczywiście. Rachunek jest prosty - zakładamy, że godzinę liczymy według kursu

miesiąca. Wówczas doba będzie miała wartość dwóch lat, a miesiąc - sześćdziesięciu.

To prawda, że wszystko jest względne, zależne z jakiej strony na to patrzeć. Czupryna i brak zarostu może wyglądać jak gęsty zarost i łysina. Fryzjerka przeniosła wzrok z Profesora na Agenta.

- A zatem miesiąc, który nam dano do dyspozycji, może zastąpić sześćdziesiąt lat, czyli średnią długość życia?

- To nęcące - uśmiechnął się Profesor i mrugnął porozumiewawczo do Starszej Pani. - I co pani na to? Przeżyjemy razem jeszcze sześćdziesiąt lat.

- Nie z moimi dolegliwościami - do Starszej Pani nie przemawiał jego optymizm.

Listonosz wziął papier, ołówek i zabrał się do liczenia. Właściwie nie było w tym nic skomplikowanego, zwykłe zadanie szkolne. Jeśli godzina równa jest miesiącowi, to dwanaście godzin równa się dwunastu miesiącom. A dwadzieścia cztery godziny - to dwa lata. Zostaje tylko pomnożyć przez trzydzieści...

Studentka natomiast dawno już wyrosła z zadań szkolnych i patrzyła na świat z wyżyn swych nieukończonych studiów. Wiedziała, że miesiąc jest częścią roku, to znaczy czasu, w jakim Ziemia okrąży Słońce, a godzina - częścią doby, to znaczy czasu obrotu Ziemi wokół własnej osi... Jak można mylić te dwie sprawy?

- Co nas obchodzi Ziemia czy Słońce, skoro już więcej ich nie zobaczymy? - odezwał się Agent, a Ekspedientka westchnęła:

- Jesteśmy jak motyle, które zamknięto w jednym pudełku i pozwolono przeżyć w nim trzydzieści dni.

- Sześćdziesiąt lat - poprawił ją Listonosz. - Trzeba się przyzwyczaić do nowej rachuby czasu.

5

Wszyscy zaczęli przyzwyczajać się do nowej rachuby czasu. Pierwsze miesiące upłynęły im na urzędowaniu się w nowym miejscu.

Profesorowi przydzielono osobny gabinet, aby mógł kontynuować pracę naukową. Oprócz tego miał uczyć Studentkę: wygłosić cykl wykładów, przeprowadzić z nią zajęcia seminaryjne, a na koniec - przeegzaminować.

Starsza Pani-modelka młodniała po prostu w oczach. Przecież miarą młodości nie są lata już przeżyte, lecz te, które do przeżycia zostały. Obecnie Starsza Pani miała przed sobą tyleż czasu, co młoda Studentka i jeszcze młodszy Listonosz, i gdyby nie choroby, czułaby się ich rówieśnicą.

Wszyscy stali się rówieśnikami. Czterdziestoletnia Ekspedientka, która po raz pierwszy zyskała prawo do życia osobistego, zainteresowała się trzydziestoletnim Agentem. Z miejsca wybrała go spośród innych swych rówieśników - sześćdziesięcioletniego Profesora i szesnastoletniego Listonosza. Przyczynił się do tego również fakt, iż obarczona liczną rodziną oraz rzeszami klientów, po raz pierwszy w swym rodzinno-kolonialnym życiu znalazła się w tak niewielkiej grupie, że mogła przyjrzeć się każdemu z osobna, podczas gdy dawniej widziała ludzi wyłącznie *en masse*. Nie mogła więc nie zauważyć szczupłej, z lekka ironicznej twarzy Agenta. Usiłowała wyobrazić sobie, jak wchodzi do jej sklepiku po jakiś zakup - i nie potrafiła. W niczym nie przypominał jej klientów i nie sposób było wyobrazić go sobie za ladą - ani po jednej, ani po drugiej stronie. Oznaczało to, że jego i Ekspedientkę dzieli coś więcej niż lada. Zbliża nas to, co nas dzieli, a dzieli to, co zbliża - taka jest dialektyka życia, rozmyślała Studentka, machinalnie robiąc konspekt wykładu i kątem oka obserwując tych dwoje.

Jedynie dialektyka można było wyjaśnić fakt, iż Agent wolał czterdziestoletnią rówieśnicę niż dwie pozostałe - dwudziesto- i trzydziestolatkę. To wszystko jednak było znacznie prostsze. Studentka słuchała wykładów Profesora. Fryzjerka nie spuszczała wzroku z jego brody - obie skupiły na nim całą uwagę, zupełnie ignorując Agenta. Ekspedientka była wolna - od sklepu kolonialnego, od rodziny, w identycznym położeniu znajdował się Agent handlowy. Ich zawód wymagał bodaj względnego obcowania ze światem zewnętrznym.

Po dwóch latach znajomości, Listonosz przyniósł Ekspedientce pierwszy list wyznaczający jej randkę w korytarzu. A po trzech miesiącach Agent otrzymał odpowiedź. Odległości były niewielkie, poczta pracowała pełną parą, listy jednak szły bardzo długo - według nowej rachuby czasu.

6

Starsza Pani, czując przepływ nowych sił, wzięła się za porządki. We własnym domu dawno już tego nie robiła, gdyż uważała, że przeżyła już życie. Teraz jednak, gdy ujrzała przed sobą przyszłość, być może niewielką, lecz bądź co bądź nie gorszą niż u innych, postanowiła ją godnie przeżyć i całą duszą oddała się zajęciom gospodarskim.

Najważniejsze, że miała o kogo dbać. Ledwie otworzyła oczy, zaczynała gorączkowo myśleć: trzeba sprzątnąć gabinet Profesora, przygotować stanowisko pracy dla Fryzjerki, a jeszcze przedtem - obudzić Listonosza i wyprawić go w drogę, aby zdążył dostarczyć poranne gazety.

Budziła Listonosza, karmiła naprędce i odprowadzała do drzwi wiodących z jadalni do

salonu. Następnie przecierała lustro Fryzjerki, ustawiała przed nim fotel i starannie układała przybory: grzebień, nożyczki, szczypczyki, wałki. Po chwili zjawiała się Fryzjerka, zamieniała ze Starszą Panią kijka słów i zagłębiała się w fotelu czekając na klientów. Starsza Pani zaś spieszyła do gabinetu Profesora.

Sama nie mogła się nadziwić swojej energii. Mogła przez trzy miesiące z rzędu pucować podłogę, by uzyskać wspaniały połysk, przez tydzień czyścić kredens przywracając mu przyzwoity wygląd. Przed wszystkimi drzwiami rozłożyła chodniczki i surowo pilnowała, by każdy wycierał nogi przechodząc z pokoju do pokoju. Prace domowe nie mają początku ani końca i to w pewnej mierze upodabnia je do wieczności. Może dlatego młodzi mniej je lubią niż ludzie starsi, starsi zaś nabierają dzięki nim zbawczego poczucia, że wszystko to nigdy się nie skończy... Mogłoby się zdawać, że Starsza Pani-modelka prezentuje te cudze pokoje, tak jak niegdyś prezentowała cudze toalety. No, spójrzcie, nie macie ochoty tu pomieszkać? Najlepsze pokoje tylko u nas!

I tylko w bieżącym sezonie!

Albowiem żywot motyla trwa tylko jeden sezon.

7

Tak oto mijały lata i jak to z nimi bywa, pędziły jak szalone. W godzinach wolnych od wykładów Profesor pisał monumentalne dzieło: „Życie motyli w warunkach zamkniętego pomieszczenia”.

W owym wielkim świecie, w którym czas odmierzały ważne lata, trwała wojna, tutaj - nikt o tym nie myślał, albowiem ludzie żyli w innym wymiarze. Przedtem też nie rozumowali w zbyt wielkich kategoriach i tam, gdzie nikt ich nie ograniczał, ograniczali sami siebie; życie w małym świecie miało tę zaletę, że uwalniało człowieka od większych burz. Profesor ograniczał się do entomologii, Ekspedientka - do sklepiku kolonialnego i rodziny, Fryzjerka - do salonu damskiego, za którym rozpoczynał się tajemniczy salon męski, pełen trwóg i niebezpieczeństw, jak każdy świat, którym rządzą mężczyźni, i nawet Agent handlowy, podróżując po całym ogromnym świecie, pozostawał w swym własnym - małym, jak pasażer, który nie opuszcza przedziału, bojąc się, że mu ukradną walizkę.

Wzięci w charakterze zakładników, stali się po raz pierwszy mimowolnymi uczestnikami obcych i niemiłych im spraw, które zwykle nazywali pogardliwie „polityką”. Któż z nich śmiałyby utopić przedstawiciela władz okupacyjnych? Nie było mowy o topieniu kogoś, chodziło o to, żeby samemu utrzymać się na powierzchni - takie doświadczenie wynieśli z pływania w Morzu Życia.

Oczywiście różne to było doświadczenie. Duże - Starszej Pani i Profesora, nieco mniejsze - Fryzjerki, a całkiem .malutkie - Listonosza. Właściwie ani on, ani Studentka nie mieli w ogóle doświadczenia, oni dopiero wstępowali w Morze Życia i nie zdążyli jeszcze dotrzeć do jego głębin.

8

- Usiądźmy pod amplą - proponował Agent Ekspedientce. Siadali więc pod amplą, która siała na nich księżycowy blask. Przesiadywanie pod tym sztucznym księżycem przenosiło Ekspedientkę w dalekie lata, kiedy to i księżyc był inny, i ona była inna, i mężczyzna siedzący obok niej był zupełnie inny. Tamten mężczyzna, późniejszy współwłaściciel sklepu kolonialnego, późniejszy mąż i ojciec jej pięciorga dzieci, był wówczas jeszcze nikiem, lecz właśnie wtedy był jej szczególnie drogi. Światło księżycyca... Możliwe, że wszystkiemu winne jest światło, które czyni bliskim obcego człowieka. Później, gdy się rozproszy, okazuje się, że człowiek ten jest obcy, ale to właśnie trzeba będzie ukryć przed nim, przed sobą, przed innymi ze względu na wspólne dzieci, wspólną rodzinę, wspólny sklep kolonialny... Poza tym - nie istnieje nic wspólnego, a zwłaszcza to, co niegdyś przywidziało się w świetle księżycyca...

Wzajemna skłonność Ekspedientki i Agenta od pierwszej chwili spotkała się z przychylnością i gorącym poparciem ze strony pozostałej ludności tego zamkniętego świata. Listonosz całkowicie poświęcił się ich korespondencji, tracąc na dostarczanie listów najwyżej jeden dzień. Profesor, by nie zakłócić ich sam na sam, przesiadywał długo w swoim gabinecie, starając się skoncentrować na ukochanej entomologii. Studentka wskrzeszała w pamięci zapomniane wiersze, odnoszące się do obecnej sytuacji i jak ulotki rozrzucała je po pokoju. A Fryzjerka - słów dla niej brak, nie oszczędzała siebie ani swej jedynej klientki, spóźnionego życia, które wymagało nieustannych kosmetycznych zabiegów.

A Starsza Pani-modelka, widząc dalej niż inni, po kryjomu szyła pieluszki. Aby owe pieluszki się przydały, trzeba by nie sześćdziesięciu, ba, nawet nie sześciuset lat według nowej rachuby czasu, prawdziwa miłość jednak nie lęka się podobnych przeszkód, więc Starsza Pani szyła pieluszki wierząc w prawdziwą miłość.

Sprawcy wszystkich tych poczynań siedzieli będąc ośrodkiem zainteresowania - które usiłowało być delikatne i nienatarczywe. Agent mówił:

- Czy nie wydaje się pani, że jesteśmy sami na świecie? Tylko pani, ja i ta ampla...

- Tak - odpowiadała mu Ekspedientka. - Tylko my oboje i dokoła ani żywej duszy...

Tymczasem jedna dusza ślęczała w gabinecie, druga przypominała sobie wiersze dla

nich, a trzecia przygotowywała na zapas pieluszki... Cóż począć, miłość jest egoistyczna, niczego wokół nie zauważa, gdy siedzi pod amplą.

- Niech pan spojrzy - mówiła Ekspedientka wznosząc w górę oczy i wraz z nimi - marzenia i nadzieje. A tam, pod wieczornym sklepieniem sufitu, jej marzenia spotykały się z jego marzeniami, zaś noc już się zbliżała odgradzając ich od świata grubą ścianą, ściślej mówiąc - czterema grubymi ścianami...

9

Tak przeleciało trzydzieści lat i Starsza Pani zaniepokoiła się, czy zdąży uszyć pieluszki. W tym zamkniętym świecie lata upływały szczególnie szybko i Starsza Pani poczuła, że znów zaczyna się starzeć. Dawały o sobie znać choroby, pozostałość jeszcze tamtej, poprzedniej starości, i zdarzało się, że całymi miesiącami nie wstawała z łóżka, a kiedyś nawet przeleżała w nim cały rok.

Wspominała lata swej młodości... Młodość, chociaż ruchliwsza od starości, posuwa się jednak wolniej. A starość mknie jak na skrzydłach - choćby nawet starych i niemodnych - mknie, że trudno za nią nadążyć.

Zwłaszcza teraz daje się to odczuć. Zaledwie osiedlili się, zaczęli żyć, a tu już przemknęło trzydzieści lat. i pozostało już tylko trzydzieści. Czas motyli.

Życie Starszej Pani było długie i urozmaicone. W czasach młodości była modelką, potem bardzo krótko żoną, później kucharką, pokojówką, gospodynią... W końcu - po prostu Starszą Panią żyjącą ze swych oszczędności. Z wszystkich tych zawodów najbardziej lubiła pierwszy, dzięki któremu stawała się ośrodkiem zainteresowania. Nigdy później nikt już nie zwracał na nią uwagi. Dlatego w głębi duszy pozostała modelką, dochowując wiary swej młodości i urodzie. To bardzo trudne - dochowywać wiary młodości i urodzie, które nie są zdolne odwzajemnić się tym samym.

Sytuacja była rozpaczliwa. Lata mijały jak dni i Starsza Pani czuła się niczym stary balonik, z którego uszły resztki powietrza zostawiając sflaczałą powłokę...

Nagle, w tej dramatycznej chwili, kiedy zdawało się, że znikąd nie można wyglądać ratunku, Listonosz przyniósł jej list następującej treści:

Z UWAGI NA KATASTROFALNE PODROŻENIE CZASU, PROPONUJEMY OD DZIŚ LICZYĆ GODZINĘ ZA ROK, A NIE ZA MIESIĄC. W TEN SPOSÓB ZOSTANIE NAM DO DYSPOZYCJI JESZCZE TRZYSTA SZEŚĆDZIESIĄT LAT.

List był bez podpisu i bez adresu zwrotnego, jednakże jego kategoryczny ton przekonywał. Przekonywał głównie dlatego, iż trzysta sześćdziesiąt lat brzmi zawsze lepiej

niż lat trzydzieści, czy też piętnaście dni.

Starsza Pani natychmiast poczuła świeży przyływ młodości. Trzysta sześćdziesiąt lat - to minimum cztery życia, jeśli nawet jedno zostało przeżyte, to jeszcze trzy są w zapasie. Można by pomyśleć, że Starsza Pani ledwie zaczęła żyć.

- Boże, jacyż my jesteśmy młodzi! - wykrzyknęła, zdradzając ogółowi otrzymany list.
- Jeszcze będziemy żyć i żyć...

Gdy mówiła te słowa, minęły trzy dni. Ale przed nimi było jeszcze mnóstwo lat...

10

Ludzie przywykają do wszystkiego. Nawet do tego, że mają przed sobą czterysta lat życia. W końcu i to staje się dla nich naturalne i zwyczajne. Życie biegnie swoim torem, być może dłuższym, jednak tym samym, i tylko częściej migają słupy milowe lat.

Obecnie wykład profesora trwał jedenaście miesięcy bez przerwy. A Starszej Pani trzy lata schodziły na sprzątaniu i trzy - na przygotowaniu obiadu. Spotkania Ekspedientki i Agenta wydłużyły się, za to dłuższe też były rozłąki.

- I znów nie będziemy się widzieć przez kilka lat - wzdychali, wracając do swych pokojów, a przy następnym spotkaniu wykrzykiwali:

- Ach, tyle lat!... Tyle długich lat!

Nic dziwnego, przez wszystkie te lata on myślał wyłącznie o niej, a ona - wyłącznie o nim. Wprawdzie przeleciały one w ciągu jednej nocy, niemniej jednak im się dłużyły, jak potrafią się dłużyć tylko lata rozłąki.

Z niczym nie dadzą się porównać. Na przykład, rok na Marsie trwa blisko dwa lata ziemskie. Na Jowiszu - dwanaście lat. Dwieście pięćdziesiąt lat ziemskich - na Plutonie i mimo to zdaje się krótszy niż rok rozłąki, nawet trwający zaledwie jedną godzinę.

Stąd też najdłużej żyją ci, którzy są rozłączeni. Każdy dzień jest dla nich rokiem, a każdy rok - równy osiemnastu miesiącom na Plutonie. Jest to trzysta siedemdziesiąt pięć lat ziemskich spędzonych w wiecznym mrozie i wiecznej nocy, w odległości sześciu miliardów kilometrów od Ziemi.

Codzienna prasa dostarczana przez Listonosza przekształciła się najpierw w coroczną, a potem przychodziła raz na dwadzieścia cztery lata. Nikt jednak nie uskarżał się na przestoje w pracy poczty, gdyż nawet przy takiej częstotliwości nikt nie znajdował czasu na czytanie gazet.

Komu w głowie gazety, gdy w fotelu u Fryzjerki przesiaduje się rok, prawie rok trwa streszczanie wykładu, a sprzątanie pochłania mniej więcej trzy lata.

Profesor zaś siedział nad swoją monografią. Na przemyśleniu jednej frazy schodziły mu dwa, a nawet trzy miesiące. Nic w tym dziwnego, przecież była to poważna praca naukowa, nad którą warto spędzić nawet całe życie - „Życie motyli w warunkach zamkniętego pomieszczenia”.

11

Był sobie Psychiatra. Leczył ludzi cierpiących na fałszywe wyobrażenia o sobie, między innymi na megalomanię, czyli wygórowane pojęcie o własnej wartości. Przypuśćmy, zięba uroiła sobie, że jest orłem - jest to klasyczna forma manii wielkości. Ale gdyby orzeł uroił sobie, że jest ziębą - to już nie byłaby mania wielkości, lecz kompleks niższości. A jeśli zięba wyobrazi sobie, że jest wróblem, lub wróbel, że jest ziębą - to już ani mania, ani kompleks, lecz w ogóle nie wiadomo co. To znaczy nie wiadomo nam, bo Psychiatra doskonale wiedział.

Pewnego razu, podsumowując swą wieloletnią pracę. Psychiatra zwrócił uwagę na pewien ciekawy fakt - przez ostatnie dziesięć lat żaden z jego pacjentów nie uważał się za Napoleona.

Jednakże sprawa nie kończyła się na Napoleonie. W tym samym okresie wśród znajdujących się w klinice Psychiatry pacjentów nie spotykało się także innych wielkich imion: nie było Cezara ani Aleksandra Macedońskiego, nie było Arystotelesa ani Galileusza. Szczytem maniakalnej wyobraźni chorych psychicznie byli ich najbliżsi zwierzchnicy: dyrektorzy, kierownicy, administratorzy... Porucznik wyobrażał sobie, że jest kapitanem, kapitan - że jest majorem, major - że jest pułkownikiem. Student uroił sobie, że jest wykładowcą, wykładowca - docentem, docent - profesorem, kieszonkowiec - włamywaczem.

Takie obniżenie maniakalnego pułapu było także swoistą patologią, obniżeniem potencjalnych możliwości jednostki na skutek utraty wiary w siebie. Jest to zgubne nie tylko dla jednostki jako takiej, lecz i dla społeczeństwa, jako że potencjalne możliwości społeczeństwa zależą od potencjalnych możliwości jednostek, z których się składa. Psychiatra więc postanowił podwyższyć ów pułap, wpoić swoim chorym manię prawdziwej wielkości.

Opowiadał im o wielkich czynach dokonywanych na Ziemi! przed ich urodzeniem, o drogach, które przywiodły ludzi do wielkości. Mówił o niewyczerpanych możliwościach człowieka, o tym, że różnica między wielkimi, średnimi i miernymi ludźmi polega jedynie na tym, że w różnym stopniu wykorzystują owe możliwości. Mała wiejska dziewczynka ocalała ogromny kraj i historia uznała ją za wielką bohaterkę. Każdej dziewczynce dana jest taka możliwość.

- Motyle, rzecz jasna, pozbawione są tych możliwości - zakończył Profesor swoje opowiadanie, będące ilustracją wykładu dla Studentki. - Albowiem życie motyla jest uzależnione od jego fizjologii, motyl nie może wyjść poza granice własnej fizjologii, a człowiek - może. Rozerwać ten zamknięty krąg, wyjść poza granice fizjologii - oznacza w istocie rzeczy stać się człowiekiem. Z małego człowieka - dużym człowiekiem. Z dużego człowieka - wielkim. Człowiek jest tym większy, im wyżej wznosi się ponad fizjologię. Ponad fizjologię motyla. Ponad fizjologię zwierzęcia. Ponad fizjologię człowieka. Ponad fizjologię wszystkich, którzy żyli przed nim na Ziemi.

12

Pocztę dostarczono z całorocznym opóźnieniem, ponieważ Listonosz słuchał wykładu Profesora. Poprzednio nigdy tego nie robił - wykłady bowiem były poświęcone niezrozumiałej i niezbyt go interesującej entomologii. Teraz jednak, gdy Profesor zaczął mówić o ludziach nieprzeciętnych, których imiona zasłynęły w historii, Listonosz musiał się zatrzymać i wysłuchać opowiadania do końca.

Czym różni się życie człowieka od życia motyla? Oczywiście nie tylko długością. Człowiek dysponuje możliwościami, których motyl jest pozbawiony. Motyl mógłby stać się orłem, gdyby tylko miał takie możliwości. Ale ich nie ma. A człowiek - ma.

Weźmy, na przykład, braci Montgolfier, którzy jako pierwsi wzniesli się balonem. Ludzie żyjący przed nimi nie umieli latać. Dysponowali taką możliwością, lecz nie umieli jej wykorzystać. A bracia Montgolfier - tak. Wyszli poza granice własnej fizjologii - i polecieeli. Teraz nikt już nie powie, że ludzie nie umieją latać.

Listonosz od dziecka marzył, by zostać lotnikiem. Gdyby nie wojna, z pewnością by nim został, ponieważ dysponował taką możliwością. Wojna pozbawiła go jej na pewien czas, gdy jednak się skończy...

Ale kiedy skończy się wojna? Mając w zapasie blisko czterysta lat, można liczyć, że kiedyś wreszcie się skończy.

13

Przyjemnie jest marzyć o przyszłości widząc przed sobą jeszcze blisko czterysta lat. Że zostaniesz lotnikiem, że skończysz uniwersytet, że nauczysz się golić brody tak, jak to robią w męskim salonie... Albo że poświęcisz tych czterysta lat życia na doprowadzenie do

końca pracy nad monografią i będziesz niańczyć wnuki... Boże, jakież zawrotne perspektywy odkrywają się przed każdym z nas! Gdyby świat, który nas otacza, został stworzony na nowo, a tworzywem byłyby wyłącznie perspektywy - jakież byłby cudowny. Byle tylko perspektywy te nie zderzały się, nie przekreślały wzajemnie, jak na przykład perspektywa niańczenia wnuków - perspektywę życia osobistego czy dokończenia monografii.

Świat jest ciasny i każda perspektywa przedłużana w nieskończoność musi przekreślić nieskończoną liczbę perspektyw i z kolei sama przez nie zostać przekreślona.

Nie jest to zwykła reguła geometryczna, której znajomość wynosi się z ławy szkolnej, lecz reguła życia, której nie można się nauczyć, gdyż ciągle powstaje na nowo.

Żyjemy w punkcie przecięcia perspektyw, a świat, w którym się one przecinają, jest ciasny. Tak, ciasny, zwłaszcza gdy go zamknąć w czterech ścianach... Ale czy ściany stanowią przeszkodę dla perspektyw? Otoczcie nas dziesiątkami ścian, zamknijcie w kamiennych więzieniach - i stamtąd pomkną w nieskończoność ku dalekim gwiazdom nasze wyzwolone, nie dające się ujarzmić perspektywy.

14

Gdy mrówka się zakocha, wyrastają jej skrzydła. Dzieje się tak zresztą ze wszystkimi zakochanymi, ale mrówce wyrastają autentyczne skrzydła, i wówczas fruwa, i kocha. A kiedy przestanie fruwać i kochać, wraca na ziemię i sama wyłamuje sobie skrzydła, aby już nigdy więcej nie kochać.

A na przykład takiemu motylkowi-koszówce skrzydła nigdy nie wyrastają i rozmnaża się bez miłości, partenogenetycznie. Cóż warte życie bez miłości? Jak długo można żyć bez niej? Koszówka żyje tylko kilka minut, lecz w jej przypadku i tak zbyt długo.

Ekspedientce bardziej podobała się mrówka. Sama wyłamuje sobie skrzydła, które jej wyrastają, gdy przychodzi miłość. My, ludzie, zwykle podcinamy sobie skrzydła nawzajem, ona zaś robi to sama! Ekspedientka nie byłaby do tego zdolna, zabrakłoby jej siły woli. To nie bagatelka - samej wyłamać sobie skrzydła, aby już więcej nie kochać!

Skrzydlate mrówki, bezskrzydłe motyle... i wszystko przez tę miłość, przez tę miłość.

Starszą Panią słuchającą Profesora zdumiewało znów co innego. Zwyczajna mucha, a co sobie wykoncypowała Okazuje się, że nie ona karmi swoje larwy, lecz przeciwnie, one gromadzą pokarm dla dorosłych osobników. Fryzjerka z kolei dziwiła się, że dorosłe jętki mniej się różnią między sobą, niż ich młode potomstwo - gąsienice. Można by to wytłumaczyć utratą indywidualności. Widocznie z wiekiem traci się indywidualność i klientki damskiego salonu dlatego przesiadują tam pół dnia, aby ją odzyskać. Agentowi

zaimponowała umiejętność chrząszczyków oleić, które jak nikt inny potrafią przystosować się do warunków. Larwa oleicy siedzi na kwiatku czekając na pszczołę robotnicę. Posłuży się nią najpierw jako środkiem transportu, który ją przeniesie do komórki, gdzie przede wszystkim zje jajeczko pszczele. Zaspokoiwszy pierwszy głód, larwa zaczyna zmieniać swój wygląd, aby zatrzeć ślady, a także przystosować się do nowych warunków. Szczęki jej upodabniają się do łyżek, aby wygodniej było spijać miód. Po wypiciu miodu larwa jeszcze dwukrotnie zmienia wygląd ostatecznie zacierając ślady. Proszę, jak się urządziła.

A listonosz przeżył pierwsze rozczarowanie, jeśli chodzi o Północ. Marzył o tym, by zostać lotnikiem i lecieć właśnie na Północ, a teraz speszyło go to, co usłyszał o meszkach. Okazuje się, że meszki, które na Południu żywią się nektarem kwiatów, na Północy stają się okrutnymi krwiopijcami.

Trudne życie, które człowieka potrafi uszlachetnić, meszkę zamienia w istną bestię. Jednakże, powiedział sobie Listonosz, to wszystko bynajmniej nie znaczy, że trzeba bać się Północy. Grunt, żeby nie być meszką.

Tak, od entomologa też można się czegoś nauczyć.

15

Upłynęło następnych dwieście lat i Starsza Pani znów poczuła, że się starzeje. Nie było już w niej owej lekkości co dwieście lat temu, całymi latami nie opuszczała łóżka. Życie uchodziło z niej, jak publiczność opuszczająca salon mody po skończonym pokazie - wszystkie modele zostały już zaprezentowane...

I wówczas listonosz przyniósł jej list.

ZGODNIE Z NOWĄ REFORMĄ CZASU NAKAZUJĄCĄ ODTĄD PRZYJAĆ ZA ROK NIE GODZINĘ, LECZ MINUTĘ, PRZED NAMI JESZCZE DZIEWIĘĆ TYSIĘCY SZEŚĆSET LAT.

Prawie dziesięć tysięcy lat. Praktycznie biorąc oznacza to tyle, co wieczność. Żadnemu człowiekowi nie udało się przeżyć tylu lat. Biblijny Matuzalem żył dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć lat, po prostu śmiesznie krótko - mniej niż tysiąc lat! Tak, Matuzalem nie zdążył się nacieszyć życiem... Można powiedzieć, że zmarł w wieku niemowlęcym...

Starsza Pani zeskoczyła z łóżka i pobiegła zająć kolejkę za Ekspedientką, której Fryzjerka układała włosy. Po to, by żyć i żyć, trzeba przede wszystkim dobrze wyglądać. Fryzjerka pracowała szybko i minęło niespełna czterdzieści lat, kiedy skończywszy czesać Ekspedientkę, zajęła się Starszą Panią. Zaraz, zaraz, jak to Starszą Panią? Czy można nazwać tak kobietę, która przeżyła zaledwie trzysta lat?

Krokodyl żyje trzysta lat, lecz umiera jako staruszek. Dla nas życie zaczyna się dopiero po trzysetce.

16

Zegar tykał, odmierzając nie godziny i minuty, lecz lata i stulecia. Pełny obrót wskazówki - prawie tysiąc lat. Jeszcze jeden obrót - i znów tysiąc... i pewnego pięknego tysiąclecia Listonosz poczuł, że sufit zaczyna go przygniatać.

Nie chodziło tu o wzrost. Listonosz był najniższy ze wszystkich, a tymczasem sufit przygniatał właśnie jego, nie zaś wysokiego Agenta. Może powodem było to, że Listonosz marzył o zostaniu lotnikiem, a dla lotnika nie istnieją żadne sufity, nawet niebo nim nie jest. A może podziałał tak na niego wykład Profesora - nie ten o owadach, nie, tylko tamten o potencjalnych możliwościach. Wydało mu się, że sufit przytłacza właśnie jego potencjalne możliwości i przeszkadza w ich urzeczywistnieniu.

Upolowawszy moment, kiedy Profesor był wolny od pracy naukowej oraz dydaktycznej, Listonosz spytał go o Psychiatrę, który wpajał swym pacjentom manię prawdziwej wielkości. Czy udało mu się ich uzdrowić? Czy stali się normalnymi wielkimi ludźmi?

Niestety, odrzekł Profesor, na razie wielkość nie jest jeszcze normą. Powinna nią być, lecz nie jest. Osiągając wielkość człowiek narusza normy - społeczne, naukowe, estetyczne lub po prostu psychiczne, skoro już mowa o czystej psychiatrii, i na odwrót: stając się całkowicie normalnym często tę wielkość traci - nie tylko tę patologiczną, także autentyczną, która powinna stanowić normę. - A czymże jest norma? - spytał Profesor i zamiast odpowiedzieć wprost, posłużył się przykładem: - Mucha demonstracyjnie przechadza się przed żabą, czekając, aż tamta ją połknie. Z punktu widzenia zdrowego rozsądku nie można tego uważać za normalne, ale dla muchy takie samobójstwo to naturalna kolej rzeczy. Tylko w żabich wnętrznościach może narodzić się jej potomstwo, więc poświęcając siebie zapewnia mu życie.

- To nadzwyczajne - odezwał się Listonosz. - Ale pan mówił o ludziach...

- Tak, przepraszam... Nie jestem ekspertem w sprawach ludzkich, moją dziedziną jest entomologia. Ale czy człowiek nie żyje dla swego potomstwa? Inaczej życie nasze straciłoby wszelki sens i nie można by go uznać za normalne.

Jednakże, zauważył Profesor, norma jest również kategorią zmienną, nie da się zastosować we wszystkich okolicznościach. Niekiedy jest rzeczą normalną żyć dla potomstwa, niekiedy - umrzeć dla niego. Najważniejsze, aby mieć poczucie czasu, w którym

się żyje.

- Weźmy na przykład ćmy. Stale dążą do światła. Lecą prosto w ogień i spalają się w nim właśnie na skutek tego dążenia. Powinny być dziennymi motylami, mieć wokół mnóstwo światła i donikąd nie dążyć... Lecz one urodziły się nie w swoim czasie i przeznaczeniem ich stał się pęd do ognia. Może to nawet dobrze - przynajmniej do czegoś dążą...

- Mówił pan o ludziach - wtrącił znowu Listonosz. Profesor przeprosił raz jeszcze i zaczął mówić o ludziach.

Wprawdzie w ludzkich sprawach orientował się gorzej niż w owadziach, coś niecoś jednak o nich wiedział - z własnych obserwacji, z książek, a zwłaszcza z historii. Historia pamięta młodzieńca, który witał okręty u wybrzeży, ciesząc się ich szczęśliwym powrotem i szczerze rozpaczając, gdy przytrafiło im się nieszczęście. Nie były to jego okręty, wiozły cudzy ładunek i nikogo nie obchodziła ta radość lub rozpacz, on jednak wciąż przesiadywał na brzegu witając okręty. Później go wyleczono, stał się normalnym człowiekiem. Przestały go interesować sprawy innych, wyraźnie rozróżniał swoje i cudze radości i klęski... Z czego został wyleczony? Z wielkości patologicznej czy też autentycznej? Zdarzyło się to w czasach starożytnych, kiedy medycyna nie była jeszcze na tyle wszechstronna, by postawić trafną diagnozę.

17

Wieczność mijała szybko, nawet nie zdążyli się obejrzeć, gdy upłynęło siedem tysiącleci. Zostało im tylko trzy tysiące lat, czyli pięćdziesiąt zgodnie z poprzednią rachubą czasu lub pięćdziesiąt godzin - zgodnie z pierwotną.

Czas kurczył się, ścieśniał coraz bardziej, nie można było wyprostować się, ani postąpić kroku. Normalnie nie zauważamy, nie liczymy, ile go upływa, dlatego lżej nam oddychać. Ale gdy staje się natrętnie dostrzegalny, ubywa go coraz więcej i robi się tak ciasno, że tylko siedzieć w kucki albo leżeć na podłodze, wówczas i my chcielibyśmy zmaleć, stać się motylem, by jeszcze choć trochę pofruwać.

Człowiek jednak nie może być motylem, potrzebuje prawdziwej nieograniczonej swobody w czasie i przestrzeni i umiera, gdy czas jego się kończy.

Studentka przestała streszczać wykład, nie nadała już za słowami Profesora. A on spieszył się, aby dokończyć program, ponieważ zbliżał się egzamin.

- Na jednego człowieka przypada około trzydziestu milionów owadów, o ich ogólny ciężar przekracza niemal dziesięciokrotnie ciężar całej ludzkości. Ludzie stanowią mniejszość, dlatego tak zaszczytnie jest być człowiekiem.

Tyka zegar odmierząc minuty, dni i wieki. Wskazówka minutowa zamiast minut wskazuje lata i cała jej droga jest wielkim świętem noworocznym. Od nowego roku do nowego roku. Nie istnieje żaden stary rok, wszystkie są młodziutkie, wiekiem równe minucie. Do siego roku! Do siego roku! Ledwie można zdążyć z życzeniami, ponieważ z niczym więcej się nie zdąży...

Tyka zegar... Tyka zegar...

Dlaczego tyka tak głośno?

Potężne uderzenia, od których trzęsie się dom. Jak gdyby ostatek czasu walił w drzwi, żądając, by go stąd wypuszczono... Czuje, że tu, w tym domu, wkrótce nadejdzie jego kres, więc się wyrывa pragnąc stopić się ze swą wiecznością...

Cykają minuty, tyka zegar, grzmia stulecia i łomoce wieczność...

Raptem łomot milknie. Na dole skrzypnęły drzwi, w nagle zapadłej ciszy rozległ się głos Listonosza.

I ten sam głos, który oznajmiał adresatowi: „Gazeta dla pana”, „List dla pani”, ten sam głos powiedział:

- To ja wykończyłem waszego oficera.

Niewyraźna odpowiedź kogoś, do kogo adresowane były te słowa. Oddalające się kroki, i znowu cisza. Uspokojony zegar cyka ledwie dosłyszalnie.

18

Nie były to jego okręty, czemuż więc dla nich poświęcił życie? Co innego - siedzieć na brzegu i przeżywać radość lub smutek, a zupełnie co innego - rzucić się w odmęt na pewną śmierć... Lecieć jak ćma do ognia, nie doczekawszy dnia... Czy nie rozsądniej cierpliwie doczekać świtu, zamiast w ciemnościach lecieć do ognia?

- Biedny chłopiec - powiedziała Ekspedientka - nie rozumiem, jakim sposobem mógł utopić dorosłego mężczyznę.

- Chłopcy w tym wieku zawsze marzą o bohaterskich czynach - spokojnie wyjaśnił Agent.

- Ach, ci mężczyźni - zupełne dzieci - pomyślała Fryzjerka. - Skąd się w nich bierze ten pociąg do wielkich słów? Utopienie człowieka nazywają bohaterstwem. -Wzruszyła ramionami, lecz głośno nie wyraziła swego zdania. To są męskie sprawy i niech mężczyźni się o nich wypowiadają.

„W tym wieku” - powiedział Agent i oto znów powracała świadomość własnych lat, wznosząc między nimi bariery wieku...

- A przecież milczał - potrząsnęła głową Starsza Pani - o wszystkim mówił, a to przemilczał...

- Moje dzieci są takie same - powiedziała Ekspedientka. - Jak coś zbroją, nic o tym nie mówią. Można z nich duszę wyrwać - nie pisną ani słowa.

- Mógłby się przyznać wcześniej - zauważyła Fryzjerka.

- To nie takie proste - odparła Studentka. - Trzeba się zdobyć na odwagę, zwłaszcza idąc na pewną śmierć. Mógłby w ogóle się nie przyznawać, nikt by go nie podejrzewał. Ale postąpił jak człowiek mężny. Dwukrotnie tak postąpił.

- A kiedy jeszcze? - zapytał Agent.

- Kiedy utopił tego oficera.

- No wie pani, jeśli to będziemy nazywać męstwem... - Fryzjerka nie dokończyła zdania, połapawszy się, że w ogóle nie należało go zaczynać.

- Utopił oficera! - rozległ się głos Profesora. - Skąd ten pomysł, że on to zrobił? Kto wam powiedział?

Agent odwrócił się do okna:

- O ile wiem, sam się do tego przyznał.

- Wobec tego skłamał. Przez cały czas byłem blisko niego, pluskał się tuż przy brzegu, uczył się pływać.

- On nie umiał pływać? - zdziwiła się Fryzjerka. - Jakże więc mógł kogoś utopić, skoro sam nie umiał pływać?

19

- Zabiją go - powiedziała Studentka, i rozplakała się.

- I tak by go zabili - nie bez racji zauważył Agent. - Jeśli ma zginąć siedem osób, czy nie lepiej, by zginęła jedna? Prosty rachunek.

- Nie taki prosty dla tego, kto umiera - powiedziała Starsza Pani.

- To zbyt subiektywne podejście - odparł Agent - a w tym przypadku trzeba rozumować obiektywnie.

Starsza Pani spytała, czemu więc on w imię obiektywizmu nie wziął winy na siebie? Wszakże i wtedy rachunek byłby ten sam - jeden zamiast siedmiu. Odpowiedział lodowatym tonem:

- Dlaczego właśnie ja? Wydaje mi się, że właśnie w pani wieku ocenia się pewne fakty z większym obiektywizmem.

Miał prawo tak mówić, albowiem teraz, gdy miarą ich wieku były lata przeżyte, nie

zaś te, które ich jeszcze czekały, przestali być rówieśnikami i on znów był młody, a ona stara, Nawet nie odwrócił się podczas tej rozmowy. Dalej patrzył w okno.

- I gazet dziś nie było... i na pewno już teraz nie będzie...

Starsza Pani wyszła na schody, jak gdyby chciała popatrzeć za odchodzącym Listonoszem. Często żegnała w ten sposób swoich synów.

- Drzwi są otwarte - oznajmiła wracając.

- Zdjęli wartownika - rzucił Agent patrząc w okno.

- Czy to znaczy, że jesteśmy wolni? - upewniła się Fryzjerka.

Wszyscy byli wolni, lecz nikt nie ruszał się z miejsca. Okręty szczęśliwie przybiły do brzegu, nikt jednak nie spieszył się z wyjściem na ląd.

20

- Dlaczego on to zrobił? - dziwiła się Fryzjerka. Nie mieściło jej się w głowie, czemu Listonosz wziął winę na siebie, czemu świadomie skłamał.

- Żeby nas uratować - powiedziała Studentka.

- Nas? Przecież znaliśmy się tak mało.

- To wy go nie znaliście, ja znałam go bardzo dobrze. Kochałam go jak syna. Jak wnuka. Zawsze, gdy byłam w złym nastroju, przynosił mi list... - Starsza Pani rozejrzała się bezradnie szukając listu, gdyż właśnie teraz czuła się bardzo przygnębiona.

- Dla nas też nie był obojętny - odezwała się Ekspedientka. - Darzyłam go wielką sympatią. Studentka spojrzała na nią ironicznie.

- To wystarczy, by oddać za panią życie?

- Dlaczego za mnie, moja droga? Chyba raczej za panią, pani mu bardziej odpowiada wiekiem.

Fryzjerka też lubiła Listonosza, choć niestety mało się znali. Gazet nie czytała, listów do niej nikt nie pisywał. i nigdy by jej w głowie nie powstało, że on, dla którego nie była nawet adresatka...

- Poczty dziś nie będzie - powiedział Agent, i ujrzał w rękach Starszej Pani list. Jednak otrzymała list. Z opóźnieniem, ale otrzymała. Jakże była wdzięczna temu chłopcu, że w takiej chwili pamiętał o liście do niej. Podeszła do kredensu, żeby poprawić serwetkę, i pod nią spostrzegła list. Było to jak powrót młodości.

- Co do nas piszą? - zainteresował się Agent.

- Koperta jest bez adresu.

- To znaczy, że list przeznaczony jest dla nas wszystkich. Pozwoli pani, ja przeczytam.

- Nie - zaprotestowała Studentka. - Nie przeczyta pan. Każdy, tylko nie pan.

Czytała powoli, jak niegdyś w szkole podstawowej, ponieważ nagle coś się stało z jej wzrokiem i również z głosem. Czytała:

ŻYJCIE JAK NAJDŁUŻEJ. GDY POCZUJECIE, ŻE ZOSTAŁO WAM NIEWIELE LAT, UZNAJCIE DZIEŃ LUB GODZINĘ ZA ROK I ZNÓW UJRZYCIE PRZED SOBĄ WIECZNOŚĆ. TAK ZAPEWNE CZYNIĄ MOTYLE, KTÓRE ŻYJĄ ZALEDWIE JEDEN DZIEŃ. KAŻDA ISTOTA ŻYJĄCA PRZEŻYWA WIECZNOŚĆ, TYLKO MA ONA RÓŻNY WYMIAR. MOJA WIECZNOŚĆ DOBIEGA KRESU, A WASZA NIECH JAK NAJDŁUŻEJ SIĘ NIE KOŃCZY. PRZEPRASZAM, ŻE NIE MOGŁEM DOSTARCZYĆ WAM TEGO LISTU JAK PRZYSTOI LISTONOSZOWI.

21

- Ten sam charakter pisma - powiedziała Starsza Pani. - A więc to on pisał listy, przedłużając mi życie.

- Przedłużając nam wszystkim - dodała Studentka.

- I teraz znów nam je przedłużył - powiedziała Ekspedientka.

- To prawda - przyznała Fryzjerka - gdyby nie on, zostałyby nam tylko dwie doby.

Agent spojrział na zegarek, który znów wskazywał godziny, a nie jak przedtem lata i stulecia.

- Wynalazca wieczności - rzekł.

I oto dla wszystkich stało się jasne, że to on, Listonosz, odkrył dla nich wieczność.

Profesor uważał to za prawdziwie wielkie odkrycie. Na uwagę Agenta, iż wieczność istnieje obiektywnie i niezależnie od nas, odparł, że niekiedy trzeba ją wynaleźć na nowo, aby ją dać człowiekowi.

22

- Niechaj ten, kto żyje, korzysta z życia - powiedział Agent.

- To prawda - westchnęła Ekspedientka. Niełatwa to była prawda, lecz nie dało się przed nią uciec. Pewnie, że szkoda tego chłopca, ale przecież ich wspólne życie, jej i Agenta, dopiero się zaczęło.

Przysunęła się do niego, lecz on nie odpowiedział na ten gest - różnica lat murem stała między nimi. Teraz już wszystkich dzieliła bariera wieku.

Nie tylko zresztą wieku. On miał własną rodzinę, ona -również. Ona miała swój sklep, on - firmę handlową. Wszystko, co ich dawniej zbliżało, teraz przysnęło, wyfrunęło jak motyl przez otwarte drzwi, za którymi leżały ich różne drogi życiowe...

Każde miało własną drogę.

Czy własną?

Życie, które czekało na nich za drzwiami, stało się obce przez ten miesiąc - przez te wieki i tysiąclecia. Wszystko, co tu zyskali, co dała im wieczność - bodaj niewielka, bodaj motyla, ale jednak wieczność - zostanie im bezpowrotnie odebrane. Profesor nie skończy swojej monografii o życiu motyli w warunkach zamkniętego pomieszczenia. Ekspedientka nie zazna dreszczu miłości, Starsza Pani wróci w swoją starość, a Fryzjerka do damskiego salonu całkowicie pozbawionego kontaktu z salonem męskim. Wiersze, które z pamięci przepisywała Studentka, będą na próżno wołać o miłość, a sterta pieluszek przeleży bezużytecznie...

Ekspedientka uświadomiła to sobie i odsunęła się od Agent. Obcość wkradła się pomiędzy ludzi znajdujących się w tym pokoju, jak gdyby pod jednym dachem nie przeżyli wieczności, bliski był im tylko tamten, który odszedł, który stworzył i zburzył ich malutki motyli świat.

Był im bliski, aczkolwiek odszedł najdalej - tak daleko, że na powrót nie wystarczy wieczności.

Studentka podniosła się.

- Dosyć mam pańskiej entomologii! On w tej chwili umiera, aby nam wolno było jeszcze trochę popętać, pofruwać!

Cisnęła swoje staranne streszczenie - akurat nie w stronę Profesora, który miał bezpośredni związek z entomologią, lecz w stronę Agent, który nie miał z nią nic wspólnego.

- Studenckie bunty - powiedział Agent. - Nie szkodzi, takie bunty z wiekiem przechodzą.

Studentka była już przy drzwiach:

- Bądźcie szczęśliwi. Przyjemnej wieczności. Ja nie chcę, żeby za mnie umierali inni.

- Nie za panią jedną - powiedziała Ekspedientka, Agent zaś uzasadnił tę myśl w sposób bardziej naukowy:

- Człowiek umiera za kolektyw. To jest normalne. Nienormalne zaś - kiedy kolektyw ginie za jednego człowieka.

Starsza Pani omal nie skoczyła na niego z pięściami.

- On to uważa za normalne! Umiera za niego człowiek, a on uważa, że to normalne!

- Nie za mnie - cierpliwie wyjaśniał Agent. - On umiera za kolektyw, a każdy jest

częstką kolektywu.

- Nie jestem częstką, jestem człowiekiem i mam prawo umrzeć sama za siebie, jak winien umierać człowiek.

- Przecież to nie pani... - zająknęła się Fryzjerka, ale Studentka przerwała jej:

- A właśnie że ja! Żałuję, że wcześniej się nie przyznałam - to właśnie ja utopiłam przedstawiciela władz okupacyjnych.

Podobna było do Starszej Pani z lat jej młodości. Tak samo nieugięta, tak samo zdecydowana iść na całego nie myśląc o konsekwencjach. Starsza Pani jednak dawno już przywykła liczyć się z konsekwencjami, a w obecnej chwili łatwo je mogła sobie wyobrazić. Kiedy więc Studentka zerwała się do wyjścia, Starszej Pani wydało się, że to odchodzi jej młodość, odchodzi, by nigdy już nie powrócić.

- To niemożliwe - odezwała się Fryzjerka. - Widziałam, jak pani pluskała się w wodzie - ostrożnie, żeby nie zniszczyć fryzury. Cały czas przyglądałam się pani, w pobliżu nie było żadnego oficera.

- A jednak zrobiłam to. Profesor pokręcił głową:

- To do pani niepodobne. Nie wierzę, by taka dobra dziewczyna była zdolna zabić człowieka.

- Mało mnie pan zna.

Profesor uśmiechnął się. Jak to - mało ją zna, skoro wysłuchała cyklu jego wykładów? Każdy człowiek ma inny sposób słuchania, toteż gdy chcesz kogoś poznać, uczyn go swoim słuchaczem.

- Po wyjściu z wody miała pani zupełnie suche włosy -twierdziła Fryzjerka. - Jak można utopić człowieka nie zamoczywszy nawet włosów?

Ale dziewczyna uparcie obstawała przy swoim - zupełnie jak Starsza Pani w dniach swej młodości, dlatego właśnie ona od razu to pojęła.

23

Agent, pragnąc wnieść w tę burzę emocji nieco zdrowego rozsądku, odezwał się:

- Zapewne miała pani powód, by go utopić? Może ubliżył pani, obraził jej godność?

Niczym wykładowca w czasie egzaminu, podsuwał jej właściwe odpowiedzi. Mimo wyraźnej wrogości, jaką mu okazywała, pragnął jej pomóc.

Studentka przyznała, że oficer istotnie obraził jej godność. Nie miał nic przeciwko niej samej, nie widział jej nawet. A mimo to obraził jej godność.

- Jakim sposobem? - nie mógł zrozumieć Agent. Zdrowy rozsądek ulotnił się i znowu

wszystko zaczęło

się gmatwać. Jak można obrazić godność dziewczyny nie widząc jej i w ogóle nawet nie wiedząc o jej istnieniu?

Profesor powiedział, że już sam fakt okupacji obraża godność każdego człowieka. Oczywiście, nie w takim stopniu...

- A więc zrobiła to pani ze względów politycznych? - domyśliła się Fryzjerka. Miała obojętny stosunek do polityki, podobnie jak do okupantów - wszyscy oni strzygli się nie u niej, lecz w sąsiednim salonie.

- Bez względu na racje, jakie mną powodowały, sama poniosę odpowiedzialność za mój czyn. - Studentka zdecydowanie ruszyła do wyjścia. Starsza Pani jednak znalazła się tam przed nią i zagroziła drzwi własnym ciałem.

- Zostanie pani tutaj!

- A to dlaczego?

- Dlatego, że to nie pani utopiła oficera.

- Skąd pani wie?

Starsza Pani uśmiechnęła się do swej przywróconej młodości.

- Wiem. Ponieważ to ja go utopiłam.

24

- Pani?! Proszę mnie nie rozśmieszać - przy pani reumatyzmie, zapaleniu korzonków nerwowych, kurczach... - Ekspedientka wyliczała wszystkie choroby, na które często uskarżała się Starsza Pani i z których każda była mocnym argumentem, powalającym cierpiącą, jak tylko może powalić choroba.

- Cóż to zapalenie korzonków? - broniła się Starsza Pani. - Trzeba było tylko zebrać siły...

Agent popatrzył na nią krytycznie.

- W pani wieku to nie takie proste.

Był młody i nie bawił się w delikatność, mówiąc o cudzym wieku. Ale Starsza Pani już nie ukrywała swoich lat, przeciwnie - nawet się nimi szczyciła. Dawały jej prawo wyjść jako pierwszej, zatrzymać tę młodość, poświęcając dla niej swoją starość. W ten sposób znów stawała się młoda.

Studentka objęła Starszą Panią.

- No, proszę... Proszę tam nie iść... i tak nikt pani nie uwierzy.

- Mnie? Niech tylko spróbują! Proszę mnie puścić. Przekonam ich, mam dowody...

- Jakie dowody?

- Nie słyszeliście? Powiem, że mi ubliżył... że obraził moją godność...

Śmiało może tak powiedzieć! Starsza Pani też ma godność, którą można obrazić.

- Kobiety! - zawołał Profesor. - Dlaczego bierzecie na siebie sprawy nie należące do kobiet? Czy oprócz was nie było tam mężczyzn? Czy któryś z nich nie mógł utopić oficera?

- Kogo pan ma na myśli? - oschłym tonem zapytał Agent.

Zapadło milczenie, z początku niezręczne i bezradne, później jednak stawało się coraz głębsze, coraz bardziej wymowne i zdeterminowane. Przerwał je głos Profesora:

- Mam na myśli siebie.

25

W chwili niebezpieczeństwa chrząszcz pokątnik złowieszczy staje na głowie i zaczyna chrobotać ostrzegawczo. Inne chrząszcze uciekają, on jednak zwleka, musi ostrzec wszystkich, którzy są zagrożeni. Staje więc na głowie i chrobocze...

- Co, nie wyglądam na to? Oderwany od życia naukowiec, mól książkowy, a tu nagle taka partyzantka. Tymczasem... - Profesor mówił szybko, inaczej niż na wykładach, jak gdyby w obawie, że lada chwila rozlegnie się dzwonek. - Od razu go zauważyłem. Gdy się rozebrał i wszedł do wody, popłynąłem za nim... Za młodu byłem nie najgorszym pływakiem, zresztą i teraz jeszcze... Słowem, postanowiłem go utopić...

- Ze względów politycznych? - znów domyślnie spytała Fryzjerka.

- Tak. i z państwowych. Co pani woli. Jak tylko go zobaczyłem, postanowiłem to zrobić. Wykorzystać owe niewykorzystane możliwości, o których mówił mój przyjaciel Psychiatra. Mimo że zajmuję się owadami, to jednak w człowieku tego nie lubię. Źle, jeśli człowiek staje się obiektem entomologii.

Wypiękniał nagle, nawet broda przestała go szpeci, co natychmiast spostrzegła Fryzjerka. Mówił jak natchniony. W oczach jego migotał odblask owego ognia, do którego leciał w tej chwili jak ćma. Tylko że ona nie wie, dokąd leci, a on wiedział.

Mówił o jakimś oddziale partyzanckim, z którym był związany i skąd otrzymał rozkaz zlikwidowania przedstawiciela władz okupacyjnych, nie tylko tego zresztą, lecz i wszystkich pozostałych.

- Wszystkich? - wykrzyknęła Fryzjerka.

- No, może nie wszystkich. Ja też nie działałem sam... Był nas cały oddział... Ale nie o tym teraz mowa. Wszedłem do wody z konkretnym zadaniem...

Spieszył się w obawie, że gdy przerwie na chwilę, cała ta opowiadka pęknie jak bańka

mydlana, więc skwapliwie ją nadmuchiwał, malując wszystkimi kolorami tęczy.

- Profesorze, kochany Profesorze! - zawołała Studentka. - Jak pięknie pan mówi, to pański najlepszy wykład i Pan jest prawdziwym rycerzem, Profesorze!

- Prawdziwym mężczyzną - dodała Ekspedientka.

Tym samym jak gdyby wyróżniła Profesora, dając do zrozumienia, że spośród dwu obecnych w tym pokoju mężczyzn Agent nie zasługuje na to miano.

Dotknęły go te słowa. Szacunek nawet obojętnej mężczyźnie kobiety bynajmniej nie jest mu obojętny.

- Bzdura! - skwitował. - Ja jeden wiem, jak to było. Stało się to w moich oczach.

26

Tak, wszystko to stało się w jego oczach, ponieważ znajdował się najbliżej oficera. Nie Studentka, nie Starsza Pani, nie Profesor, lecz właśnie on, Agent.

Oficera po prostu złapał kurcz. Agent widział, jak jego twarz wykrzywiła się z bólu, jak otworzył usta, by zawołać o pomoc, lecz nie zdążył - zalała go fala. Jeszcze kilka razy wypływał na powierzchnię, błagalnie wytrzeszczając oczy na Agentą, ten jednak wołał trzymać się z daleka, by w razie czego uniknąć podejrzeń. Odpłynął nawet jeszcze dalej i napotkawszy po drodze Fryzjerkę, zaczął z nią rozmawiać, aby wszyscy widzieli, iż wspólnie zażywają kąpieli.

- Prościej byłoby go uratować - zauważyła Ekspedientka.

- Uratować wroga? - wykrzyknęła Studentka. - W tym samym czasie, gdy nasi przyjaciele biją wroga, my mamy go ratować?...

- Nie o to chodzi - spokojnie wyjaśnił Agent. - Oczywiście, mógłbym go uratować, gdybym miał pewność, że mi się to uda... W przeciwnym razie oskarżono by mnie o morderstwo.

- Dlaczego nie powiedział im pan od razu, że oficer sam utonął?

Profesor - i taki naiwny. Przecież gdyby im powiedział, pociągnięto by go do odpowiedzialności za nieudzielenie pomocy. Oficer padł ofiarą podejrzliwości i nieufności okupantów do obywateli okupowanego kraju.

- Jest pan zwyczajnym łajdakiem - powiedziała Ekspedientka. - Mój Boże, jakże ja mogłam kochać takiego łajdaka!

Zwykle tak bywa, gdy emocje biorą górę nad zdrowym rozsądkiem. Logicznie biorąc, postępek Agentą był bez zarzutu, a jeśli czynimy coś zgodnie z logiką, tym samym i dalsze zarzuty stają się bezpodstawne i nedorzeczne.

- Pójdę - zdecydowała Starsza Pani. - Proszę się nie bać, nie wydam pana, powiem, że sama widziałam, jak utonął.

Może jeszcze uda się ocalić Listonosza. Pisał do niej listy, przedłużał jej życie... Jej starość nie jest już nikomu potrzebna, natomiast jego młodość może się przydać jeszcze wielu ludziom.

- Pójdę z panią - oświadczył Profesor. - Zawsze lepiej, gdy jest dwóch świadków, a nie jeden.

- Ja też pójdę - odezwała się Studentka. Fryzjerka wahała się - iść czy nie iść? Poszłaby, lecz przecież nic nie widziała... Mogliby ją oskarżyć o fałszywe świadectwo, tym bardziej że zupełnie nie potrafi kłamać.

- Możecie przyprowadzić choćby stu świadków - i tak nikt wam nie uwierzy - stwierdził Agent. - Honor żołnierski wymaga, by oficer ginął z ręki wroga, a nie jak zmokła kura tonął w morzu. Wziąłem to również pod uwagę... Tak, tak od początku rozważyłem wszystkie okoliczności i dlatego milczałem.

- Jakież z pana łajdak !

Agent pozostawił uwagę Ekspedientki bez komentarza.

- Proszę, rozważmy wszystko logicznie: chłopiec pragnie umrzeć jak bohater, a wy chcecie, by umarł jak zwyczajny kłamca. Żywego i tak nie wypuszczą - choćby za to, że oszukał władze okupacyjne. Po cóż więc odbierać mu to, o czym marzył. Bądźcie wyrozumiali dla niego, pozwólcie mu umrzeć jak bohaterowi!

27

Niedawno jeszcze mieszkali w tym domu, zamknięci na cztery spusty, odgradzeni od wszystkich problemów, a zwłaszcza od konieczności podejmowania decyzji. Mieli swą małą motylą wieczność i choć sufit nad ich głową był niższy, pewniejszy jednak od nieba - cały ich malutki świat, aczkolwiek mniejszy niż tamten wielki, był znacznie pewniejszy i lepiej urządzony.

Ograniczenie czasu i przestrzeni - to jeszcze nie najgorsze. Mimo że otacza nas bezkres wszechświata, nieskończoność czasu, mamy jednak własne miejsce, własny malutki wymiar, który pozwala nam czuć się wielkimi. We wszechświecie to niemożliwe - to wymaga ciasnoty: ciasnoty Ziemi, ciasnoty miasta i mieszkania. Wszyscy jesteśmy wielcy, różnica zależy tylko od stopnia ciasnoty - jedni są wielcy w skali całej Ziemi, inni w skali swego mieszkania, i każdy ma własną wieczność: jedni wielką, drudzy małą.

Stali u progu swej małej wieczności i patrzyli w tamtą - ogromną, której nie można

okiełznać ani oswoić, która jako nieskrępowany żywioł kocha odważnych pływaków skaczących w jej głębie i nie baczących na wskazówki zegara. Przyzwyczailiśmy się do godzin i minut, do miesięcy i lat, ale musimy je porzucić, ponieważ wszyscy jesteśmy pływakami w oceanie Wieczności, i nie tylko rzuconymi na łaskę fal, my sami obieramy własną drogę i z naszych krótkich godzin i lat tworzymy Wieczność...

W taką to Wieczność odszedł Listonosz, jej Wynalazca, i stało się jasne, że wynalazł on tamtą Ogromną Wieczność, a nie tę motylą. Jakkolwiek i przed nim istniała, wynalazł ją na nowo. Albowiem Ogromną Wieczność trzeba wciąż na nowo odkrywać, aby nie zamieniała się w ślepy, bezmyślny żywioł.

A tak łatwo zamienić Wieczność w bezmyślny żywioł! Wystarczy tylko kurczowo trzymać się wskazówek zegara.

Profesor zrobił krok ku otwartej na oścież Wieczności. Agent zatrzymał się, puszczając przodem kobiety - był mimo wszystko człowiekiem dobrze wychowanym.

Olga Łarionowa
W tym samym miejscu

Ciężka atmosfera oczekiwania panowała w całym ogromnym budynku laboratorium TCP. Pięć minut stał Arsen pod zamkniętymi drzwiami, za którymi Swietka wywoływała film. Spoza drzwi nie docierały żadne dźwięki. Arsen postać jeszcze chwilę i powlókł się do kancelarii. „Weźmie pan pakiet dla Sajkina” - powiedziano mu tam. Automatycznie wsunął pakiet za połą fartucha i skierował się do hali transformatorów, gdzie Sajkin lubił wpadać, żeby się rozgrzać.

- Pawlik - powiedział - jest do ciebie przesyłka z Moskwy.

Sajkin wyciągnął rękę - masywna dłoń wyczekująco zawisała w powietrzu.

- Pawlik - konfidencjonalnym tonem zapytał Arsen - czy ty wiesz, jak skaczą żaby?

- No - no! - dłoń Pawlika zaczęła zaciskać się w pięść.

- Dużo nie żądam - szybko powiedział Arsen. - Oddasz mi cztery godziny maszynowego czasu.

- Jutro w nocy - powiedział Sajkin. - Od drugiej do szóstej. Dawaj ten pakiet.

Arsen popatrzył na niego z troską.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał ze współczuciem. - Dlaczego dogadaliśmy się tak szybko?

- Dlatego, że to jest od geologów - powiedział Sajkin. - i dlatego, że w ciągu najbliższych dni nie będę miał głowy do obliczeń, i ty też...

Z trudem rozerwał złożoną z kilku warstw kopertę. Wypadł z niej arkusik z jakimś przedziwnym diagramem. Arsen pochwycił arkusik, zajrzał doń i gwizdnął.

- Poczekaj - powiedział Sajkin. - Będziemy patrzeć po kolei.

- Co - po kolei? - sprzeciwił się Arsen. - Protozoik nas nie interesuje. Archeozoik - tym bardziej, i paleozoik nam nie jest potrzebny. Prawdę mówiąc, cały mezozoik - również. Aż śmiesznie mało nam potrzeba...

- Bez paniki - powiedział Sajkin. - Mezozoik - to już jest interesujące. Jeszcze pięć, sześć lat i zaczniemy poważnie mówić o mezozoiku. Spójrz tylko, jaki jest dobry... Nieomal poziom morza. Jakichś dziesięć metrów! Jura jest najniższa... A potem wali do góry, choćbyś się miał wściec! W paleocenie mamy już sto metrów.

- Ze złego końca patrzysz - ponuro stwierdził Arsen. - Paleocen - to niemal pięćdziesiąt milionów lat temu. Po co nam to? Bierz dwa miliony lat wstecz, dzisiaj interesuje nas wyłącznie to. Co nam piszą na ten temat mężowie ze stolicy? Że dwa miliony lat temu na tym samym miejscu - postu kał obcasem o cementową posadzkę - poziom powierzchni ziemskiej znajdował się nawet odrobinę wyżej niż w tej chwili.

- Miejscowy wydział geologiczno-badawczy zaręczał nam, że poziom ten był identycznie taki sam.

- Miejscowy - powiedział Arsen - zaręczał. No więc zaręczał. Gdyby cię urządziły jego gwarancje, nie pytałbyś Moskwy.

- O dwadzieścia metrów wyżej, niż obecnie... - Sajkin pokręcił tylko głową. - To naprawdę szczęście, żeśmy wypchnęli maszynę na trzydzieści metrów w górę. Dziesięć metrów mamy w rezerwie.

- Tak - powiedział Arsen - to naprawdę szczęście. Ale należy pokazać ten diagramik Dym-Dymowi. Idziemy?

- Idziemy - zgodził się Sajkin. - I tak nie mamy w tej chwili nic do roboty.

Podniósł się z hałasem i, wsunąwszy kopertę do kieszeni poprzepalanego cyną fartucha, skierował się do drzwi.

Gabinet naczelnika laboratorium mieścił się teraz na piątym piętrze. Biała tuzinkowa tabliczka z odłupanym rożkiem lekko podrygiwała na drzwiach - widać było, że tabliczkę tę niejednokrotnie i nie bez pośpiechu przenoszono z miejsca na miejsce - Dym-Dym lubił lokować się jak można najbliżej miejsca pracy i przenosił się z gabinetu do gabinetu, tracąc przy tym resztki komfortu przeznaczonego dla naczelnika laboratorium.

Na białej tabliczce widniał napis:

Naczelnik laboratorium TCP D. D, Markełow „Laboratorium TCP” rozszyfrowywało się jako „Laboratorium Transczasowych Przemieszczeń” i zajmowało się problemem „maszyny czasu”.

- Można, Dymitrze Dymitryczu? - Arsen ostrożnie uchylił drzwi.

- Nawet trzeba. Wchodźcie obaj.

Pomieszczenie laboratorium wyglądało jak gigantyczne pudło wysokości dziesięć - dwunastopiętrowego domu. Pudło to było całkowicie puste, jeśli nie liczyć spoczywającej na podłodze metalowej kuli, bardzo przypominającej batyskaf starej konstrukcji. Z wewnętrznej strony do jednej ze ścian tego gigantycznego pomieszczenia przylepiły się, zupełnie jak gniazda jaskółcze, kwadratowe balkoniki zamknięte kołpakami z przezroczystego synteriklonu. Na jednym z takich balkoników - na górnym - rozlokował się właśnie w tej chwili naczelnik laboratorium.

- Bierzcie krzesła - ponuro zaproponował Dym-Dym. Taki ton nie wróżył nic pocieszającego. - Zdjęcia gotowe.

Dziś rano przeprowadzono pierwsze próbne uruchomienie maszyny. We wnętrzu batyskafu na wszelki wypadek umieszczono trzy aparaty fotograficzne - po jednym na każdy iluminator - oraz tradycyjnego kundelka. Było to już zrobione ponad program - na pierwszy raz wystarczyłoby udowodnić, że maszyna zdolna jest przebyć w przeszłości przez zaplanowany okres czasu i automatycznie powrócić. Najważniejsze - powrócić.

Pochłonawszy niewiarygodną ilość energii, maszyna zanurzyła się w przeszłość i „wynurzyła się”, jak się przyjęło mówić w laboratorium, w tym samym punkcie przestrzeni, tylko że około dwa miliony lat temu. Trzydzieści sekund maszyna przebyła w głuszy neogenu, po czym została automatycznie stamtąd zawrócona, z tym, że postronnym obserwatorom wydało się, że pomiędzy odlotem a przylociem nie upłynął nawet moment - przecież niezależnie od tego, jak długo maszyna przebyła w przeszłości - czas ten jest niezależny od czasu obecnego i nie da się według niego odczytać.

Kundelek siedział na podłodze i flegmatycznie wylizywał tylną łapę. Ostygła aparatura notująca, która zdążyła wykonać około trzystu zdjęć. Wszystko było zadziwiająco zwyczajne, jako że Dym-Dym szalał słysząc zdanie: „Po raz pierwszy w historii Ziemi...” Zewnętrzna, powierzchnię maszyny starannie oczyszczono, aby przypadkiem nie przenieść we współczesność starożytnych mikrobów. Co prawda, ekipę dezynfekującą zadziwiła idealna czystość metalu. „A wy czegoście oczekiwali? - zapytał wówczas Podymachin, przezwany Niegłównym Teoretykiem. - I tak właśnie być powinno. Maszyna zdolna jest przenosić wyłącznie samą siebie, i ani jednego atomu poza tym. Taki jest jej program.” Zaczęli na niego sykać, jako że nieustannie gderał usiłując udowodnić, że ruch w czasie jest możliwy, ale bezużyteczny, ponieważ maszyna w przeszłości sama dla siebie będzie stanowiła malusieńką wysepkę teraźniejszości, i pomiędzy nią a światem zewnętrznym stanie nieprzenikniony mur - przerwa w czasie. Maszyna będzie niewidoczna i nieodczuwalna dla świata starożytnego, i sama, z kolei, również pozostanie ślepa i głucha, bo nie będzie w stanie przejąć nic z otaczającego ją świata.

Domysły Podymachina nie były takie oczywiste i tchnęły pesymizmem, dlatego też słuchać to go słuchali - interesująco łągał! - ale podśmiewali się z niego i w istocie nie mogli mu nic przeciwstawić - czekali na doświadczenie. Dym-Dym również słuchał - zawsze dawał swoim młodym współpracownikom możliwość wypowiedzenia się do końca - on również z jakiegoś tam powodu nie oponował.

I teraz, na przykład, kiedy ekipa dezynfekująca zameldowała o idealnej czystości powierzchni, Dym-Dym nic nie odpowiedział Niegłównemu Teoretykowi. „Ja też mam swoje zdanie na ten temat - stwierdził tylko. - Ale nie będziemy się odrywali. Poczekamy na zdjęcia.”

Ośmiu współpracowników, którzy byli obecni przy próbnym uruchomieniu, zaczęło w milczeniu snuć się po wszystkich pomieszczeniach laboratorium, czekając na zdjęcia - laboranci fotograficzni przewidując wymówili sobie na to dwie godziny czasu. Męcząca bezwładność oczekiwania przeganiała wszystkich z piętra na piętro; nie można było zauważyć ani cienia świątecznej atmosfery, jaka towarzyszyła zazwyczaj jakimś

niezwyktemu eksperymentowi: wszyscy zatopieni byli w niejasnych przeczuciach i, jak Dym-Dym, mieli na ten temat własne zdanie.

Idąc do naczelnika, Sajkin i Arsen chcieli tylko zabić czas, a tymczasem trzy czarne prostokąty, mieniające się wilgotnym bezwstydnym blaskiem, już leżały przed Dym-Dymem, jako niezbity dowód pierwszego niepowodzenia.

- To? - zapytał Arsen.

Dym-Dym nie odezwał się. i tak było wiadomo, że to jest to.

- Ot, niepowodzenie. - Arsen ze smutkiem pokiwał głową. - Że też musiało się to stać akurat w nocy...

- Jeżeli to rzeczywiście jest noc - bez przekonania przeciągle powiedział Sajkin.

- Mówcie, mówcie - Dym-Dym sięgnął do aparatury interkomu. - Ciekawe będzie wysłuchać wszystkich po kolei.

Nacisnął klawisz „zebranie ogólne”.

Natychmiast zjawilo się w gabinecie jeszcze sześć osób w białych fartuchach.

- Proszę. - Dym-Dym wykonał ręką szeroki gest. - Proszę się wypowiadać.

Podniósł się Sajkin, obciągnął biały fartuch. Wypowiadać się lubił bardzo wyczerpująco, a ponieważ odpowiedzialność za bezpieczne przeprowadzenie eksperymentu spoczywała na nim, uważał, że zaproszenie Dym-Dyma odnosi się w pierwszym rzędzie do niego.

- Właściwie mówiąc - zaczął poważnie - to ja, jako naczelnik sektora bezpieczeństwa, mógłbym się wypowiedzieć od razu po zakończeniu doświadczenia. Jakie zadanie postawił przed maszyną nasz sektor? - Sajkin zawsze mówił o maszynie w taki sposób, jakby to była żywa, obdarzona rozumem istota. - Właściwie mówiąc, postawiliśmy przed nią jedno zadanie: powinna była wrócić cała i nieuszkodzona. Co mogło temu przeszkodzić? Wszystko, absolutnie wszystko. Maszyna odchodzi w przeszłość odległą o dwa miliony lat. Ale pozostaje w tym samym miejscu w stosunku do centrum Ziemi. Co znajdowało się w tym punkcie dwa miliony lat temu? - Sajkin gestem starożytnego oratora wyciągnął rękę, wskazując pod sufit olbrzymiego budynku laboratorium. - Nasze miasteczko akademickie położone jest na wysokości dwustu trzynastu metrów nad poziomem morza. A na jakiej wysokości znajdowały się tu w przeszłości górne warstwy powierzchni ziemskiej? Miejscowi geolodzy zapewniają, że na identycznej. Ale oto rnoskwiczanie uważają, że na nieco wyższej, Gdybyśmy ustawili maszynę na podłodze budynku, to bardzo możliwe, że zanurzwszy się w przeszłości, znalazłaby się pod ziemią. Albo pod wodą - to również jest możliwe, jeżeli w tym miejscu dwa miliony lat temu było jezioro. Dlatego korpus maszyny wykonany został ze stopu kosmicznego o najwyższej trwałości. Poza tym, nasz sektor

zapropował wyniesienie maszyny na dodatkową wysokość trzydziestu metrów i podwieszenie jej pod stropem przy pomocy autonomicznego urządzenia antygravitacyjnego. Zostało to zrobione na wypadek, gdyby w tym miejscu rośło drzewo, wznosiła się skała lub coś innego. Gdyby nie wiązała nas obawa przeniesienia ze starożytności jakichś mikroorganizmów, przetransportowalibyśmy po prostu maszynę na dziedziniec i unieśliśmy ją o dwieście metrów - wówczas pozostawałoby jedynie niebezpieczeństwo natknięcia się na burzę albo na piorun sprzed dwóch milionów lat, aczkolwiek również i przeciwko takiej ewentualności podjęliśmy szereg środków zaradczych. No, właściwie mówiąc, to jest wszystko, co chciałem powiedzieć. Maszyna wróciła, jest cała i nieuszkodzona. Dwa miliony lat temu nie było w tym samym miejscu nic, co by mogło jej przeszkodzić w powrocie. Tak więc uważam, że pierwsza próba przebiegła pomyślnie.

Usiadł. Wszyscy słuchali go zamknięszy oczy: Sajkin przy całej swojej punktualności był wielkim nudziarzem.

- No tak - jakoś z niezadowoleniem zauważył Dym-Dym. - To, że sektor bezpieczeństwa znakomicie wywiązał się ze swego zadania jest tak oczywiste, że proponuję, abyśmy na razie tego tematu więcej nie poruszali. - Sajkin zaczerwienił się: rzeczywiście, wynikało z tego, że przez całe dziesięć minut bezwstydnie wychwalał własny sektor. - Pragnąłbym usłyszeć co innego: co myślicie na temat otrzymanych zdjęć?

Sajkin podniósł się niezgrabnie.

- Właściwie mówiąc... chciałbym poczekać, aż będzie gotowych wszystkich trzysta zdjęć.

- Mamy zaledwie trzy zdjęcia - powiedziała Swietka - aparatura pracowała zupełnie źle. Należy jeszcze porozmawiać na ten temat.

- W swoim czasie - powstrzymał ją Dym-Dym. - No, więc cóż? Kręciły się pomiędzy zerem a nieskończonością, akumulatory same się rozładowały, godnie zachowywał się jedynie przełącznik automatyczny, który powinien był po trzydziestu sekundach zawrócić maszynę z powrotem, i to dlatego, że działał na zasadzie rozpadu radioaktywnego, a nie przy pomocy zwykłego mechanizmu zegarowego. Tak więc, jestem przekonany, że przy takiej kotłowaniu na wewnętrznych ściankach maszyny - i na powierzchni iluminatorów - mogły powstać drobniutkie iskielki, I ot, macie wasze jasne punkciki. A czerń - to ten sam świat przeszłości, którego nie są w stanie zanotować obecne przyrządy.

- Dobrze - powiedział Dym-Dym - bardzo dobrze. Oto jedyny człowiek, który powiedział: jestem przekonany. A reszta? Zwiesili nosy, rozkleili się. Ale dobrałem sobie współpracowników! Czegoście oczekiwali, młodzi ludzie? Błot z epoki mezozoiku, gdzie wylęg dinozaurów będzie wam demonstrować wulgarną walkę o byt i ilustrować dobór

naturalny zgodnie z teorią Darwina? Nie marzcie o tym. Dinozaurów nie będzie - na mezozoik nie starczy nam energii dziesięciu Ajurjupińskich kaskad, Tak. W tej chwili należy uważać pierwszą próbę za pomyślną i przygotowywać się do następnej. Jutro do godziny dwunastej proszę przedstawić mi na piśmie swoje opinie dotyczące niezawodności przyrządów. To wszystko.

- Ale... - zająknął się Wowolur.

- Już powiedziałem: żadnych „ale”. Poleci znowu pies.

I jeszcze jedno: proszę nie paplać przed czasem. Odnosi się to zwłaszcza do dam - proszę wybaczyć moją impertynencję.

W chwilach rozdrażnienia Dym-Dym celowo stawał się ceremonialny i staromodny.

Do domu szli, jak zawsze, razem - Swietka, Sajkin i Arsen. Szli ponurzy, bacznie wpatrując się we wszystkie szczeliny w asfalcie. W końcu Swietka nie wytrzymała:

- Nie wiem, jak reszta, ale ja po tym doświadczeniu czuję się jak idiotka.

Natychmiast zapewnili ją, że pozostali nie' czują się lepiej, z tą jedynie różnicą, że oni widzą się w roli ostatnich durniów.

- Daję słowo, chłopcy - Swietka nie mogła się uspokoić - byłoby lepiej, gdyby maszyna całkowicie odmówiła odchodzenia w przeszłość, albo wróciła cała pokiereszowana, albo nie wróciła w ogóle.

- Hm - powiedzieli chłopcy.

- Wówczas byłoby oczywiste, że eksperyment diabli wzięli. Zaczęto by się zastanawiać, co robić dalej, i niewątpliwie coś by wymyślono. Łatwiej jest, jeżeli coś się zdecydowanie nie uda - bo punkt zerowy już jest punktem nowego startu.

- W emocjach Swietki zawarta jest pewna chłopska prawda - powoli skonstatował Sajkin. - Niewątpliwie wszystkie wielkie odkrycia przechodziły przez etap, kiedy odkrywcy najzupełniej szczerze pragnęli, żeby ich doświadczenie diabli wzięli, a model razem z panami eksperymentatorami rozwalił się w drobny mak.

- Pytanie tylko - wtrącił Arsen, który w tym dniu utracił całą swoją wrodzoną wesołość - z czym mamy do czynienia: z wielkim odkryciem, czy wprost przeciwnie, z wielkim zakryciem?

- No, no - Sajkin zwrócił się do niego całym ciałem - nawet myśleć ci tak nie wolno. Tak, znalazł się drugi Nie główny Teoretyk.

- Znalazł się - przyznał Arsen. - Bo mnie również nie zadowala taki stan rzeczy. Tyle lat pracowaliśmy jak szatany, i przecież nie dla honorów, nie dla pieniędzy, nie po to, żeby „tam ta-tam, ta-ta-ta-ta-tam-tam” i „program dla wszystkich radiostacji Związku Radzieckiego”, przecież mordowaliśmy się wyłącznie po to, żeby ta podła maszyna zadrzała,

potem zniknęła i w tym samym momencie znowu się pojawiła, i oto zaczęła opadać - myją ją i szorują, luk otwiera się szeroko - nurkujemy do wnętrza, a tam już - same prezenty: i przyrządy, i aparaty fotograficzne, które nastroiły po setce zdjęć całkowicie zrozumiałych, i nawet ta nasza Żuczka, i wszystko jest precyzyjne i zrozumiałe, i każda rzecz zawiera w sobie realne odbicie poszukiwanej przeszłości...

- Na talerzyku z błękitną obwódką - podchwycił Sajkin. Jego żarty zawsze sływały ze swojej pierwotnej prymitywności. - A na zdjęciach były trylobity, amonity i troglodyci. Nie, Dym-Dym miał rację: rzeczywiście dobrał sobie współpracowników...

- Nawiasem mówiąc - powiedział Arsen - czy zwróciłeś uwagę, jak on nas wypytywał? Czego się chciał od nas dowiedzieć?

- Bo co? - zdziwił się Sajkin. - Pytał jak zawsze. Mnie osobiście wydało się, że on sam też nie wie, co wyszło na tych zdjęciach.

- Nie tylko tobie się tak wydało - potwierdził Arsen -bo tak jest rzeczywiście. Dym-Dym nie należy do osób, które się bawią w ciuciubabkę z ludźmi, z którymi przepracowali bez mała sześć lat. Gdyby wiedział dokładnie, co to jest, sam by nam wszystko wyjaśnił. Ale on nas pytał. Po co? Żebyśmy, żółtodzioby w dziedzinie nauki, oświecili jego, doktora, naczelnika laboratorium TCP? Śmieszne. Sajkin wyjaśniający doktorowi Markełowowi znaczenie o-trzymanych zdjęć... Piękny obrazek.

- No więc w takim razie po co? - zapytała Swietka.

- Jego interesowało nie to, cośmy mówili, lecz to, w jaki sposób mówiliśmy. Wiecie, dlaczego on trzyma Podymachina, chociaż ten zawsze i wszędzie mu oponuje? Za przekonanie. No i od nas też chciał tego przekonania. Według wszelkiego prawdopodobieństwa sprawy związane z tym TCP są o wiele bardziej skomplikowane, niż podejrzewamy. Dym-Dym sam nawet nie wie, co jest co, za mało ma statystyki, faktów. Ale zrodziły się w nim pewne podejrzenia. Ciężko mu jest, chłopaki. Przecież tej maszynie poświęcił niemalże całe swoje świadome życie, i oto teraz, kiedy zamiast pierwszych radości - taki eksperyment, „tram-ta-ta-tam i wszystkie radiostacje” - stanęliśmy wobec ogromnego nagromadzenia zagadek, to zupełnie naturalne, że on się rozejrzył dokoła: kto z nas, żeby się tak wyrazić, pozostaje wiernym rycerzem maszyny, rycerzem bez skazy i lęku. A rycerze porozklejali się - fotografijki, punkciki, nie ma dinozaurów.

- Też znalazł sobie porównanie - warknął Sajkin - rycerze. Już Mark Twain pokazał, że rycerstwo to przeżytek. A jeżeli teoria jest lipna, kto udowodni, że jest niesłuszne jeżeli wszyscy pozostaną jej wiernymi rycerzami?

- Och, chłopcy - westchnęła Swietka - gdybym widziała, że w fizyce wszystko jest takie nieokreślone, poszło bym na wydział teatralny. A mnie z głupoty pociągnęło do nauk

ściślych. No i gdzież tu jest ta ściśłość? W teatrze chociaż po każdej premierze ludzie zbierają się, napiją się czegoś, cieszą się.

- Będziemy się cieszyć - zaproponował Arsen nieco nienaturalnym tonem. - Pójdziemy do kawiarni.

- Nie, chłopaki - Swietka zrobiła żałosny grymas - ja nie mogę. Dym-Dym prosił, żeby nie paplać, a w kawiarni z pewnością coś palnę. Chodźmy lepiej do mnie.

Ale nie poszli i do Swietki - podreptali chwilę na skrzyżowaniu i doszli do wniosku, że nie są w odpowiednim nastroju. Wszyscy mieli jakieś swoje przypuszczenia, chcieli porozmyślać w samotności.

Przecież żeby się tam nie wiadomo co działo, za tydzień eksperyment musi zostać powtórzony.

Po tygodniu, wbrew oczekiwaniom Dym-Dyma, w jego laboratorium zgromadziło się niezwykle dużo ludzi. Szukać winowajcy tego rozgłosu było za późno, i rozwścieczony Dym-Dym zrobił ostatnią rzecz, którą był w stanie zrobić, mianowicie nie dopuścił na uruchomienie ani jednego dziennikarza.

Liczni goście rozlokowali się w przezroczystych „gniazdach jaskółczych”. Najbardziej ważnych i znakomitych Dym-Dym zaprosił do siebie.

- Wyjaśnię w czasie eksperymentu udzielać nie będę - zapowiedział niezbyt miło. - Potem. Eksperyment jest przeciętny, kontrolny, że tak powiem, jakich nastąpi jeszcze kilkadziesiąt, zanim będziemy mogli dojść do jakichś określonych wniosków. Tak że sensacji proszę się nie spodziewać, chociaż wszystko jest możliwe, włącznie ze zniszczeniem modelu. Rzecz w tym, że wysokość, na jaką zostanie wyniesiona maszyna - wynosi dwieście czterdzieści metrów ponad poziom morza. A to jest granica wahania się powierzchni ziemskiej pod koniec trzeciorzędu. Skały w górnej warstwie są co prawda miękkie, ale jeżeli wyłoniwszy się w roku dwumilionowym przed chwilą obecną, maszyna mimo wszystko znajdzie się pod Ziemią... Nie wiem. Nie będę zgadywał. Lepiej zaczynamy.

Członkowie ekipy dezynfekcyjnej, pełzający po zewnętrznej powłoce maszyny, odskoczyli na boki. Ktoś, kogo nie można było poznać w czarnym kombinezonie z synteriklonu, szybko odłączył kabel, poprzez który już od dwudziestu godzin cała energia Ajurjupińskiej kaskady wlewała się w nienasycone akumulatory maszyny, i oto jej masywny korpus drgnął i płynnie ruszył w górę. Zdumiewająco lekko, niby dziecinny balonik, przepłynęła przed przezroczystą ścianką balkoniku Dym-Dyma, tak że można było dostrzec najróżniejsze przyrządy we wnękach powłoki zewnętrznej.

Maszyna uniosła się w górę ukazując wypolerowany brzuch, i zatrzymała się cztery metry od stropu.

Wszyscy czekali.

Dziesiątki reflektorów pochwyciło wypukłe dno maszyny i trzymało je w tej chwili w nieprzerwanym uchwycie swych promieni.

Sapali znakomici goście z instytutów stołecznych. Prawdopodobnie czekali na jakieś cuda - w końcu tylko bardzo niewielu spośród nich wiedziało, że całe uruchomienie prowadzi do tego, że korpus maszyny lekko drgnie -i koniec. Czas, jaki spędzi w przeszłości, pozostanie przez nich niezauważony. Jest to aksjomat transczasowych przemieszczeń.

Dym-Dym ze swoimi współpracownikami czekał bez takiego napięcia, w każdym razie tak mogło się wydać postronnemu obserwatorowi.

I nagle...

Maszyna zniknęła. Co prawda, w tym samym momencie znowu się pojawiła, ale nie w punkcie, gdzie krzyżowały się promienie reflektorów, lecz nieco niżej i bardziej na lewo. Było to prawie nieprawdopodobne, ponieważ potężne urządzenia antygravitacyjno-żyroskopowe utrzymywały maszynę w ściśle ustalonym punkcie przestrzeni, i trzeba było olbrzymiej siły, aby ją przemieścić.

Wszyscy zgodnie jęknęli.

Ekipa obsługująca reflektory rzuciła się do swego sprzętu, promienie reflektorów zaczęły się miotać pod stropem i wreszcie wyłowiły ciało maszyny.

Jej korpus już nie błyszczał. Minutę przed tym wypolerowany do lustrzanego blasku, w tej chwili był matowy i poorany, z głębokimi szarpanymi ranami w miejscach, gdzie były przymocowane przyrządy.

Maszyna drgnęła. Ten i ów zamknął oczy - wszystkim się wydało, że maszyna runęła w dół, i każdy czekał, a głucho uderzy o wybetonowaną podłogę. Ale nic podobnego się nie stało. Zgodnie z programem, metalowa kula opuściła się powoli, lekko się zakołysała i legła na podłodze.

Ekipa dezynfekcyjna w skafandrach podskoczyła do maszyny. Arsen i Wowolur również rzucili się ku drzwiom.

- Wszyscy pozostają na miejscach! - Dym-Dym zawisł nad mikrofonem. - Usunąć postronnych z komory doświadczalnej!

Dwie, trzy postacie w skafandrach szybko zniknęły z pola widzenia.

- Jak tam pies? - zapytał Dym-Dym już innym tonem. Widać było, jak do iluminatora maszyny podtaczają przekaźnik telewizyjny.

- Mruga - dotarł z głośnika elektrodynamicznego głos Mirry Jefimowny i w tym samym momencie włączył się ekran łączności wewnętrznej.

Długi, terierowaty pysk psiaka wyrażał ostateczne zdumienie. Pies przenosił wzrok z

jednego iluminatora na drugi i rozpaczliwie wytrzeszczał oczy. Można było pomyśleć, że widział co najmniej żywego diplodoka.

Wszyscy wpatrywali się w zdumiony psi pysk i milczeli wyczekująco.

Goście ze stolicy nie bardzo wiedzieli, czy eksperyment zakończył się fiaskiem, czy wprost przeciwnie, znakomicie się udał.

- Ot, właściwie to i wszystko - głośno, do nikogo specjalnie się nie zwracając, powiedział Dym-Dym. - O ile rozumiem, maszyna wynurzyła się pod ziemią. Wysłaliśmy ją o te same dwa miliony lat wstecz, tak jak i poprzednio, kiedy nie wydarzyło się nic takiego, ale nie należy zapominać, że na razie dokładność wyjścia maszyny wynosi prawie trzy procenty, sami więc rozumiecie, ile to wyniesie od dwóch milionów lat. Dlatego nic w tym dziwnego, że za drugim razem maszyna dostała się pod ziemię. Nie mogę powiedzieć, że to przewidziałem, ale przyznaję, że tego pragnąłem. W każdym razie, w tej chwili jestem stanowczo przekonany, że transczasowe przemieszczenia są całkowicie bezpieczne i, jeżeli badania wykażą, że eksperyment w żaden sposób nie odbił się na zdrowiu psa, należy myśleć, że w następny rejs maszyna poleci z człowiekiem. Co prawda, pošlemy go na odległość krańcową - na dziesięć milionów lat, w którym to okresie geolodzy gwarantują nam na tym samym miejscu zaledwie sto siedemdziesiąt metrów ponad poziomem morza. Tak. Radzę więc nie oczekiwać na zdjęcia - będą po prostu czarne. Pod ziemią wiele się nie sfotografuje. A teraz proszę mi wybaczyć...

I nie kończąc ostatniego zdania, Dym-Dym już znalazł się poza obrębem swojego gabinetu, tak że nikt nie miał czasu zadać mu ani jednego pytania. Znając sposób, w jaki ich naczelnik rozmawia z gośćmi, trzech młodych fizyków równie gwałtownie wybiegło na podeściek i dogoniło Dym-Dyma w kabinie windy.

- Dymitrze Dymitryczu - głos Arsena załamywał się z melodramatycznego napięcia - kto?

- Jeden z obecnych - skromnie odparł Dym-Dym. W żaden sposób nie mógł darować swoim współpracownikom dzisiejszej pielgrzymki, chociaż nie wyobrażał sobie, który z nich mógł się wygadać na temat eksperymentu.

Było jasne, że zadawanie dalszych pytań pozbawione jest sensu.

- I niech pan dopilnuje psa, Pawlik, podłapie jeszcze jakąś chorobę i zwałą to na eksperyment.

Pawlik wyraźnie nabrał otuchy.

- A pana, Arsen, proszę, aby pan wpadł do ludzi od aparatury. Wszystko, co było zainstalowane z zewnątrz, oczywiście zginęło. W trzecim uruchomieniu nie powinno być wynurzenia pod ziemią. Proszę się zastanowić, jak najlepiej rozmieścić przyrządy.

Arsen też nabrał otuchy.

- A pan, Wolodia, niech popędzi laborantów fotograficznych, żeby nie zwlekali, zwalając na to, że zdjęcia tak czy owak są czarne i nie ma się do czego śpieszyć.

To było już niedobrze: każdego obdarzono nadzieją. Winda zatrzymała się, wysiedli z niej i w tym momencie zobaczyli Swietkę, która biegła im naprzeciw po korytarzu i coś krzyczała.

- Spokojnie, Kustowska, spokojnie. - Dym-Dym podniósł obie dłonie, jakby odgradzając się od głosu Swletki. - Wszystko prawidłowo, to czerń podziemna, i tak być powinno.

- Ależ nie, Dymitrze Dymitryczu, cały film jest doszczętnie prześwietlony!

Przez kilka sekund Dym-Dym patrzył na nią, potem gwałtownie zwrócił się w stronę Arsena.

- No?... - zapytał w taki sposób, jakby tylko Arsen mógł powiedzieć to najważniejsze, co w tej chwili przesądzało o losie przyszłego eksperymentu.

- Jesteśmy barany - prostodusznie stwierdził Arsen. - Błyskawiczne pojawienie się maszyny w warstwie skorupy ziemskiej równało się wybuchowi - z taką szybkością rozrzuciła warstwy ziemi na wszystkie strony... Rzecz oczywista, że doprowadziło to do rozgrzewania się aż do świecenia...

- Tak, tak - kiwnął głową Dym-Dym - to również jest całkiem prawdopodobne.

Odwrócił się i odszedł, uchwyciwszy się jakiejś swojej myśli, machając ręką na chłopaków, żeby nie szli za nim.

- Szczęściarz! - westchnął Wowolur.

- Kto? On? - zdumiał się Arsen.

- Nie on, tylko ty - ze złością burknął Sajkin. - Nie rozumiesz, dlaczego spośród nas wszystkich on zwrócił się właśnie do ciebie?

Maszyna płynnie szła w górę. Oto zrównała się z balkonikiem Dym-Dyma, a Arsen z jej wnętrza dokładnie widział twarz naczelnika i fizjonomie chłopaków. Dziwne bywają twarze ludzi, którzy z napięciem na coś czekają... Arsen pozwolił sobie na głośne parsknięcie - łączność kabiny z laboratorium już była zerwana.

Arsen wyłączył wewnętrzne oświetlenie. Nie czuł strachu - był przekonany, że maszynie nic nie grozi, nawet jeśli wynurzy się w piekle pożaru czy nawet w gardzieli wulkanu. Ale nic takiego się nie zdarzy. Na wiadomość o tym, że odbywa się eksperyment z człowiekiem, centrum energetyczne zezwoliło laboratorium TCP pobrać całą energię Ajurjupińskiej kaskady za pół miesiąca. Pozwalało to posłać maszynę w przeszłość na dwanaście milionów lat wstecz, kiedy to na tym samym miejscu maksymalna wysokość

wzgórz nie przekraczała stu metrów nad poziomem morza. Pół minuty będzie wisiał nad tą przedhistoryczną równiną...

Maszyna zakończyła swoje wznoszenie się we wnętrzu wąskiego pudła laboratorium. A więc teraz. Teraz. Arsen szybko przysunął się do iluminatora, wczepił się w obszytą skórą okrągłą poręcz.

Teraz.

I wszystko runęło w dół. Nie. Wszystko pozostało na miejscu. Ale on płynął. Płynął w powietrzu. Cóż to jest?

Nieważkość. Elementarna, po prostu ani razu nie doświadczana nieważkość. Nie sposób tylko zrozumieć - dlaczego. A tam?...

Tam, za iluminatorem, była noc. Ale to nie mogła być noc Ziemi. Był to świat ogromnych, masywnych gwiazd. Nie punkcików, ale oślepiająco promieniejących ciał. Czerń, ale nie aksamitna, jak ziemskie niebo o północy, tylko nieprzenikniona niczym warstwy czarnego szkła.

Arsen zwrócił się do innych iluminatorów - i do nich również drapieżnie podkradały się szarawe roje nie dającego się rozróżnić drobiazgu gwiazdowego, tego kosmicznego planktonu; tliły się zupełnie jakby ktoś nieustannie dmuchał na nie i nie pozwalał im zgasnąć, czerwone piątki zimnych gigantów; nie mrugającym, równym światłem gorzały samotne kryształy gwiazd błękitnych, i wszystko to było zdumiewająco obce i nieznośnie jaskrawe nie tylko w porównaniu z niebem Ziemi, ale i z tym tak dobrze znanym już kosmosem okołozemskim, którego zdjęcia wchodzi do arsenału marzeń dzisiejszej dzieciarni, jak niegdyś lody Bieguna Północnego i Antarktyki.

Kosmos?...

Ale na zdumiewanie się nie starczyło trzydziestu automatycznie odliczonych sekund. Maszyna zachwiała się i Arsen boleśnie uderzył się kolanami o podłogę. Światła reflektorów biły prosto w iluminatory; Arsena lekko mdliło, jak po wylądowaniu samolotu.

Maszyna płynnie ruszyła w dół.

Znowu balkonik Dym-Dyma, i ten sam wyraz twarzy, i niepotrzebna ekipa dezynfektorów w niepotrzebnych skafandrach tam, w dole... Arsen nacisnął dźwigenkę -pod nim było prawie dwanaście metrów, podłoga powoli płynęła mu na spotkanie. Z balkonu wszyscy machali -pełni przerażenia, oczywiście. Oni jeszcze nie wiedzą...

Kiedy pozostawało półtora metra, Arsen zeskoczył. Postacie w skafandrach ruszyły ku niemu. Arsen uśmiechnął się, poklepał kogoś po synteriklonowym ramieniu i wszedł do windy. Jakiś przyjezdny o solidnym wyglądzie - widocznie ze stolicy - na jego widok odskoczył w bok. „Głupiec -bez złości pomyślał Arsen - boi się jakiejś starożytnej infekcji. A

ja - z próżni. Z próżni najwyższego gatunku, i to jeszcze z próżni sąsiadującej z absolutnym zerem."

W gabinecie było cicho; wszyscy, poza Dym-Dymem, stali. Arsen zamknął za sobą drzwi i również stał milcząc, a żeby dać Dym-Dymowi czas na to, by go obrugał, że wyszedł bez dezynfekcji. Arsen nie miał ochoty nic mówić - przecież jednym słowem będzie musiał zburzyć to wszystko, co Dym-Dym budował już od lat piętnastu - najpierw w teorii, potem w praktyce.

- Niech pan siada - powiedział Dym-Dym.

Arsen usiadł posłusznie na brzeżku krzesła. Wszyscy dokoła stali jak poprzednio.

- Więc jednak kosmos - powiedział Dym-Dym. - I obce gwiazdy, tak?

- Tak - odparł Arsen. - Nic, co by przypominało nasze niebo.

Nikt jeszcze nic nie rozumiał.

- Należy uznać, że to jest - koniec. - Dym-Dym podniósł się i podszedł do przezroczystej ściany gabinetu. W dole, w samym środku hali doświadczalnej, sieroca polśniewała samotna kula. - Myślę, że byliśmy obecni przy pierwszym i ostatnim locie człowieka w przeszłość. Powtarzanie eksperymentu z udziałem człowieka uważam za bezsensowne w zestawieniu z niebezpieczeństwem, na jakie jest on narażony w nie znanym nam punkcie przestrzeni kosmicznej. Jeżeli ktoś ma pytania - proszę.

- Pytania istotnie są - odezwał się basem Inwarjandzi, jeden z najwybitniejszych paleontologów kraju. - Nie będę się wstydził przyznać, że na razie nie zrozumiałem nic a nic. Dlaczego nasza maszyna wyłoniła się w przeszłości nie na tym samym miejscu, ale w jakimś odległym zakątku kosmosu?

Dym-Dym spojrział na Arsena, obaj się uśmiechnęli. Przypominali dwóch spiskowców, którzy strzegą jakiejś ważnej, ale niewesołej dla nich tajemnicy; a tajemnica ta jest nadzwyczaj prosta, odgadnąć ją może każdy, i oto oni uśmiechają się z ubolewaniem, nie mogąc pojąć, dlaczego nikt tego nie robi.

- Mucha w wagonie - powiedział Arsen. - Tak przywykliśmy do muchy, która lata w pędzącym wagonie i w ten sposób przemieszcza się razem z nim.

- No właśnie - kiwnął głową Dym-Dym. - Ten przykład z szóstej klasy tak mocno zapada w pamięć, że nie wyobrażamy sobie wagonu czy muchy oddzielnie. Związane są w jeden system. Ale wyobraźcie sobie najprostszy przypadek: pozostawiamy muchę w tym samym punkcie powierzchni ziemskiej, to znaczy zachowujemy jej koordynaty geograficzne oraz odległość od centrum Ziemi, ale przenosimy ją w czasie o godzinę do tyłu. Czy mucha pozostanie w wagonie? W żadnym wypadku, ponieważ godzinę temu nasz wagon znajdował się w zupełnie innym miejscu. Mucha po prostu zawiśnie w powietrzu nad pustymi szynami.

To, Aszocie Georgijewiczu, jeszcze w tym przypadku, jeżeli się przyjmie, że dla muchy Ziemia to cały Wszechświat.

Dym-Dym rozejrzał się - wydaje się, że przykład był na tyle oczywisty, że nie wymagał żadnych dodatkowych wyjaśnień.

- W naszym doświadczeniu - ciągnął dalej Dym-Dym - rolę muchy spełniała „maszyna czasu”, rolę wagonu - cała metagalaktyka. Pozostawiamy maszynę na tym samym miejscu - ale przecież miejsce to należy odnosić nie do centrum Ziemi, lecz do centrum całej metagalaktyki. Kiedy rozpoczyna się ruch w czasie, ustalają się przestrzenne, powiedziałbym nawet - makroprzestrzenne koordynaty maszyny. Wyłania się w tym samym miejscu, ale na tym miejscu kilka milionów lat temu nie było Ziemi. Znajdowała się w zupełnie innym punkcie kosmosu.

Wszyscy milczeli speszeni - wszystko okazało się aż zbyt proste. Na tym samym miejscu... Ale gdzie?

Milczeli. Pytań nikt nie zadawał - wszystko było i tak aż zbyt jasne.

- Ale dlaczego taki smutek? - otrząsnął się nagle Dym-Dym. Nie znosił pogrzebowej atmosfery. - Ja osobiście po raz pierwszy w życiu asystuję przy zamknięciu jakiegoś wielkiego problemu - do tej pory zawsze zdarzało mi się oglądać jedynie otwarcia. Tak że już i to jest ciekawe.

A zatem - udowodniliśmy dzisiaj na drodze eksperymentu, że oddziaływanie na przeszłość jest praktycznie niemożliwe. Mogę jedynie wyrazić moje współczucie grupie entuzjastów, która w bardzo niedalekiej przyszłości miała zamiar zanurzyć się w przeszłość... Pozostając, rzecz oczywista, na tym samym miejscu.

Złożył lekki, żartobliwy ukłon w stronę Sajkina, Wowolura i Podymachina. Ale chłopcy zbyt dobrze znali swojego szefa, aby mógł ich oszukać. „Jeżeli komuś w tej chwili jest ciężko - myślał każdy - to przede wszystkim jemu. Własnymi rękami zamknąć problem, któremu poświęciło się całe świadome życie, cały czas fizyka i człowieka, nie tak już młodego, ażeby podejmować jeszcze jedno fundamentalne zadanie.”

- Dymitrze Dymitryczu - prosząco powiedział Sajkin - a może mimo wszystko jeszcze jedno...

- Nic może - ostro uciął Dym-Dym. - Nie ma po co. Czy zdajecie sobie sprawę, jakie to jest ryzyko? Poprzednim razem, kiedy myśleliśmy, że maszyna wynurzyła się pod ziemią, w rzeczywistości przebywała w jakiejś chmurze kosmicznej. To po prostu nie do wiary, że wszystko skończyło się tak szczęśliwie, zwłaszcza dla naszego psa. Widocznie chmurka była słaba i nie towarzyszyło jej promieniowanie. No, i wiadomo, co było na tym samym miejscu około dwóch milionów lat temu.

- Nie - powiedział Arsen - nie na tym miejscu, ale w tym punkcie, gdzie znajdowała się Ziemia w chwili drugiego uruchomienia...

Dym-Dym zwrócił się do niego i znowu obaj uśmiechnęli się do siebie jak dwaj spiskowcy związani teraz na całe życie.

- Słusznie - powiedział Dym-Dym. - Inercja myśli. Przez cały czas zapominam o takim drobiazgu, jak metagalaktyka, oraz o tym, że nasza staruszka bezustannie dokądś leci. A jednak, mimo wszystko, jesteśmy beznadziejnymi egocentrykami, czyż nie?

Beznadziejni egocentrycy milczeli. Ktoś wyłączył w hali doświadczalnej światło, i z dołu mogło się wydawać, że przezroczysty klocek balkoniku Dym-Dyma wisi po prostu w czarnej pustce niby błękitna latarnia. Wewnątrz latarni widać było czarnobiałe postacie - ludzie w fartuchach laboratoryjnych, nowiutkich i chrzęszczących z okazji przyjazdu gości.

Ludzkie postacie nie poruszały się. Wszyscy myśleli. Ale nie o goryczy antyodkrycia. Nie o straconych na próżno latach obłąkańczej pracy, I nawet nie o Dym-Dymie. Myśleli o jednym.

- A jednak maszyna była w przeszłości - powiedział Podymachin.

- Tylko nie mogła odnaleźć Ziemi, która znajdowała się od niej o tysiące parseków - zauważył Wowolur.

- Ale jeżeli zamiast naszej maszyny... - podchwycił Sajkin.

- Nie w tej chwili, oczywiście - szybko dodała Mirra Jefimowna.

- Przecież kiedyś nie będziemy ograniczeni zasobami energii - zauważyła Święta.

- I wówczas, zamiast maszyny wysłać w przeszłość... - powiedział Arsen.

- Gwiazdolot?...

Liliana Rozanowa

Przepowiadacz przeszłości

(Opowiadanie byłego starosty domu akademickiego Instytutu
Elektroniki Jutra)

Mieszkaliśmy z Barancewem tak: tu on, a tu ja. Pod oknem Niomka Iziumow, a przy drzwiach Konstanty. Mieszkaliśmy tak już pięć lat, znaliśmy się więc jak tyse konie. Stąd wiedziałem na pewno, że Barancew był skromny, uczynny, brał udział w życiu społecznym i cieszył się zasłużonym zaufaniem kolegów.

Muszę powiedzieć, że koledzy w naszym pokoju dobrali się wprost wyjątkowo: Żyliśmy bardzo zgodnie, a wiecie przecież, że rozmaicie bywa. Tym bardziej, że byliśmy tak różni, jakby, nas specjalnie dobierano. Konstanty mógł na przykład cały tydzień nie jeść obiadów, żeby móc sobie kupić paryski krawat, a Barancew oczywiście nie jeść obiadów nie mógł, ale za to było mu absolutnie wszystko jedno, co właściwie je. Raz Niomka Iziumow w dzień swego dyżuru nakupił koncentratów „sztuczne sago z wędzonką” i przyrządzał je dzień po dniu. Wtedy my trzej - Konstanty, ja i sam Niomka już na drugi dzień zaczęliśmy się wymykać do stołówki, a Barancew jak gdyby nigdy nic co rano pałaszował sago i wyskrobywał talerz. Więc Niomka następnego dnia znów je gotował - w drodze wyjątku, jak mówił, żeby sprawdzić eksperymentalnie, czy Barancew posiada kubki smakowe, i czym się to skończyło? Mniej więcej dziesiątego dnia przyszła do nas dziewczyna Konstantego - miał wtedy taką Swietoczkę - załamała ręce nad naszym kawalerskim gospodarstwem i ugotowała wspaniałą kolację: zapachy rozeszły się dosłownie po wszystkich piętrach. „Smaczne?” - zapytała Swietka Barancewa, kiedy kończył już bitki z kartoflami, i jak myślicie, co odpowiedział? Odpowiedział: „Proszę? Nasz Nioma też dobrze gotuje.”

Hm... tak. Prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego mi się to zdarzenie przypomniało. Słabo przecież charakteryzuje Barancewa i jako człowieka, i jako naukowca. Raczej już charakteryzuje Niomkę Iziumowa, który wymyślił ten eksperyment z kubkami smakowymi. Niomka miał zresztą wiele innych pomysłów. Zdarzało się czasem, że wraca z wykładów, wali się na łóżko, nastawia Kwartet Cesara Francka i myśli. A nawiasem mówiąc, muzyka ta jest dość przeciętna, poważna oczywiście, ale nic nadzwyczajnego. Pierwszy koncert Czajkowskiego czy uwertura do opery „Carmen” są o wiele ładniejsze, ale Niomkę nie wiadomo czemu właśnie przy dźwiękach tego kwartetu nachodziły rozmaite myśli. To pisał „Fizykę dla klasy V-tej” trochejem i jambem, to znów zamierzał zorganizować męski zespół harfarzy. Nawet zdobył gdzieś harfę i trochę się nauczył grać; potem stała u nas zawalając pół pokoju, i jeżeli Niomka po tym wszystkim łądował jakoś na trójkach, to tylko dzięki wrodzonym zdolnościom i Barancewowi, który podciągał go jak mógł.

Barancew był całkowitym przeciwieństwem Niomki. Nie dzielił czasu jak inni ludzie na naukę i wypoczynek, lecz tyrał bez przerwy: do późnej nocy przesiadywał w Laboratorium Przyrządów albo w sali Komputerów, a gdy go stamtąd przepędzono, ślęczał nad swymi schematami w domu - do jego łóżka przysunięty był specjalny stół. Wyobraźcie sobie tylko:

Żeńka pochylony nad lutownicą, Iziumow gra na harfie, do Kostki przyszły znajome dziewczyny, a ja biegam w kółko z czajnikiem.

Na wykładach Żeńka czasem znikał. To znaczy fizycznie, rozumie się, był obecny, ale duchem daleki: oczy jego akomodowały się na nieskończoności albo znów jak szalony zaczynał zapisywać fragmenty wzorów, nie mających nic wspólnego z tematem wykładu. Pamiętam, jak raz zdarzyło mu się coś takiego na „Wprowadzeniu w bionikę wymoczków”. Po drugiej stronie ode mnie siedział zaś Niornka i także mamrotał coś zupełnie nie związanego z wymoczkami - może rymował całą z pałką - nie wiem. Popatrzyłem na nich i nagle poczułem, że sam się zapadam, odpływam gdzieś i głos wykładowcy dociera do mnie jak przez pierzynę. A o wymoczkach wykladał nam sam profesor Stakannikow; wykladał takim bulgocącym natarczywym basem, jak gdyby mówił nie o wymoczkach, lecz o lwach jaskiniowych, i wtedy, mimo owego basu, jak nie ziewnę - i to w dodatku głośno. Dobrze, że akurat wykład się skończył. Barancew i Niornka spłynęli ze swych wyżyn do audytorium i Niornka zadał jedno ze swych idiotycznych pytań:

- Dwaj koledzy pakują rzeczy przed wyjazdem. Jeden z nich rzuca drugiemu kożuszek bez rękawów i mówi: „Bierz!” Jak to wyrazić jednym słowem?... Łap - serdak.

Tak... O profesorze Stakannikowie też pewnie słyszeliście. O właśnie, to ten znany uczonec. Wygląd też ma odpowiednio szacowny. Gdybyście go spotkali na ulicy, pomyślelibyście z pewnością: „To członek-korespondent.”

I właśnie profesor Stakannikow został jednym z uczestników historii, którą chcę wam opowiedzieć i która wiąże się bezpośrednio z Żeńką Barancewem.

Trzeba przyznać, że już dawno, jeszcze na drugim roku, zrozumieliśmy, że Żeńka ślęczy nad swoimi schematami nie tak sobie, lecz ma ściśle wytknięty cel. Nie był to facet, który „myślą rozplęwał się po drzewie”¹ W odpowiedzi na nasze pytania mamrotał coś niewyraźnie, tak że w końcu daliśmy mu spokój i przestaliśmy zauważać dziwną, guzowatą konstrukcję, która poniewierała się w nogach jego łóżka.

Natomiast dziewczyny Konstantego, po raz pierwszy będąc w naszym pokoju, zamierały na jej widok z podziwu, zupełnie jak na widok harfy, i tak długo wierciły nam dziurę w brzuchu, póki nie wydusiły odpowiedzi, co to jest.

Raz - była u nas wtedy niejaka Kira - Niornka wytłumaczył:

- Jest to półprzewodnikowy model peruwiańskiej termityery ze sprzężeniem zwrotnym.

Potem Kirę zastąpiła piękność znana w naszym pokoju jako „Symbioza kapelusza z włosami”. „Symbiozie” Niornka powiedział po prostu:

¹ Cytat ze „Słowa o wyprawie Igora” w przekładzie Juliana Tuwima.

- Ma pani przed sobą kaktusoidalną formę istnienia protoplazmy.

Barancew nie brał udziału w tych rozmowach, ale w czasie wyjaśnień spoglądał na Niomkę z wdzięcznością.

Zbliżały się egzaminy państwowe i obrona dyplomów, kiedy pewnego razu Barancew sam zaczął rozmowę. Nadchodził wieczór, nie mieliśmy gości i w pokoju byliśmy tylko my czterej.

- Chłopaki - mówi Żeńka - niedawno skończyłem taką jedną rzecz. Prowizorycznie. Pomysł nie jest mój, dawno już go opisano, właściwie moje są tu tylko niektóre rzeczy... Zastosowałem schematy integrujące... Optykę quasi-japońską...

- Do rzeczy - odezwał się Konstanty.

- Nie, to nic szczególnego. Zwyczajny Kolektor Rozsianej Informacji, tylko małogabarytowy i o zasięgu lokalnym.

Spojrzeliliśmy na siebie. Pomysł Kolektora istotnie nie jest nowy.² Wiadomo powszechnie, że nic w przyrodzie nie ginie bez śladu, a więc w zasadzie każdy ślad można uchwycić, oczyścić z późniejszych warstw i powiązać z innymi śladami. A więc KRI jest to urządzenie, które za pomocą odpowiednich chwytaczy, oczyszczaczy, wzmacniaczy, zbieraczy, syntetyzatorów i zestawiaaczy przetworzy te ślady w obrazy przeszłości.

- Jeżeli ten przełącznik ustawimy w położeniu na prawo - opowiadał Barancew - otrzymamy obraz tego, co rzeczywiście było. Ale to - jak było rzeczywiście, jest tylko jednym z wariantów tego, jak mogłoby być, w dodatku najbardziej prawdopodobnym. Strzałkę nastawioną na istotę zjawiska przypadek przesuwają w lewo lub w prawo. Kto wie, jakich wyżyn dosięgałaby poezja, gdyby w pojedynku zginął Martynow, a nie Lermontow, i kto by odkrył Bieguna Północny, gdyby niedźwiedź zabity przez Andree'go nie był zarażony.³

Przekręcając przełącznik na lewo włączyliśmy Filtry Przypadku, Minimizatory Odchyleń i, co najważniejsze, specjalne Urządzenie, które wprowadza współczynnik poprawki na właściwości ludzkie - w tym zaś celu Kolektor należy podłączyć do badanego osobnika. W rezultacie otrzymamy pierwszą pochodną - obraz tego, jak mogłoby być. Rozumiecie?

- Rozumiemy - powiedzieliśmy, chociaż to, co opowiadał Barancew, było w jednakowym stopniu i zrozumiałe, i niezrozumiałe.

Ogólnie rzecz biorąc z wyjaśnień Żeńki wynikało, że Kolektor po podłączeniu do

² Dla zapoznania się ze stroną czysto techniczną zagadnienia autor pozwala sobie odesłać czytelnika do źródeł: A. i B. Strugaccy „Powrót”, Moskwa 1963, s. 191-198.

³ Barancew ma prawdopodobnie na myśli wersję, zgodnie z którą ekspansja Andree'go (1897 r.), próbując dotrzeć balonem do Bieguna Północnego, po przymusowym lądowaniu zginęła, zarażona trychniozą od zastrzelonego niedźwiedzia (przyp. aut.).

dowolnego człowieka mógł pokazywać fragmenty z jego przeszłości w wariacie rzeczywistym i możliwym.

A Zeńka już odwijał koce na łóżkach, wyciągał prześcieradła i przypinał je do tapet agrafkami. Był blady i mocno stremowany.

- Trzeba tu włożyć jeszcze masę roboty... - mówił. - Na razie to tylko pierwsza próba. Mam kłopoty z ostrością... Jeszcze nie wykończyłem samoregulacji... Więc nie mam pojęcia, jakie zdarzenia wybierze. Prawdopodobnie najważniejsze, kluczowe: czułość jest zbyt słaba jak na drobne codzienne epizodziki... To co, zaczniemy?

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi i wszedł profesor Stakannikow. Zapomniałem powiedzieć, że w ramach pracy społecznej opiekował się domem akademickim w związku z tym, ilekroć mnie spotkał, pytał zawsze, jak się kształtuje nasze oblicze moralne. A tu nagle sam raczył przyjść - i to jakże nie w porę - sami rozumiecie, i łóżka były rozgrzebane, i prześcieradła porozwieszane na ścianach.

Nie mieliśmy więc żadnego wyjścia i Zeńka Barancew po chwili wahania jeszcze raz pokrótce wyjaśnił, o co chodzi. Teraz nie pozostawało nam nic innego, jak zaproponować profesorowi Stakannikowowi najwygodniejsze miejsce - na wprost ekranu, przy łóżku Konstantego.

Barancew znów zgasił światło i popatrzyliśmy na siebie w półmroku.

- No to co, może ja pierwszy - powiedział Niomka i nałożył elektrody-nauszniki.

Zapadła zupełna ciemność.

Potem ciemność drgnęła, zakołysały się cienie i zobaczyliśmy lśniące, czarne, ukośnie postawione wieko fortepianu. Czy przypominało to film? Hmm... trochę. Kolorowy? Nie wiem... Nie pamiętam. W odróżnieniu od kina nie czuło się obecności ekranu, chociaż, gdy się skupiłem, mogłem dostrzec kropki agrafek, którymi przypięte były prześcieradła.

A więc widzieliśmy pochylone wieko fortepianu. Przy fortepianie siedziała duża, głośno oddychająca kobieta, której obfite, drgające ciało szczelnie wypełniało połyskliwą suknię. Nie patrząc, mocno uderzyła jedną ręką w klawisze i zaśpiewała dźwięcznie, wabiąco:

- Do... mi... soi... do! Powtórz to, chłopcze: do... mi... soli...

Usłyszeliśmy cienki, mysi pisk:

- Do... so-o-l... mi...

Sześciolatek stał przy nodze fortepianu i rył parkiet zwróconym do wewnątrz noskiem buta. Rany boskie! To był Niomka.

- Dobrze - powiedziała kobieta przy fortepianie i zauważyliśmy, że ma tylko pięć czy sześć zębów, a i te są srebrne. - Teraz, Monia...

- Jestem Nioma...

- Teraz, Sioma, zaśpiewaj nam piosenkę, jaką chcesz. Niomka poweselał, wziął głęboki oddech i zagrział:

Dawno temu, kiedym jeszcze panną była,
Nasza armia na wojenkę hen, daleko wyruszyła...

Niomka śpiewał, co miał siły, wkładając w ten śpiew całą duszę.

Nie było go już jednak widać, słyszeliśmy tylko głos, a po ekranie płynęły rozmazane twarze, których nie sposób było zapamiętać. Chwilami to jedna, to druga twarz nieruchomiła na moment i widziałem młodą roześmianą kobietę w okularach i mężczyznę o bujnej czuprynie i krzaczastych brwiach, który także śmiał się cicho; obracali w palcach ołówki i spoglądali w rozłożone na stole papiery. Mignął korytarzyk czy poczekalnia po brzegi nabita matkami i dziećmi; gruba dziewczynka płakała i tupała nogami; chłopiec gryzł tabliczkę czekolady szeleszcząc cyn-Folią; matki poprawiały dzieciom ubrania, ręce im drżały, a spojrzenia miały zawistne. Potem to także się rozpląnęło; całe pole widzenia zajęła znużona, pełna twarz kobiety przy fortepianie; oczy miała zamknięte, ale był w niej jakiś niepokój; brwi jej drgały, u nasady nosa zbiegały się zmarszczki - widocznie dręczyło ją jakieś niesprecyzowane wspomnienie.

A Niomka śpiewał:

Na kwaterę generała nam przywieźli.
Jęczał z bólu, poranione szarpiąc piersi.

Nagle zobaczyliśmy rzekę; letni wiatr marszczył wodę w drobne fale. Patrzyliśmy na nią z białego statku, przechyleni przez nagrzaną słońcem burtę. Na rufie trzepotała flaga ze spłowiałym do białości błękitnym pasem, zielone brzegi z drżącymi gdzieś na horyzoncie dzwonicami i słupami elektrycznymi przepływały obok cicho i bez końca, a nad pokładem unosił się zapach lipcowych traw.

- Przyjemnie ci? - ledwo dosłyszalnie zapytał młody człowiek swą towarzyszkę, wysoką dziewczynę ze skłonnością do tycia, i przykrył dłonią jej dużą, silną rękę.

- Bardzo... - także ledwo dosłyszalnie odrzekła dziewczyna.

- Kto to śpiewa? - zapytał. - Słyszysz?

- To radio w kajucie - odparła. - Nie szkodzi.

...Przez calutką nockę oka nie zmrużyłam,

O prześlicznym kawalerze ciągle śniłam.

Niemka skończył. Kobieta przy fortepianie wolno otworzyła oczy.

- No, dobrze - powiedziała, wciąż jeszcze się uśmiechając. - Idź, chłopcze, i poproś następnego.

...Pojawili się rodzice Niomki. Kobieta, która przedtem siedziała przy fortepianie, teraz wkładała papiery do teczki z krokodylowej skóry z monogramem i mówiła:

- Gratuluję państwu! Mieliśmy dziesiętnastu kandydatów na jedno miejsce, ale synek państwa wygrał ten konkurs. Potrafi w zdumiewający sposób uchwycić istotę utworu. Zobaczymy, zobaczymy... Może zostanie Muzykiem przez duże M.

- A ja myślałem, że zostanie inżynierem - uśmiechnął się z roztargnieniem tata Niomki. - Wie pani, w naszych czasach... Ale oczywiście, jeśli potrafi uchwycić istotę...

- ...I-ziu-mow! - wrzasnął mi ktoś nagle nad uchem tak, że podskoczyłem.

- I-ziu-mow! Iziumow!... - krzyczano ze wszystkich stron i krzyki tonęły w owacjach.

Niomka, zupełnie dorosły, taki jak teraz, wyszedł zza kulis i podszedł do pulpitu dyrygenckiego. Wyglądał żałośnie: koszula pociemniała od potu, kołnierzyk zjechał na bok. Oderwaną czarną muszkę trzymał w rękę i przyciskał tę rękę do serca. Był zupełnie szczęśliwy; nigdy nie widziałem Niomki tak szczęśliwego, aż zmęczonego szczęściem.

Po obu jego stronach stali wzruszeni skrzypkowie i bezdźwięcznie uderzyli smyczkami po strunach skrzypiec.

Nagle wszystko znikło i umilkło równie nagle, jak się pojawiło. W zupełnej ciemności usłyszeliśmy pstryknięcie -potem zrozumiałem, że Barancew przekreślił przełącznik w prawo.

- Sioma, zaśpiewaj piosenkę, jaką chcesz - powiedziała kobieta przy fortepianie.

Niomka poweselał, wziął oddech i zagrzmiał:

Gdy byłem woźnicą przy koniach pocztowych,

Tom młodym był chłopcem i silnym...

Twarz kobiety wypełniła pole widzenia, oczy miała zamknięte, ale coś ją dręczyło, jakieś niesprecyzowane wspomnienie; drgały jej brwi, u nasady nosa zbiegały się zmarszczki.

Lat kilka bez troski i biedy przeżyłem,

Lecz potem zakochał się człowiek..,

Zobaczyliśmy mężczyznę przykucniętego nad walizką. Był to tęgi, niemłody

mężczyzna i niewygodnie mu było siedzieć w kucki.

- Zostać z tobą nawet jeden dzień, nawet godzinę -mówił przerywanym głosem, gorączkowo upychając w walizce koszule - to samobójstwo... Samobójstwo!

Kobieta słuchała go przyciskając się do ściany; mignęła niewyraźnie jej duża, ocieężała figura.

- To koniec wszystkiego! - mówił mężczyzna zatrzasnąwszy wieko walizki i szcękając zamkami. - Koniec mnie jako człowieka, koniec mojej twórczości, wszystkiego, co jeszcze mogę zrobić przez te lata, które mi pozostały!

- I to mówisz ty! Mnie!... - jęknęła kobieta.

- Ja! Tobie! Lepiej późno niż wcale! - powiedział z przekonaniem, wyprostował się i potarł zdrewniałe nogi.

- Znów będziesz niczym - rzekła dobitnie. - Czymże ty jesteś beze mnie? Będziesz zerem. Kto zrobił z ciebie człowieka?

- Milcz! Można ogłuchnąć! - krzyknął. - I w dodatku to radio ryczy, niech je cholera!

- Nie szkodzi! - krzyknęła kobieta. - Idź sobie! A radio niech gra!

Pod śniegiem, o bracie, spoczęła dziewczyna.

Zamknęły się oczy jej czarne!

Ach, dajcie, ach, dajcie co prędzej mi wina,

Nim rozpacz mnie znowu ogarnie.

Niomka skończył. Kobieta przy fortepianie otworzyła oczy.

- Idź, idź, chłopcze - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Idź i poproś następnego.

...Pojawili się rodzice Niomki. Kobieta mówiła wkładając papiery do teczki z krokodylowej skóry z monogramem:

- Niestety, nie mogę państwu pogratulować. Dziecko nie jest pozbawione talentu, ale to był egzamin konkursowy, dziewiętnastu kandydatów na jedno miejsce, rozumiecie więc, państwo...

- Ta-ak... - uśmiechnął się z roztargnieniem tata Niomki i zapytał pochylając się lekko:

- Chcesz zostać muzykiem, synku?

Niomka przeniósł spojrzenie z krokodylowej teczki na błyszczącą suknię i westchnął z ulgą:

- Nie-e...

- No to będziesz inżynierem - powiedział tata Niomki. - Wie pani, w naszych czasach...

I wszystko się skończyło. Zgasło, umilkło. Barancew zapalił światło i jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu.

- To jakieś bzdury - odezwał się wreszcie niezbyt pewnie Konstanty. - Więc, gdyby...

- Bajka ze świata zwierząt - szybko przerwał mu Niomka. - Stary tur miał urodziny, urządził więc przyjęcie. Jak je nazwać jednym słowem? Party-tur a...

- Czyś ty nie znał żadnych dziecięcych piosenek?! -krzyknąłem. - Co to za idiotyczne pieśni dla sześciolatniego dzieciaka!

- Mieliśmy taką płytę - powiedział cicho Niomka. - Dotąd mamy i bardzo ją lubię. Z jednej strony jest „Wczesnym rankiem”, a z drugiej „Gdy byłem woźnicą”...

- To bardzo ciekawe - wtrącił się profesor Stakannikow. - Co pan odczuwał, Iziumow, w czasie seansu? Wrażenia bólowe? Drganie kończyn?

- Nie. Nic zupełnie - odparł Niomka.

- Hm. Ba-ardzo ciekawe - ciągnął Stakannikow. - Nawiasem mówiąc, już w czterdziestym szóstym roku sformułowałem... Ta-ak. Pozwólcie no, moi drodzy, ja sam spróbuję.

Usiadł wygodniej i nałożył elektrody na uszy.

Zobaczyliśmy długi korytarz, taki, który jednym końcem wychodzi na klatkę schodową, a drugim sięga załatującego jedzeniem i flitem bufetu. Po obu stronach korytarza były drzwi z napisami: „Audytorium Nr ...”, przy koszach na śmieci stali palacze, grupa dziewcząt, objąwszy się za ramiona, mówiła coś, czego nie słyszeliśmy.

- Cześć - powiedział młody, choć nie pierwszej młodości mężczyzna, podchodząc do innego młodego człowieka, który podpierał ścianę i z roztargnieniem przeglądał jakieś pismo.

- Czołem - odpowiedział tamten i gdy podniósł głowę, okazało się, że to Stakannikow, tylko młodszy o trzydzieści lat.

- Wesołe nowiny, nie ma co - ciągnął Drugi Młody Człowiek, potrząsając dłonią Młodego Stakannikowa. - Wiesz, kogo mianowano? Tego bydlaka Turlamowa.

- Ach, tak! - powiedział Młody Stakannikow.

- Wracam właśnie z akademii: już zatwierdzono. Rozumiesz, co to znaczy?

Obaj zapalili, zaciągając się głęboko.

- Nowe czasy - odezwał się z gorzkim uśmiechem Młody Stakannikow.

- Jeżeli kogoś tutaj mi żal, to tylko Starego - powiedział Drugi Młody Człowiek. - Że też dożył takiej hańby. Jego Turlamow wykończy przede wszystkim.

- Doprowadzi go do zawału - przytaknął ze smutkiem Młody Stakannikow.

Jakiś czas palili w milczeniu.

- A propos - powiedział Drugi Młody Człowiek. - Ty masz recenzować rozprawę Kopiejkina?

- Ja - Młody Stakannikow splunął do kosza - wyznaczyli mnie na oponenta.

- No i jak ci się podoba?

- Stek bredni - odparł Młody Stakannikow. - Ani jednej własnej myśli. A demagogia! Aż zęby bolą.

- Nie zazdroszczę ci - powiedział z powagą Drugi Młody Człowiek i popatrzył prosto w oczy Młodemu Stakannikowowi. - Wiesz przecież, kto to jest Kopiejkin. Weź pod uwagę całą sytuację.

- A idźże ty do diabła! - zdenerwował się Młody Stakannikow.

Zblakli i rozplynęli się. Ale natychmiast pojawili się znowu. Teraz siedzieli obok siebie na długiej półokrągłej ławce, opierając ręce o odrapaną barierę. Za ich plecami wznosiło się audytorium, wszystkie twarze zwrócone były w dół, gdzie przy stole nakrytym zielonym sukniem i zastawionym prymulkami stał niepozorny mężczyzna w nieokreślonym wieku, cały jakby przysypany popiołem. Wskazówkę trzymał w ręku jak lufę.

Przewodniczący był tęgim mężczyzną o lśniącej łysinie. Ręce z wypukłymi żółtymi paznokciami rozpostarł szeroko na suknie i od czasu do czasu zaciskał tkaninę w dłoniach, i pochylał się do przodu, jakby chciał się poprawić na krześle.

- Głos ma oficjalny oponent - powiedział Przewodniczący i powiódł wzrokiem po pierwszych rzędach. Spojrzenie jego można by określić jako nie jednolite, lecz cząstkowe: po jednym celnym, chwytnym spojrzonku na osobę.

Mignęły przed nami pierwsze rzędy: ściągnięte brwi, opuszczone rzęsy, dymki papierosów osłaniane dłońmi, czarne birety, palce bębniące po zapisanych arkuszach, wypchane teczki. Zupełnie blisko nas siedział wysoki, chudy starzec; zanurzył palce w błękitnawej bródce i siedział jakby w oddaleniu od wszystkich, śmiejąc się bezdźwięcznie.

Wzdłuż pierwszego rzędu przepychał się Młody Stakannikow, przyciskając do siebie papierową teczkę i potykając się o cudze kolana. Podszedł do mównicy, rozłożył papiery i zaczął cicho:

- Rozprawa Wu Wu Kopiejkina składa się z dziewięćdziesięciu pięciu stron maszynopisu... - Nagle jednak podniósł głowę i krzyknął cienkim, wibrującym głosem: - Towarzysze! Do jakiego stanu musiał dojść nasz instytut, żeby to - to i Ta demagogia i... To epigoństwol... To zarozumiałe, agresywne nieuctwo!... Mogło!... Być przyjęte! Jako praca naukowa!

Rozlewając wodę nalał sobie do szklanki, wypił gorączkowo i kontynuował już nieco

spokojniej.

- Na trzydziestu stronach rozprawy Wu Wu Kopiejkin unicestwia Mendla za to, że ten nie znał marksizmu, a na trzydziestu stronicach zakończenia wychwala niesłychany rozwój naszego rolnictwa. Na pozostałych stronicach autor opisuje to, co chciałby otrzymać. Rozumiecie? Chciałby! Ale jego własne dane nie dowodzą ni-cze-go...

Młody Stakannikow zaczerpnął tchu i znowu zagłębił się w papierach. Ale wtedy Przewodniczący, który do tej chwili ściągał sukno ze stołu, z nieprzyjemnym zgrzytem skrobiąc je paznokciami, wstał przewracając krzesło i powiedział dobitnie:

- Odbieram wam głos, Stakannikow. Jako patriota rosyjskiej biologii nie mogę pozwolić, by w mojej obecności wylewano na nią pomyje weismanizmu, kosmopolityzmu i agresywnego imperializmu!

I doktorant, który, póki Stakannikow mówił, dosłownie wisiał na swej wskazówce, teraz rozprostował ramiona, odetchnął i przełożył wskazówkę z ręki do ręki jak karabin.

W kompletnej ciszy rozległo się nagle głucho:

- Ho-ho-ho!...

To śmiał się wysoki starzec z błękitną bródką. Śmiał się długo, ciężko i nikt mu nie przerywał. Potem wstał i ruszył do wyjścia sapiąc i stukając laską.

...Młody Stakannikow także się uśmiechał. Był blady, tylko oczy mu płonęły. Szedł wprost na nas i wyciągał przed siebie już nie teczkę, lecz coś mniejszego w płóciennym opakowaniu, z wytłaczanym herbem - tak, własny dyplom doktorski.

- Mógłbym objąć stanowisko młodszego pracownika naukowego - mówił do kogoś, kto znajdował się za naszymi plecami.

- Mielicie, zdaje się, wolny etat laboranta? - pytał. -Co? Nawet tymczasowo nie?

Ludzie za naszymi plecami widocznie się zmieniali i Młody Stakannikow w swym odświętym, mocno już wygniecionym ubraniu ciągle pytał:

- Może przyjęlibyście mnie na pół etatu jako preparatora?

- Dość! - krzyknął oddychając ciężko profesor Stakannikow i wyciągnąwszy rękę przekręcił przełącznik w prawo.

Wzdłuż pierwszego rzędu audytorium przepychał się potykając o czyjeś nogi i przepraszając Młody Stakannikow w odświętym ubraniu. Dwoma palcami trzymał za rożek cienką papierową teczkę; otworzył ją na mównicy i zaczął czytać nie podnosząc oczu:

- Rozprawa Walentego Walentynowicza Kopiejkina zawiera dziewięćdziesiąt pięć stron maszynopisu i napisana została pod kierunkiem naszego szanownego przewodniczącego, profesora Turlamowa. Rozprawa jest pracą fundamentalną i zawiera

wielki wkład naukowy. Bo przecież, towarzysze, na czym polega wyższość naszej biologii? Opiera się ona na najtrwalszych w świecie podstawach metodologicznych i nigdy się nie wypaczy. Także niniejsza rozprawa...

... rozprawa jest całkowicie zadowolająca i jej autor w pełni zasługuje na stopień, o który się ubiega.

Młody Stakannikow zamknął teczką i otarł czoło. Wyglądał na straszliwie zmęczonego, o wiele bardziej niż chuderlawy doktorant, który w zamyśleniu gładził dłonią wskazówkę.

Młody Stakannikow nie poszedł na swoje miejsce, lecz usiadł w pobliżu wysokiego starca. Ale starzec podniósł się z hałasem, odsunął go i ruszył do wyjścia, sapiąc i stukając laską.

... Teraz Przewodniczący siedział przy zwykłym biurku; rozsiadł się wygodnie w fotelu obejmując dłońmi poręcze, jakby się chciał przytrzymać.

- A więc - mówił Przewodniczący do stojącego przed nim Młodego Stakannikowa. - Starzy umierają i jest w tym określona dialektyka. W związku z tym smutnym wydarzeniem w katedrze otworzył się wakans. Złóżcie papiery, Stakannikow, a my was poprzemy.

- Ostrożnie! - krzyknął Barancew. - Dlaczego pan zdejmuje elektrody bez uprzedzenia? Korci wysiadły.

Profesor Stakannikow chodził po pokoju, natykał się na łóżka; był wzburzony.

- Cóż - mówił raczej do siebie niż do nas. - To było słuszne. Właściwie nigdy nie miałem wątpliwości: to było słuszne. Potępiacie mnie, młodzi ludzie? - ciągnął z gorzkim półuśmiechem. - Wy tego nie zrozumiecie, nie, nie zrozumiecie... Inne czasy - inne pieśni. A przecież naszym zadaniem było zachować kadry. Tak... Weźmy moich kolegów, tych, którzy mieli wyższe stanowiska. No i co? Kuranow dwa lata pętał się bez pracy - i przekwalifikował się na geologa. Buranow - na chemika. Muranow... ten w ogóle nie wytrzymał... tak. Nie, to ciekawe, kto na tym zyskał? Nauka? Ludzkość? He? A gdybym ja - jak Muranow?! Kto by was uczył? Kto by was rozwijał? Historia to rozsądziła...

- Kostka i Mikołaj, wyście jeszcze zostali - niegrzecznie przerwał mu Barancew. - Chodźcie, jeśli macie ochotę.

Konstanty pierwszy wyciągnął rękę po elektrody, a ja jeszcze patrzyłem na profesora i dyskretnie potakiwałem -ich to nic nie obchodzi, im to dobrze, a ja jako starosta muszę zachowywać pozory.

Z Konstantym nie działo się nic szczególnego. Po prostu jechał metrem w mocno

zatłoczonym wagonie, stał przy drzwiach, swobodnie opierając rękę o górny metalowy pręt, a drugą rękę z książką trzymał nad głowami pasażerów. Najwyraźniej nie było to zbyt dawno: na Konstantym mienił się purpurowo-niebieski, znany nam sweter, który teraz co prawda spławił i Konstanty wkładał go jedynie, kiedy było zimno.

Nagle ktoś jęknął:

- Co się tu leje? Przecież wylewa się pani śmietana. Wszystkich pani zapaćka.

Obok Konstantego w mgnieniu oka powstała pusta przestrzeń, w której pozostała obładowana siatkami baba. Z jednej siatki istotnie coś się sączyło i kapało.

- Skandal! - jakiś postawny mężczyzna odsunął się gwałtownie, splunął na chusteczkę i zaczął trzeć nią nogawkę.

Podtrzymano go z entuzjazmem:

- Jeździ taka i ludzi packa!

- Z takimi bagażami trzeba jeździć taksówką.

- Panie kochany, śmietana w dzisiejszych czasach jest bez tłuszczu, można ją zmyć wodą...

- I w dodatku doradza! Siebie by pani lepiej umazało, a nie cudze spodnie!

- A spodnie z setki.

- Trzeba oczyścić benzyną.

- Acetonem.

- Do pralni dać.

- Speculanci.

Do przestraszonej kobieciny precyzyjnie się drobna, krótko ostrzyżona dziewczyna, przykucnęła, wsunęła szczuplutkie palce w oczka siatki i zaczęła podnosić śliską butelkę i przyciskać wieczko.

- No i o co ten krzyk? - powiedziała cicho. - To nie jest wina tej pani, że pokrywka odleciała.

- Racja - przytaknął pojednawczo Konstanty. - Wielkie rzeczy! Przecież to zwyczajna śmietana, nie radioaktywna.

- Patrzcie go, jaki mądrała! - pisnął ktoś radośnie.

- Dowcipniś - podsumował poszkodowany. - Jak to on mówi o radiacji! Z uśmiechem!

- Dzisiejsza młodzież!

- Pewnie ma brata w zakładach mleczarskich, w rozlewni - nic dziwnego, że pokrywki spadają...

Drobna dziewczyna uporowała się z butelką, stanęła na palcach i zapytała zwracając się

do pleców Konstantego:

- Wysiada pan przy Lotnisku?
- Czy tacy w ogóle wiedzą, ile śmietana kosztuje?! Pociąg zaczął hamować.
- Wysiadam - rzekł z gniewem Konstanty.

Na peronie dziewczyna pozostała nieco z tyłu, naciągając na bosą piętę zsunięty pasek sandałka. Kostka solidarnie zwolnił kroku.

- Ale się panu dostało - odezwała się dziewczyna podskakując na jednej nodze.
- Zdarza się - wzruszył ramionami Kostka.

Dziewczyna była taka sobie, zwyczajna maturzystka, lekko kędzierzawa - najdłuższe lśniące pasmo włosów założyła za małe ucho.

- Raz - oświadczyła - też zdarzył mi się okropny wypadek - akurat w metrze! Jechałam na Sylwestra i jakiś facet zahaczył mnie teczką z żelaznymi okuciami, i cała pończocha na nic!

Zabawna była: oczy okrągłe, drobne ręce, przy bluzce bez rękawów marynarski kołnierz jak u przedszkolaka.

- Straszne - zgodził się Konstanty.

W tej chwili zamarłem i przez jakiś czas nic do mnie nie docierało, ponieważ dziewczyna uśmiechnęła się. Cudowny był ten uśmiech: jasne oczy rozbliły, rzęsy zatrzępotały, twarz uniosła się nieco do góry i cała jakby się rozświetliła wewnątrz. Przeniosłem wzrok na Konstantego i zrozumiałem wszystko, co się z nim dzieje - przecież uśmiechnęła się do niego, a nie do mnie.

...Nad czarnym, wymytem przez polewaczki asfaltem Prospektu Leningradzkiego unosiła się lekka mgiełka. Szli w stronę dalekich świateł Szeremietiewa i dziewczyna chyba zmarzła w samych sandałkach, które składały się głównie z płaskich podeszew, i w leciutkiej dziecięcej bluzeczce, ponieważ teraz miała na sobie purpurowo-niebieski sweter Konstantego, który sięgał jej do kolan. Ludzi wokół nich nie było - okazuje się, że nadeszła już noc i pogasły okna, natomiast w odległości dwóch-trzech wyciągniętych rąk na końcach dźwigów migotały żarówki, a niebo przecinały światła pozycyjne huczących przyjaźnie samolotów. Czynne automaty z wodą sodową żyły tajemniczym nocnym życiem; Kostka i dziewczyna kolejno podstawiali dłonie pod ich kłujące strumyczki, gdyż szklanki schowali na noc przewidujący pracownicy obsługi automatów.

- Gdyby ludzie wiedzieli! - powiedziała dziewczyna. -Gdyby sobie mogli wyobrazić!... I gdyby mieli więcej wolnego czasu, z pewnością przychodziliby tu nocami. Prawda?

Odpowiedzi Kostki nie zapamiętałem - widocznie była zupełnie nieistotna. Natomiast

dla Niej i dla Niego była ważna i pełna znaczenia.

Ciemność powoli rzedła, prospektem pomknęły pierwsze auta, unosząc na czystych, lakierowanych karoseriach srebrzyste błyski. Rozległy się pierwsze sygnały z głośnika, dźwięczne, śpiewne, każdy dźwięk był jak kryształowa kulka.

Dziewczyna nagle krzyknęła i z przestraszoną i zmartwioną miną rzuciła się do automatu telefonicznego, a Konstanty znieruchomiał przy budce. Stał jak na warcie i miał taki wyraz twarzy, jak gdyby nie było większego szczęścia niż stać i patrzeć przez pękniętą szybę, jak dziewczyna tłumaczy się szalejącym z niepokoju rodzicom.

...Potem znaleźliśmy się w dziwnym pomieszczeniu, zbyt ciasnym, by można je było nazwać pokojem, i oświetlonym tak skąpo, że dopiero, gdy wyteżyłem wzrok i dostrzegłem ciężkie zasuwki na zamkniętych włazach, zrozumiałem, że to coś w rodzaju komory niskociśnieniowej, a może panel jakiegoś większego urządzenia. Na trzech ścianach słabo połyskiwały skale przyrządów; było w nich coś niepokojącego, coś, czego nie mogłem sprecyzować, ale wyczuwałem; czwarta ściana była ekranem i przed nim dotykając się ramionami stali Konstanty i ona. Mieli na sobie kombinezony laboratoryjne, wiecie, takie ze wskaźnikami, laryngofonami, wszystkimi bateriami, fotokieszeniami i całą resztą.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedział Konstanty.

Był to dzisiejszy Kostka.

Dziewczyna szcęknęła gałkami strojenia - ekran błysnął fioletem i zgasł.

- Ile czasu upłynęło? - spytała. (Ona także wydorosłała, schudła, jasne oczy zrobiły się ogromne.)

- Prawie doba - odparł Kostka. - Już dziesięć godzin nas szukają.

- Trzeba miesiąca, żeby do nas dotrzeć.

- Głupstwo! - dziarsko zawołał Konstanty. - Coś wymyślą. My oboje nie możemy, ale oni na pewno wymyślą. A my tymczasem wytrzymamy na awaryjnym. Co, nie wierzysz, że coś wymyślą?

- Wierzę, Kostieńka - powiedziała dziewczyna.

Gdzieś daleko odezwał się i teraz narastał, zbliżał się wysoki, pulsujący świst. Straszliwe uderzenie rzuciło ich na podłogę, ściany pochyliły się.

Konstanty stanął na chwiejnych nogach, podniósł dziewczynę i przycisnął ją do siebie. Zaczęła mówić pospiesznie, obejmując dłońmi jego policzki i patrząc mu w oczy:

- Kostieńka, wszystko jedno, cokolwiek się stanie... Pomyśleć tylko - mogliśmy się wcale nie spotkać! Ale spotkaliśmy się, jestem z tobą - to takie szczęście!

- Tak... tak... tak... - powtarzał Kostka całując ją i wtulając twarz w jej krótkie włosy.

Rozległ się łoskot, Upadli nie rozplatając rąk. W ciemnościach, jakie zapadły, usłyszeliśmy straszny krzyk.

- Puśćcie mnie! - krzyczał Konstanty. - Ona zginęła! Puszczajcie!

Trzymaliśmy go z Niomką za ramiona. „Zaraz, zaraz” szeptał Barancew i macał palcami po płycie KRI.

Pstryk !

- ...Zwyczajna śmietana - pojednawczo zauważył Konstanty. - Przecież nie radioaktywna.

- Patrzcie go, mądrała! - zapiszczał ktoś w zachwycie.

- Dowcipniś - podchwycił poszkodowany.

- Ma brata w zakładach mleczarskich...

- Dzisiejsza młodzież.

Drobna dziewczyna wspięła się na palce i zapytała zwracając się do pleców Konstantego:

- Wysiada pan przy Lotnisku? Pociąg hamował.

- Chyba bliżej mi będzie z Sokoła. Niech pani przejdzie, proszę - posunął się Konstanty i zmrużył oko: - Ja tu jeszcze pogawędzę z państwem o dzisiejszej młodzieży...

Konstanty siedział z głową opartą na rękach. Już nigdzie się nie wrywał, ale lepiej by krzyczał, niż tak milczał.

- Słuchajcie - mówił z rozwagą profesor Stakannikow. - Bądźmy logiczni, moi drodzy. Abstrahując od konkretnych osób rozpatrzmy system A-B w jego ogólnym zarysie. Jeżeli A i B są zależne od siebie nawzajem, to ponieważ istnieje A, musi istnieć! B. Jeżeli zaś B przestało istnieć w wyniku jakiejś katastrofy, to należy się tylko cieszyć, że połączenie A-B nie było zbyt trwałe.

- Ona zginęła - powiedział głucho Konstanty odejmując ręce od twarzy i patrząc w przestrzeń.

- Przestań! - niezbyt pewnie krzyknął Niomka.

- Pamiętasz ją? - spytałem. - Pamiętasz, jak się spotkaliście w metrze?

- Nie pamiętam - z żalem odparł Konstanty. - Właśnie o to chodzi. Wyobraź sobie natomiast, że babę ze śmietaną zapamiętałem, była podobna do naszej sąsiadki, ciotki Wali.

W tym miejscu muszę powiedzieć kilka słów o sobie. To, co się wydarzyło, a raczej mogło wydarzyć się Kostce, wstrząsnęło mną do głębi. Mój Boże - myślałem - ja pewnie także spotkałem tę, a raczej inną j e d n ą jedyną dziewczynę i nie poznałem jej; takich

dziewcząt spotyka się na ulicy czy w czytelnicy po pięćdziesiąt dziennie - jak zgadnąć, czy to właśnie ona? Gorączkowo robiłem przegląd całego życia: przedszkole - szkoła - studia, szukałem mego decydującego momentu; gubiłem się wprost w domysłach. Nigdy w życiu nie podejrzewałem, że mogę się tak denerwować.

- Może zrobimy przerwę? – niepewnie zaproponował Niomka. - Pogadamy, napijemy się herbaty...

- Za nic w świecie! - krzyknąłem.

Wszyscy mnie zrozumieli. Barancew podał mi elektrody jeszcze ciepłe od uszu Kostki i założyłem je na głowę.

W pierwszej chwili pomyślałem, że coś się Barancewowi popsło: nie pojawiły się żadne obrazy, nic zupełnie. Jedynie uszy się zatykały od przenikliwych „uii-iii” i trzasku wyładowań, a od czasu do czasu po ekranie przebiegały zielone błyskawice. Zeńka, wzdychając, z cierpliwą miną krótkofalowca kręcił gałkami strojenia, widziałem, że nastawił czułość na maksimum i ujął rączkę z napisem „Wiek”. Posłuszny ruchowi jego palców cienki promień przesuwiał się tam i z powrotem po skali z podziałką od roku do trzydziestu lat.

- Co jest, Zeńka? - nie wytrzymałem.

- Widocznie dla ciebie, Kola, czułość jest za mała - powiedział Barancew. - Ale poczekaj... Chwileczkę...

I rzeczywiście, zobaczyłem siebie: płaciłem w kasie stoiska ze sprzętem fotograficznym w domu towarowym „Wojentorg”.

- Nie mam drobnych - powiedziała kasjerka. - Niech pan weźmie losy na loterię, mam jeszcze dwa numery: zero trzy i zero cztery.

- Po co mi dwa - odpowiedziałem. - Lepiej napiję się soku. Proszę jeden. - Wyciągnąłem rękę, wziąłem numer zero cztery i podszedłem do kiosku, w którym sprzedawano sok pomidorowy.

...- Koleńka, sprawdź tabelę - powiedziała mama. Kupiłam kiedyś los za dziewięćdziesiąt kopiejek, leży na półce pod „Don Kichotem”.

- Ja też mam los - przypomniałem sobie, wyjąłem los z portfela, rozłożyłem gazetę i zacząłem porównywać numery.

- Ha! To dopiero! - wykrzyknąłem. - Seria trzy siódemki, trzy dziewiątki, numer zero cztery...

- Co? - spytała pobladła mama.

- Numer zero cztery - ten właśnie! - wygrał odkurzacz „Wicher”! - oznajmiłem z triumfem.

- O Boże!... - jęknęła mama i przeżegnała się.

- Wyłącz - powiedziałem do Barancewa, szarpany rozczarowaniem i wstydem. - Nie ma co pokazywać, jak było naprawdę: i tak pamiętam; kupiłem los zero trzy i wygrałem rubla... Nie ma nic ważniejszego? Co, Żeńka?

- Spróbujemy - rzekł Barancew. Dziwaki Miał taką minę, jakby czymś wobec mnie zawinił.

Tym razem Żeńka chcąc zwiększyć czułość, zdjął nawet tylną płytę i przyspawał dwa nowe oporniki. Pomagaliśmy mu wszyscy; miałem uczucie, jakbym asystował chirurgowi i jednocześnie leżał rozpostarty na stole operacyjnym.

Potem Żeńka znowu kręcił gałkami strojenia, a ja siedziałem przyciskając elektrody do uszu i w męce oczekiwania robiłem w pamięci przegląd: przedszkole... szkoła... studia...

- Uwaga! - zdążył tylko uprzedzić Barancew.

... Wprost na Mnie pędził samochód. Diabli wiedzą, kiedy wyskoczył zza rogu - chyba to była „Wołga” i chyba zielona.

- A-a-a! - wrzasnąłem widząc lecący mi na spotkanie narożnik trotuaru.

- Człowieka przejechali! - krzyczeli ludzie tłocząc się rzy zielonej „Wołdze” na skrzyżowaniu przed kinem „Powtornyj” i zasłaniając leżącego Mnie.

Widziałem tylko plecy i nogi stojące na palcach i słyszałem rozmowy:

- Chwała Bogu, żyje!

- Patrz, patrz, usiadł. - Coś ma z ręką.

- Już jest pogotowie.

- Żywy i cały. Chwała Bogu!

Wsadzili Mnie do karetki, kierowcę „Wołgi” zabrali na milicję, tłum się rozszedł.

I Barancew przekręcił przełącznik w prawo.

... Wyszedłem z kina „Powtornyj”, podszedłem do krawężnika i jakiś czas przestępowałem z nogi na nogę. Samochody sunęły nieprzerwanym strumieniem. Wtedy zagwizdałem i ruszyłem w dół, w stronę Konserwatorium, do drugiego przejścia...

- To wszystko? - spytałem Barancewa na wszelki wypadek.

- Wszystko - ze skrucną odparł Zeńka.

- No i widzicie! - wykrzyknął profesor Stakannikow. -Zawsze w pana wierzyłem, Zawiazkin, i miałem rację. Pańskie życie płynie równiutko po linii prostej, praktycznie bez odchyień. A to jest możliwe tylko w wypadku, jeżeli psychika ma minimalna liczbę stopni swobody. Niech pan idzie dalej po tej najkrótszej drodze od punktu do punktu - tacy ludzie są nam potrzebni!

Zacisnąłem zęby, otworzyłem okno i wychyliłem się do pasa w pachnący ozonem

ciemny zaułek.

Tak, Barancewowi wypadło urządzić owację, podrzucić go do góry. To przecież wspaniały sukces, triumf! A przyznam się wam szczerze: tego wieczoru, a raczej tej nocy nie zrobiliśmy tego. Każdy z nas myślał o swoim życiu i te rozmyślenia tak nas pochłonęły, że nawet nie pogratulowaliśmy Żeńce.

On jednak wszystko zrozumiał. Kiedyśmy tak siedzieli i palili, zdjął ze ścian prześcieradła, zagotował wodę, pożyczył od sąsiadów herbatników waniliowych i rozstawił szklanki.

No i to by było wszystko. Wydaje mi się, że ta historia dobrze charakteryzuje Barancewa jako naukowca, i jako człowieka. Tak że dla mnie będzie on zawsze nie tylko wybitnym wynalazcą, ale i wiernym członkiem naszej studenckiej paczki.

Nawiasem mówiąc, spotykamy się do dziś, u Niomki. Co prawda, na te spotkania najczęściej przychodzi tylko ja: Barancew zawsze pracuje do późnej nocy, a Konstanty, nawet jeżeli przyjeżdża, to ostatnim pociągiem metra, tak że do domów wracamy pieszo. Ale Niomka i ja nie obrażamy się. Barancew - to jest Barancew. Co zaś do Konstantego, to i ja, i Niomka doskonale wiemy, gdzie spędza cały wolny czas, chociaż nigdy o tym nie rozmawiamy.

Raz nie wytrzymałem i po pracy pojechałem metrem na Lotnisko. Od razu zobaczyłem Konstantego: spacerował w oczekiwaniu po peronie, a kiedy nadjechał pociąg, rzucił się w stronę wysiadających, z napięciem wpatrując się w każdą dziewczynę. Pociągi wcióż przyjeżdżały i przyjeżdżały... Wsiadłem do jednego z nich i pojechałem do domu.

Oczywiście, nie ma żadnej nadziei, że Kostka kiedyś znów spotka tę dziewczynę. Na jego miejscu nie jeździłbym na Lotnisko. Lecz kiedy o tym myślę, ogarnia mnie dręczące uczucie oczekiwania. Na co? Sam nie wiem...

Władimir Szczerbakow
„Bawiliśmy się pod twoim oknem..”

W nocy spadł deszcz. Droga wymyta przezeń do połysku już wyschła. Wietrzyk strząsał jeszcze z drzew duże, chłodne krople, a na poboczach połyskiwały błękitne kałuże - świadectwo pierwszej wiosennej ulewy.

Sergiusz szedł szybko mrużąc oczy przed słońcem i przeciwnym wiatrem, liście i kwiaty mlecza zlewały się w tężowe plamy, a obłoki wisiały nad domami, jak kłęby białego dymu. Przystanął raz, i to na chwilę, by wypić butelkę oranżady, która kołatała się w walizeczce. Potem zostały tam tylko przybory do golenia zawinięte w ręcznik. W ciągu godziny powinien dojść do swojego domu, ale zdawało mu się, że to nieprawda, sen, że już wielokrotnie widział tę nie kończącą się wstęgę drogi, kroczył do domu szosą, trawiastymi drózkami. Zaczął szczegółowo roztrzasać powroty, ale blakły w pamięci, głosy i twarze ginęły jakby we mgle.

Co najmniej pół godziny przychodził do siebie w sali dla przybywających i jedyną twarzą, jaka utkwiła mu w pamięci, była twarz dziewczyny siedzącej przy stoliku naprzeciw. Oczywiście kogoś witała.

Teraz przyszło mu na myśl, że jej twarz była jakby znajoma, spróbował nawet przypomnieć sobie, gdzie mógł ją widzieć i nagle roześmiał się. Gdy odlatywał, pewnie nie było jej jeszcze na świecie. „Pospolita - pomyślał - sympatyczna twarz, można pogratulować temu, kogo oczekuje”. Najciekawsze, że i dziewczyna patrzyła na niego ze zdziwieniem i pytająco, jakby coś wspominając. Ale nie miał złudzeń co do swojego wyglądu - nawet jeśli znał go ktoś wcześniej, to chyba teraz go nie pozna. Z dawnego Sergiusza zostało w nim bardzo mało. Niedługo skończy sześćdziesiąt lat. Za trzy miesiące. Teraz mają pełne prawo nie dopuścić go do lotów. Powołają się na jakiś punkt regulaminu... Będzie prosił, może stawać na głowie, w odpowiedzi tylko rozłożą ręce: „Chcielibyśmy, lecz nam nie wolno, proszę, niech pan sam przeczyta”.

Miał wrażenie, że wystarczy, by odpoczął, wyspał się, bez pośpiechu ogolił, a stanie się dawnym, czterdziestoletnim, młodym, ale dostatecznie doświadczonym pilotem. Ach, to tylko wrażenie! Ale czy zechce znowu lecieć? Dobrze wie, co takiego: dni i noce, lata całe, a potem wcale nie żadne cuda, nie rajskie schronienie, nie ziemia obiecana... Tylko zobaczysz, jak rośnie daleka gwiazda, staje się podobna do Słońca, usłyszysz, jak zaterkoczą migawki kamer filmowych, włączą się przyrządy, czujniki, zabłysną światełka na tarczach dalmierzy. Oficjalnie nazywa się to badaniem przestrzeni okołogwiezdnej. Uważaj, nie gap się, cała wstecz! Było tak dwukrotnie. Tym razem tak go przyciągnęło do gwiazdy, że z trudem się wydostał.

Sergiusz o mało nie wpadł w wodę: skoczył, lecz ledwie dotarł do brzegu kałuży, była dosyć szeroka, miała dno pocięte śladami rowerów. Pachniało świeżą trawą, koniczyną, asfalt

jeszcze się naprawdę nie rozgrzał. Z żółtych mleczy wyleciały trzmiele i buczały nad ścieżką. Domy lustrami-oknami chwytaly i asfalt, i trawę, i kwiaty, i obłoki, i dlatego okna stawały się to niebieskie, to białe, to błękitne, to zielone, długim szeregiem kolorowych pól szachowych szły wraz z Sergiuszem. A wokół domów skakały, biegały, krzyczały dzieci.

Musiał uspokoić pięcioletniego chłopaka pędzącego za dziewczynką, która zabrała mu chrabąszcza. Sergiusz zatrzymał go, ale była to kropla, która przelała miarę: malec zalał się Izami. „Mój żuk... mój żuk” - powtarzał pochlipując. To on znalazł chrabąszcza na ziemi. Dziewczynka była od niego starsza. Sergiusz dał mu dużą białą muszlę. Chłopiec nie przestawał pochlipywać. Sergiusz poczekał nieco i powiedział mu, że to muszla z Marsa.

Odszedł już ze sto metrów, gdy dogonił go chłopiec z psem. W rękach wierzbowa witka; pies zatrzymawszy się nie opodal machał ogonem. Malec powiedział coś, ale cicho, i opuścił głowę dłubiąc wtką w ziemi. On też chciałby muszlę z Marsa.

- Bardzo mi przykro - rzekł Sergiusz - miałem tylko jedną... Co? Następnym razem? Nie, ja już nie polecę. Nigdy. „Jaskółka” to moja ostatnia rakietka.

Pies podbiegł bliżej i żwawiej zamachał ogonem, chłopiec wodził wtką po ziemi.

- Widzisz - rzekł Sergiusz. - Przedtem zawsze przywoziłem dzieciom z naszego domu dużo kamieni i muszli, a tym razem tak jakoś wyszło... Dawno nie byłem w domu, dzieci dorosły. No, bracie... Na mnie już czas.

Właściwie ta muszla miała być dla syna. Długo przeleżała w walizeczce, w każdym razie wracał już z nią poprzednio. Znalazł ją koło bazy na Marsie. Syn miał wtedy siedem lat. Ale w domu czekał go krótki list. Żona zabrała chłopca i odeszła. Meble i podłoga w pokojach były tak czyste, jakby je myto i przecierano dopiero wczoraj - ani pyłku. Od tego czasu żona nie dawała o sobie znać, przepadła, jak kamień w wodę. A on po jakimś czasie odleciał. Miało to trwać około ośmiu lat, a przeciągnęło się do dwunastu. Kochał żonę i dlatego nakazał sobie o niej zapomnieć. Zapomnieć syna nie zdołał.

Został wtedy sam, miał jednak nadzieję ich odzyskać, zobaczyć syna, ale nie szukał. Rozmyślił się. Czekając na odlot (miał całe dni wolne) zaprzyjaźnił się z dziećmi sąsiadów. Majstrował dla nich zabawki - skaczące zajęce i żaby, rakietki latające ponad domem, zaprzęgał motyle do malutkich pojazdów z papieru i nitek.

Wieczorami na dworze rozlegał się gwar, gdy się dzieci zbierały razem. Kto by chciał to znosić? Nie pozwalano im głośno krzyczeć, łamać gałęzi drzew, ciskać kamieniami w koty, biegać po trawnikach, wyskakiwać, trzymając się za ręce, na postój samochodowy. Mało tego. W ogóle zabroniono im bawić się pod oknami. Wszyscy prócz Sergiusza. On nie łajał, nie skarżył się ich groźnym mamom. Był zadowolony, gdy pod jego oknami urządziły głośne zabawy. Przynajmniej nie było nudno. Ale rodzice zapragnęli zepsuć nawet tę ich małą

przyjemność. Zażądali, by dzieci za każdym razem grzecznie pytały Sergiusza, czy pozwala na biegi i harce pod swoimi oknami.

I kiedy wracał do domu, dzieciaki, przerywając na chwilę zabawę, jak na komendę krzyczały: „Sergiusz przyszedł!” (Znalazły sobie kolegę!) I długonoga Elka najstarsza z nich, podbiegała do niego i pytała:

- Bawiliśmy się pod twoim oknem. Można?

..*

Zaszeleściły opony, samochód osobowy, zrównując się z Sergiuszem, zwolnił. Za kierownicą siedział mężczyzna, obok ta sama kobieta, którą widział w porcie.

- Podwieźć pana? - mężczyzna za kierownicą uśmiechnął się.

- Nie, dziękuję, mam niedaleko - odpowiedział Sergiusz.

- Możemy pana podwieźć pod sam dom - powiedziała kobieta.

- Proponowali mi już samochód w porcie, odmówiłem. Sprzykrzyły mi się maszyny, a śpieszyć się nie mam dokąd. Pan z daleka?

- Mars, Jupiter-dwa - odrzekł mężczyzna i znów się uśmiechnął.

Kobieta uważnie patrzyła na Sergiusza. Zaczynało go to denerwować.

- Ja byłem dalej - powiedział.

- Wiemy - powiedziała kobieta. - Zatęsknił pan za domem?

- Ani trochę. Zapomniałem, gdzie stoi.

- A ty? - spytała towarzysza. - Nie zapomniałeś?

- Nie - odrzekł tamten - ale nie musiałem sobie tego przypominać, obiecałaś przyjechać po mnie.

Odjechali. Starał się przypomnieć sobie, gdzie ją wcześniej widział. Czy widział?

...Szedł swoją ulicą, z daleka poznał przedostatni dom przy skrzyżowaniu. Odnalazł swoje okna, wszedł na podwórko. Dom pozostał taki sam, chociaż nie całkiem, też jakby się zestarzał. Drzewa, które sadzono jeszcze w jego obecności, porządnie urosły, toteż budynek wydawał się nieco niższy.

Tam, na podwórku na ławce, jakby na niego czekając, siedziała kobieta, z którą rozmawiał po drodze. Zauważyła go, ukloniła się, coś powiedziała... i wtedy zobaczył dzieci biegnące ku niemu. Sergiusz przystanął. Poznał. Wreszcie dwie twarze zlały mu się w pamięci. Elka ze skakanką pod jego oknem... Elka z króciutkimi warkoczykami i długimi nogami? Czyżby go pamiętała? W niepewności przenosił wzrok z niej na jej męża, na dzieci podbiegające do niego. Należało coś powiedzieć, chociażby zwykłe pozdrowienie. Wiedział, że im dobrze, wesoło.

- Dzień dobry, Sergiusz! - krzyknęły dzieci. - Bawiliśmy się pod twoim oknem!

..*

Obudził go dzwonek. Z początku nie rozumiał, czego od niego chcą. Drzewa, krzewy, ludzie, samochody na dalekiej szosie - wszystko, co zdążył zobaczyć przez okno ledwie uchyliwszy powieki, wydawało się dalszym ciągiem snu, którego początek zacierał się w odległym dzieciństwie, i wtedy jak dzisiaj byli ludzie, twarze, niebo zasnuwane chmurami. Łagodne światło w pokoju. Kroki za drzwiami, w kuchni. Głos ni to babki, ni to matki. Rano. Dzwonek. Pora do szkoły. Przynaglają go. Prędeej, prędeej, spóźnisz się!... Ach, jak nie chce się wstawać, jeszcze minutkę! Ale troskliwa babcia bezlitośnie zrywa kołdrę.

Póki się nie ubrał, ktoś niecierpliwie przyciskał guzik dzwonka. Z ulicy dochodziły głosy, cichy warkot silników, dalekie syreny.

Sergiusz otworzył drzwi, zaprosił do środka. Gość zwlekał, jakby z niepewności, potem spieszenie wszedł do pokoju i po krótkich wyjaśnieniach przystąpił do rzeczy.

- Widzi pan - zaczął - niejasne są pewne szczegóły dotyczące pańskiego przylotu. Być może to dziwne, ale muszę się czegoś od pana dowiedzieć. Nazywam się Wolin, pracuję na kosmodromie.

- Niech pan pyta - rzekł Sergiusz.

- Czy pamięta pan dokładny czas lądowania?

- Dziesiąta dwadzieścia.

- Lądował pan w rakiemie „Jaskółka”?

- Tak, w „Jaskółce”.

- Numer lądowiska?

- Stanowisko numer dziewięć. Coś się stało?

Wolin milczał, widocznie zbierając myśli. Sergiusza denerwował jego ton, chociaż rozumiał, że Wolin przybył tu z ważnych powodów. Dlaczego przyszedł nie umawiając się wcześniej przez telefon? Domyślał się, że gość chciał się pojawić nieoczekiwanie, bez uprzedzenia.

- O co chodzi? - spytał znowu Sergiusz.

- O to - powoli zaczął Wolin - że stanowisko numer dziewięć jest puste.

- Gdzie rakieta?

- Nigdzie. Nie ma jej. Znikła.

- Żartuje pan... Niech jej pan poszuka w mojej walizce!!!

- To zbyteczne. Rakiety w ogóle nie było.

- Jak to nie było?

- „Jaskółka” nie wylądowała.
- Wobec tego - wróciłem na piechotę?!
- Pan powinien lepiej wiedzieć.

Dziwne uczucie ogarnęło Sergiusza. W głowie kołatały się strzępy wspomnień, wrażeń, myśli. Uważnie patrzył na Wolina, jego twarz stała się odległa, głos też dochodził jakby z daleka. Jeszcze po wczorajszym kołowało mu w głowie, gdyby go nie zbudzono, zapewne spałby jeszcze długo, Wysiłkiem woli Sergiusz pokonał resztki snu. Twarz Wolina zbliżyła się. Skupiony i uroczysty, rozmyślnie niecierpliwie gestykułując, Wolin zdawał się badać Sergiusza. Jego uważne oczy były półprzymknięte. Właśnie takie, na razie przyczajone, gotowe błyskawicznie zmienić bieg wydarzeń, momentalnie spożytkować całą siłę i wiedzę.

- Proszę tylko pomyśleć - powoli mówił Wolin. - Przylatuje kosmonauta. Przynajmniej rano przez przypadek wiadomo, że dotarł do domu. Rakieta znika. Poszukiwania śladów lądowania - bez rezultatów. Fizyczna i chemiczna analiza powierzchni lądowiska wskazuje na to, że nie było w ogóle żadnej rakiety. Nikt nie zarejestrował lądowania. Nikt nie spostrzegł statku. Żaden człowiek, żaden radiolokator. Jakież domysły, wyjaśnienia? Żadnych. - Wolin przerwał odwracając się tyłem do rozmówcy.

Sergiusz wsłuchiwał się jak gdyby w jego wieloznaczne milczenie. Zupełnie nieoczekiwanie zatrząśł nim śmiech. Zgubić raketę? Co oni, zwariowali, czy co? Powstrzymując uśmiech zwrócił się do Wolina.

- To znaczy, że „Jaskółka” nie lądowała? Jedziemy do portu.

...Sergiusz wszedł na lądowisko. Wolin zatrzymał się przy niskiej balustradce. Był zwykły dzień powszedni. Nie opodał, w odległości około stu metrów, pracownicy w kombinezonach sposobili do startu czyjaś raketę. Dochodziło stamtąd elektryczne brzęczenie i przenikliwe metaliczne dźwięki.

Spomiędzy płyt kosmodromu przebijała się zakurzona trawa. Z rur generatora dmuchało rozgrzane powietrze. Drżąca wstęga odległego szarego lasu ginęła za horyzontem. Lądowisko numer dziewięć było puste. Wiaterek turlał po betonie kłęby słomy.

Sergiusz zrozumiał, że okoliczności wciągnęły go w sam środek niewyjaśnionych wydarzeń. Ale gdzie ich początek? Uważano go za zaginionego. Nieoczekiwane zejście z ustalonej trajektorii - i statek rzuciło ku gwiazdzie. Czerwone fontanny protuberancji widział całkiem blisko, niemal jak ten las na horyzoncie. Rozżarzony gwiazdny wiatr gnał za rufą świecące obłoki, gorące, wijące się wiry jakby w dyszącym zarem piecu osmały złocistego węża. Czy można samo to wrażenie uznać za pierwsze ogniwo tego łańcucha zdarzeń? Oczywiście nie. Wszak świetnie pamiętał, ile go to kosztowało. Przeżył, ponieważ wytrzymał przeciążenie.

Lecz co dalej? - ten zaginiony statek... Sergiusz przypomniał sobie, jak Wolin odnalazł chłopca, który prosił o muszlę. Właściwie nie było trudno go znaleźć. Sergiusz mniej więcej pamiętał dom, miłego białego pieska znała cała okolica. Chłopiec od razu poznał Sergiusza. Gdy Sergiusz próbował półzartem opowiedzieć mu rozmowę z Wolinem o statku (nie opuścił go jeszcze wesoły nastrój, po drodze kpił sobie z Wolina), malec wytrzeszczył oczy. „Zupełnie naturalna reakcja” - rzekł jakby do siebie Sergiusz. Wolin nabrał wody w usta.

Mimo wszystko wersję o nieporozumieniu należało odrzucić. Rakiety nie było na żadnym lądowisku. Sergiusz szedł właśnie powoli ku miejscu, gdzie wczoraj zstąpił z trapu na ziemię. Wolin coś krzyknął i zamachał rękami.

- Co, co? - pytał nie zrozumiawszy Sergiusz.

- Niech pan wraca - usłyszał. - Nie wolno chodzić po lądowisku!

..*

Stół z ciemnego drewna, dwa czy trzy krzesła, półka z książkami na całą ścianę, okno otwarte na oścież - to cały gabinet profesora. Sergiusz zatrzymał się przy drzwiach, profesor Kopnin podsunął krzesło, przeproszał za nieporządek, ukradkiem strząsnął na arkusz papieru niedopałki nie mieszczące się w popielniczce, zapalił światło („Jak szybko ściemniało, nie zauważyłem”), rzucił spod okularów roztargnione spojrzenie na Sergiusza i odezwał się cichym, spokojnym głosem:

- Wie pan, przeliczyliśmy trajektorię według pańskich danych. Pozostawało zaledwie dwadzieścia tysięcy kilometrów do fotosfery, „Jaskółka” musiała nieuchronnie zderzyć się z gwiazdą, rozumie pan? Spłonąć, zniknąć. Jak pan tego uniknął, niechże pan opowie!

Sergiusz coś odpowiedział. Cóż mógłby mu opowiedzieć? Czy można opowiedzieć o latach nadziei i niepokojów, o miłości, o śmierci, o życiu? O minutach oczekiwania? O wywalczonych sekundach i metrach, które darowały mu życie? i jak dygoczą nerwy niby napięte struny, jak zaciskają się dłonie, aż bieleją kostki palców? Przecież słowa nie przekażą wspomnień w pełni.

Dla objaśnienia tych wydarzeń Kopnin skonstruował całkiem skomplikowaną hipotezę. Powoływał się przy tym na niedawne badania astrofizyczne widm spektralnych gwiazd.

- Niech pan sobie wyobrazi kroplę i ocean - wyjaśniał Sergiuszowi. - Kroplę poznaliśmy, zważyliśmy i zdumiewa nas wszechmogąca przyroda, tworząca takie arcydzieło. O oceanie zaś wiemy beznadziejnie mało i dlatego wydaje się nam tylko dużym bajorem, w najlepszym razie mechanicznym zlepkiem mnóstwa kropli. Kropla - to Ziemia. Ocean - gwiazda. Niektórzy myślą, że gwiazda - to niemal wieczne skupisko strzępków atomów, coś

w rodzaju gigantycznego ogniska czy kotła, w którym nie sposób znaleźć całej molekuly. Częściowo to prawda, ale tylko częściowo.

W rachubach nie wolno ignorować ewolucji. Czemuż to w jednej jedynej kropli są góry i równiny, ludzie, rakiety, miłość, tamy, rewolucje, sztuczna synteza jądrowa, matematyka? W oceanie - nic. Czy jest to tak oczywiste?

Sergiusz słuchał z roztargnieniem. Zaprzagnął podejść do otwartego okna i pomilczeć. Teraz, gdy nad stołem płonęło łagodne światło, a na ulicy cichł miejski gwar i krzewy, trawy, drzewa pachniały młodymi liśćmi, Sergiusz naprawdę się rozkoszował. To jego drugi wieczór na Ziemi. Szosą płynęły ogniki. Czerwone, żółte, zielone. Nad rozgrzaną ziemią drgały gwiazdy.

Nie docierały do niego słowa profesora. Bardzo chętnie porozmawiałby z nim o kwiatach i jabłoniach, o starym domu, w którym mieszkał w dzieciństwie, o kinie, książkach, wędkarstwie, lecz za każdym razem Kopnin kierował rozmowę na interesujący go temat. Według jego słów nukleony i elektrony, te cegiełki, z których zbudowana jest rzeczywistość, mogą się tak ułożyć, że ich kombinacja będzie trwała, zdolna stawiać opór ognistemu huraganowi gwiazdy, i raz powstawszy nie znika, nie roztopia się w ogniu, bo sama podobna jest do wiru, do gorącego cyklonu, Taki wir pojawia się zupełnie przypadkowo, prawdopodobieństwo jego powstania jest znikome. Ale przecież gwiazdy istnieją miliardy lat, ich masa... czy warto przypominać to Sergiuszowi? Liczby świadczą o tym, że takie stałe wiry nie są fikcją. Energię, nowe siły czerpią ze strumienia radiacji.

Profesor Kopnin rozwijał dziwną hipotezę. Powołując się na fakt materialnej genezy myśli formułował śmiało postulaty. Ruchliwe jony, potencjały elektryczne, bioprądy - oto na czym polega myślenie. Także rój cząstek elementarnych o ogromnej energii, ze strukturą precyzyjnie uformowaną przez gigantyczne siły, z arcyprędkimi neutronami, według Kopnina był nie mniej odpowiednią substancją odżywcza dla myśli.

Kopnin wręczył Sergiuszowi kopertę. Ten spojrzał zdziwiony.

- Tam są zdjęcia, niech pan obejrzy.

Sergiusz wydobyl dwie fotografie - dużą i mniejszą. Na dużej zobaczył gwiazdne niebo, w prawym górnym rogu słabo świecąca plamkę. Na małej - tę samą plamkę powiększoną.

- To przypadkowe zdjęcia - rzekł Kopnin - zrobione dokładnie pięć godzin przed pańskim przylotem.

- Aa... To wir, o którym pan mówił? Już pan nie myśli, że obeszło się bez rakiety?

- Dla mnie to niemal oczywiste.

- A tlen, a cała reszta?

- E, drobiazg! Z jednego litra nukleonów i elektronów można zrobić tyle tlenu, że starczyłoby dla całej ludzkości.

- Zgoda, ale trzeba umieć je odpowiednio ścisnąć.

- Jak widać, im się to udaje.

- Żywe wiry? Na gwiazdach? Przenoszące kosmonautę na Ziemię? Sądzę, że do tego potrzebna jest im co najmniej umiejętność czytania myśli, a to nie takie proste - analiza bioprądów mózgu. Czyżby pan w to wierzył?

- Wierzę w fakty - sucho odrzekł Kopnin.

- Dobrze. Gdyby się nawet coś podobnego zdarzyło, dlaczego nic a nic nie pamiętam?

- To już sprawa techniki. Sugestia, hipnoza - cokolwiek. Tędy droga, rozumie pan?... Po co?... Na przykład po to, by nie naruszyć psychiki. Pańska rakietka to tylko iluzja. Nie było jej. Sprawdzano dokładnie... Co? I pana, i raketę? Przeniesienie statku jest znacznie trudniejsze - chociażby z powodów ekonomicznych.

Sergiusz gorączkowo szukał kontrargumentów. Wszystko, co usłyszał budziło w nim sprzeciw. Oznaczałoby, że zawdzięcza komuś życie? Ale komu?

- Dobrze - powiedział - niech sobie będą tacy przenikliwi. Założywszy to łatwo dojdziemy do sprzeczności. Ja nie chciałem samego powrotu. Chciałem zobaczyć syna. Na czym im zależało? Jeśli mimo wszystko ma pan rację, byłaby to dla nich drobnostka, a ja... jak mam go teraz znaleźć? Widziałem go, gdy skończył dwa lata, rozumie pan? Żona z pewnością nie opowiadała mu o ojcu... W jaki sposób dowiedzieliście się tak szybko o moim powrocie? Rakietka nie wylądowała. Uważano, że zginąłem, nieprawdaż? Wyłącznie Elka mnie tutaj pamięta. Była dziewczynką, gdy odlatywałem, a poznała.

- Dowiedzieliśmy się od jej męża. Słyszał o panu od niej i chciał pomóc - wybawił pana od żmudnych formalności. Wrócił tegoż dnia rano, przyjechał do portu, załatwić swoje sprawy, a zarazem i pańskie, aby zbytecznie pana nie niepokoić... No tak. Syn. Nie wiedziałem, że ma pan syna. A ten, jak on... Dobrow, Włodzimierz Dobrow, jej mąż, wrócił przed czasem - zawiódł główny reaktor. Bez żadnych widomych przyczyn. Dwa niespodziewane lądowania jednocześnie - przypadek w naszej praktyce nader rzadki... Pan chce o coś spytać?

- Tak. Ten Dobrow - od dawna lata?

- Nie. Wrócił z pierwszego lotu. Matkę pochował dziesięć lat temu, ojca nie pamięta. Jest ciekawym młodym człowiekiem...

Sergiusz odwrócił się tyłem do zdziwionego profesora i rozpiął kołnierzyk koszuli, jakby się dusił.

- Jak pan mówi? Włodzimierz Dobrow?

..*

Znowu, któryś raz z rzędu, wypływały w jego pamięci: kobieta z dzieckiem na ręku, śmiech, płacz, uśmiechy, łzy dawnych dni. Oto ona, Elena Dobrowa, jego żona - starczy tylko poddać się wspomnieniom i znowu widzi ją jak żywą. Oto jej ręce, całkiem blisko, teraz podnosi oczy...

Za późno wrócił.

Myślał, że zapomni, i, żeby lepiej zapomnieć, poleciał. Niekiedy wstrząsał nim ledwo dostrzegalny szloch. Przez wszystkie te lata wkradała mu się do snów. i wtedy znowu jakby brnął po pas w trawie. Gdzieś obok był znajomy głos. Żółte brzegi chmur o zachodzie słońca. Cienie krzaków na wilgotnej ziemi.

Ukrywszy twarz w dłoniach Sergiusz znowu wspominał wszystko szczegółowo, bojąc się uwierzyć, bojąc się zbłądzić. Powrót. Chłopcy na ulicy. Elka, Wolin. Rozmowa z profesorem. Włodzimierz Dobrow. To nazwisko matki. Nadzwyczajny zbieg okoliczności, zrządzenie losu? Nie, wykluczone. Przecież wrócili jednocześnie. Kopnin ma rację.

Chwyciwszy głowę rękoma Sergiusz starał się stawić czoła napierającej fali skojarzeń. Nie zdołał. Myślał o synu. Do głowy by mu nie przyszło... Chociaż podobny do matki.

Ich dzieci - jego wnuki, czy to możliwe? Zapragnął ich zobaczyć, ale na dworze była już noc. Zaczął przypominać sobie twarze. Rysy były znajome, bliskie, a jednak mu się wymykały, zacierały, topniały. Wzrok napotykał w ciemności za oknem tylko błyski reflektorów, od których rozchodziły się mgliste łuny.

Władimir Szczerbakow

Czytelnik

Wczesnym rankiem poszedł na pole raketowe i wrzeszczał przy drucianym płocie do ludzi w mundurach, że chce lecieć na Marsa.

Ray Bradbury, Kroniki marsjańskie

Była słoneczna środa. Podeszedł do domu pisarza. Ogromne, szare od kurzu buty głucho uderzały o stopnie. Prawym łokciem oparł się o drzwi, lekko się zachwiał i zaczął nieprzerwanie dzwonić.

- Wyjdź, Bradbury, muszę z tobą porozmawiać! -grzmiał. - Nie myślisz chyba, że jestem pijany? No, wychodź... To ty mnie uwiodłeś swoimi bajkami, otumanieś, kiedy byłem mały. Gdybym nie pożerał twoich książek, czy by mi przeszło przez myśl lecieć na Marsa, zostać kosmonautą? Nie. Spokojnie biegałbym za piłką, potem, w najgorszym wypadku, zostałbym lekarzem, a w odpowiednim wieku ożeniłbym się... spokojna głowa !

Dzwonił - dom odpowiadał milczeniem, prawdopodobnie nie było w nim żywej duszy, ale nie tracił nadziei. Groził, prosił, żądał, błagał. Dlaczego dotychczas drzwi się nie otwarły? Jutro musi lecieć tam, gdzie tkwił kołkiem przez dwanaście lat. Nic przyjemnego. Piaszczyste wydmy, stustopniowy mróz. A tu nie ma z kim pogadać. Dopiero co żona szkolnego kolegi delikatnie wyprosiła go z domu. A on chciał się napić kawy. Może rzeczywiście za głośno rozmawia? To przyzwyczajenie - lekarze mu tak poradzili, żeby tam, w piaskach, nie stał się niemową. Nikomu źle nie życzy, tylko nie ma z kim pogadać, przed kim się wyzalić. Może Ray wybrał się na rowerową przejażdżkę? Poczekaj. Opowie coś. Wcale nie o cudach. Tam nie ma cudów - głodno i chłodno. Kiedyś w powrotnej drodze jedli skórzane fotele lotnicze. Pomarli wszyscy co do jednego, bo skóra okazała się marną syntetyczną imitacją. Potem... znowu poleciał, musiał. A teraz nie może zostać, chciałby, lecz nie może. Ciągnie go tam. Tu go zapomnieli, rodziny nie zdążył założyć. Gdyby nawet miał żonę, czy by wytrzymała? Nie odeszła?

Ale o co chodzi? Dlaczego Bradbury nie chce porozmawiać z żywym kapitanem Yorkiem? Gdzie on się kryje? Może się zdrzemnął? On go obudzi. Skoro dzwonek za cichy, to postuka w okno, uderzy kamieniem w szybę. Jeden, drugi. Niech Bradbury wstanie na chwilę, niech go wysłucha. Cóż w tym haniebnego, że wypiją po filiżance kawy? i niech mu wybacz, przywykł do nietłukących się szyb.

- Muszę porozmawiać, jutro odlatuję. Nie można odkładać!

Krzyczał i mówił bez przerwy. Chciał pogadać o przyjaciółach, o lotach, o piaskach Marsa. Odłamki szkła spłoszyły kosmate trzmielce buszujące w żółtych kwiatach pod domem. Podeszło dwóch policjantów.

- Spójrz na niego - rzekł pierwszy. - Jeszcze jeden. Istna epidemia.

- A może to prawdziwy - spytał drugi. - Z Marsa?

- Z byka spadłeś? Bierz go, tylko ostrożnie.

I podniósł pałkę. Ale kosmonauta odwrócił się i wybił mu zęby. Zjawił się samochód policyjny. Do końca dnia było cicho i pogodnie.

Aleksander Żytinski
Efekt Brumma

Rozdział 1.

Piszę list

Właściwie w cuda nie wierzę. Oduczono mnie jeszcze w szkole. Wierzę w naukę i w świetlaną przyszłość. A jednak czasem cuda się jeszcze zdarzają i trzeba się z nimi liczyć.

Mówiąc krótko, pewnego razu znalazłem na swoim biurku list od szefa. Szef lubi ze mną korespondować. To znaczy pisze wyłącznie szef, a ja czytam. Szef często przesiaduje w laboratorium do późnych godzin i wtedy przychodzą mu do głowy różne myśli. Rano je studiuje. „Pietia! Zastanów się, czy nie należałoby wyjaśnić anomalii w obszarze podczerwieni międzystrefowym rozproszeniem.” Albo coś w tym rodzaju.

Przeważnie nie reaguję zbyt pośpiesznie na pomysły szefa. Nigdy nie wiadomo, a nuż to zwyczajne zawracanie głowy? Szef często sam tak mówi. A raczej krzyczy, wbiegając do laboratorium: „Wszystko, co wczoraj wymyśliłem - zawracanie rzeki kijem”. Po co zawracać kijem rzekę - pojęcia nie mam. Normalne zawracanie głowy, i to nie najgorsze.

Ale tym razem było coś nowego. Na biurku leżała koperta zaadresowana fioletowym atramentem. Zamaszyście napisany adres naszego instytutu, a zamiast nazwiska adresata widniało po prostu: „Najważniejszy naczelnik”. Ni mniej, ni więcej. Do listu spinaczem była przyczepiona karteczka z dyspozycjami:

„Pimenow. Zbadać sprawę.” Podpis rektora.

„Turczin. Sprawdzić, o co chodzi”. Podpis Pimenowa.

„Żołdadze. Odpowiedzieć w ciągu tygodnia”. Podpis Turczina.

„Barsow. Nic nie rozumiem. Mam co innego na głowie”. Podpis Żołdadze.

„P. Wierłuchin. Pietia, na miłość boską, zorientuj się w tym wszystkim i napisz odpowiedź”. Podpis szefa.

Wierłuchin - to ja. Niżej ode mnie w hierarchii służbowej naszego instytutu jest już tylko kosz na papiery. Dlatego nie napisałem kolejnej dyspozycji, tylko przeczytałem list. List mnie zainteresował.

Tym samym fioletowym charakterem pisma list informował, że jego autor odkrył prąd elektryczny w kutym żelazie. W nawiasie sprecyzowano „podkowa”. Wynalazca podgrzewał podkowę nad świeczką, co powodowało przepływ prądu, i to bardzo silnego, w obu kierunkach. Tym prądem autor listu ładował akumulator motocykla, a potem jeździł na nim pół roku. Co, jak się okazuje, potwierdza teorię Brumma. Autor prosił o powtórzenie eksperymentu i wydanie opinii, która jest niezbędna do otrzymania patentu.

Na dole był adres. Wieś Kogutki Górne. Obwód Jarosławsk. Wasilij Fomicz Smirny.

Jedno tylko pozostało dla mnie niejasne. Skąd w Kogutkach Górnych znają teorię Brumma. Ja, na przykład, nie miałem o niej pojęcia.

Wziąłem podręcznik. Teorii Brumma brak. Zajrzałem do encyklopedii fizyki. Na literę B. po Maxie Bornie znalazłem hasło: Hans Fryderyk Brumm, zmarły, jak się wyjaśniło, dwieście dwanaście lat temu. Coś tam wykoncypował w swojej klasztornej celi, ponieważ był mnichem i, zdaje się, nawet alchemikiem. Później to wszystko zostało oczywiście wyszydzone i na jego teorii postawiono krzyżyk. A Wasilij Fomicz zamierza ten krzyżyk unieważnić. O ile dobrze zrozumiałem.

Sprawa była nadzwyczaj prosta! Z miejsca usiadłem i napisałem: „Szanowny towarzyszu Smirny! Ponieważ tacy wybitni uczeni jak Maxwell, Hertz i inni odrzucili teorię Brumma jako nienaukową, nie możemy przyjąć pańskiej propozycji. Najwidoczniej w czasie doświadczeń musiał pan popełnić jakieś błędy”.

Jednym słowem „coś takiego nie istnieje, ponieważ w żadnym wypadku istnieć nie może”. Załatwiłem Smirnego w pięknym stylu, a przy okazji jeszcze raz przygwoździłem Brumma !

Następnie wypisałem pełny rejestr podpisów i tytułów naukowych z wymienieniem zajmowanych stanowisk. Wyglądało to imponująco. Rektor instytutu, członek korespondent. Prorektor, profesor, i tak dalej. A na dole skromniutko - młodszy pracownik naukowy Piotr Wierluchin.

Zaniósłem list maszynistce i usiadłem zadowolony z siebie i swojej działalności. Kiedy przyszedł szef, krótko zameldowałem mu o Brummie i szef się uśmiechnął. Nawiasem mówiąc on również słyszał o Brummie po raz pierwszy - poznałem to po jego oczach.

Gdyby wiedział, którym bokiem wyjdzie nam ten Brumm, toby się nie uśmiechał.

W tym momencie wszedł Lisocki. Lisockiego wszyscy traktują u nas poważnie. Lisocki bez przerwy pisze doktorat. Kiedy jeszcze byłem studentem, już wtedy słyszałem, że Lisocki pisze. Kiedy wreszcie napisze, będzie to coś wstrząsającego. Coś w rodzaju „Wojny i pokoju” Lwa Tołstoja. Na posiedzeniach Lisocki zawsze powołuje się na trudności. Za to go właśnie szanują. Wszyscy są zachwyceni, że człowiek już dziesięć lat przewycięża trudności i że mu się do tej pory nie znudziło.

Lisocki ma fenomenalny węch. Jeśli w dowolnym laboratorium obchodzą czyjeś urodziny, zawsze tam wpada i prosi o tablice matematyczne. Po co mu te tablice, nie wiadomo. Oczywiście trzeba go poczęstować, inaczej nie wypada. Lisocki pije wytrawne wino oraz kawę, zjada ciastko, potem zabiera tablice, przeprasza, wychodzi. Tym razem, jestem pewien, też nieprzypadkowo zajrzał.

- Co nowego w kwestii podczerwieni? - zapytał Lisocki. Jest mu dokładnie wszystko

jedno, czy chodzi o podczerwień, czy o ultrafiolet, wiem o tym dobrze. Ale jakoś musi zacząć.

No i szef powiedział o Brummie. Dla hecy oczywiście. Lisocki również się pośmiał, chwilę porozmawiał o telepatii, a wychodząc wziął encyklopedię fizyki. Powiedział, że chce odświeżyć w pamięci pierwszą zasadę termodynamiki.

Laborantka Nela przyniosła mi list przepisany na firmowym blankiecie, szef i ja złożyliśmy podpisy i przesłaliśmy do Kogutków Górnych w charakterze oficjalnego dokumentu.

List odszedł, zdążyliśmy o nim zapomnieć. Wszystko szło swoją koleją. Wrócił z wykładu Sasza Rybaków i przyssał się do swojego oscylografu. Gena, drugi asystent, zarządził dla swoich studentów kolokwium z fizyki ciota stałego, a ja, żeby było ciekawiej, podrzucałem studentom ściągaczki. Gena siedział bardzo zadowolony, że grupa tak dobrze opanowała materiał. Bez przerwy kiwał głową i myślę, że go rozboleła.

Pod koniec dnia pracy Brumm znowu wypłynął na powierzchnię, nie wiadomo, z jakiej okazji. Okazało się, że Sasza Rybaków słyszał o efekcie Brumma. Zresztą Sasza słyszał o wszystkim, tak że nie ma się czemu dziwić. Na moment oderwał się od oscylografu, przetaił okulary i powiedział:

- Jeszcze się przez niego napłaczesz. To bardzo chytra teoria.
- Też coś - powiedziałem. - Ta teoria dawno leży w grobie.

Sasza chrząknął i popatrzył bez okularów gdzieś w dal. Najwidoczniej w osiemnasty wiek, na miasto Kolonię, w którym żył kiedyś Hans Fryderyk Brumm.

Rozdział 2.

Przeprowadzam eksperyment

Po trzech tygodniach historia z Brummem weszła w nową fazę. Szef przyszedł do pracy ponury i długo przekładał na stole papierki. Pomyślałem nawet, że znowu nie przyjęli go do spółdzielni mieszkaniowej. Okazało się, że nie o to chodzi.

- A więc tak, Piotrze Nikołajewiczu - powiedział szef. To spodobało mi się jeszcze mniej. Zwykle nie zwraca się do mnie tak oficjalnie.

Szef wyjął z aktówki kartonową teczkę, a z teczki papiery. Od razu zauważyłem na samym wierzchu list ze znajomym fioletowym charakterem pisma, i koperta była identyczna „Powinszowania z okazji ósmego marca!” A na świecie, jeśli już o to chodzi, mamy obecnie wrzesień, Tym razem do listu było przypięte pisemko z gazety rejonowej. Nie licząc

dyspozycji rektora itp. Tyle, że dyspozycje były w tonie kategorycznym.

Szef w milczeniu położył to wszystko przed moim nosem i zapalił papierosa. Czuję, jak z wolna się nagrzewa. Niczym kocioł parowy. Następnie szef podskoczył na krzesło i rąbnął pięścią w stół, wskutek czego fioletowe litery skoczyły gdzieś w bok.

- Przerażające! - krzyknął szef. - Ciemnogród! Nie mam życzenia zajmować się alchemią!

- Nie szkodzi, szefie - powiedziałem - wszystko w życiu się przydaje. Niech pan się tylko nie denerwuje, na pewno to załatwimy.

- Bardzo cię proszę, Pietia - poprosił szef. - Odpisz mu jakoś łagodnie. Coś mu obiecaj.

- Na przykład pośmiertną sławę - zaproponowałem.

- W żadnym wypadku! - przeraził się szef. - Najlepiej jakiś przyrząd. Powiedzmy amperomierz... O Boże! - szef nerwowo zaczął biegać po laboratorium. Zawsze wszystko bierze zbyt do serca.

W piśmie z gazety pouczono nas, że z niedopuszczalnym lekceważeniem potraktowaliśmy list człowieka pracy. Okazuje się, że sami powinniśmy empirycznie sprawdzić efekt Brumma, zamiast zasłaniać się jakimś tam Maxwellem.

- Brumm-brumm-brumm... - zanucił szef na melodię marsza.

- On tu cytuje Engelsa - powiedziałem zaznajomiwszy się z listem Wasilija Fomicza do redakcji gazety rejonowej.

- Brumm-brumm-brumm! - jeszcze głośniej zanucił szef. Odłożyłem na później swoje doświadczenia i zająłem się eksperymentem Wasilija Fomicza. Przede wszystkim należało zdobyć świeczkę. W katedrze świeczki nie było, ponieważ wyszły z użycia. Gen poradził mi sklep, a Sasza cerkiew. Z instytutu jest bliżej do cerkwi niż do sklepu, więc wybrałem cerkiew.

Cerkiew jest czynna w bardzo dziwnych godzinach. Czasami jest zamknięta przez cały dzień, a czasem otwarta nawet w nocy. Miałem szczęście, cerkiew właśnie była czynna. Przed wejściem jakaś staruszka handlowała świeczkami. Świeczki były cienkie jak makaron i piekielnie drogie. Kupiłem pięć sztuk i staruszka przeżegnała mnie znakiem krzyża.

Z podkową sprawa wyglądała znacznie gorzej. Po prostu nie wyobrażałem sobie, gdzie w mieście można dostać podkową. Zadzwoniłem do informacji miejskiej, ale mi naubliżali za rzekome chuligaństwo. Wobec tego zamówiłem podkową w warsztacie mechanicznym. Majster Fiedia, specjalista od wydmuchiwanie szklanych naczyń, narysował mi z pamięci szkic podkowy. Fiedia pochodzi ze wsi. Zrobiłem techniczny rysunek, według wszelkich zasad, w trzech rzutach i w przekroju też. Jak trzeba. Wypisałem zlecenie i

zacząłem czekać.

Trzy dni biegałem do warsztatu, żeby dopilnować realizacji zamówienia. Wreszcie podkowa została wykonana.

- Ten twój koń ma tylko jedną nogę, czy co? - zapytał ślusarz.

- Reszta to protezy - wyjaśniłem.

- Ogier, czy kobyła?

- Raczej ogier.

- Biedne zwierzę - powiedział ślusarz.

Przyniosłem podkowę na katedrę i przystąpiłem do eksperymentu. Pokój był pełen ludzi. Szef, żeby się nie denerwować, poszedł do biblioteki. Czuję, że nie jest zupełnie pewien, jaki będzie wynik. Lisocki chodził i rzucał ironiczne uwagi na temat podkowy. Ale schemat przestudiował nader uważnie. Umocowałem podkowę na statywie, przy-lutowałem do niej przewody, podłączyłem amperomierz i zapaliłem świeczkę. Ze świecą w ręku przypominałem pana młodego. Na miejscu panny młodej stał Lisocki.

- Należy odśpiewać marsza weselnego - zaproponował Sasza.

Przysunąłem płomień świecy do podkowy i zacząłem ją nagrzewać. Strzałka aparatu drgnęła i przesunęła się o jedną podziałkę.

- Prąd termoelektryczny - skonstatował Lisocki.

Sam wiedziałem. Żadnym Brummem tu nawet nie pachniało. Zużyłem trzy świece nagrzewając podkowę w różnych miejscach. Podkowa straciła połysk, zakopciła się i wyglądała żałośnie. Jak mocno zużyta podkowa.

- Figa z makiem - stwierdził Sasza Rybaków i powrócił do swojej aparatury.

- Czego należało oczekiwać - rozległ się głos szefa, który wszedł i nie zauważony przez nikogo obserwował przebieg doświadczenia.

- Dajcie lutownicę - zażądał Lisocki.

- Nie przeszkadzaj w eksperymencie - powiedział szef.

- Dajcie lutownicę! - krzyknął Lisocki.

Dostał lutownicę i w ciągu dziesięciu sekund rozżarzył podkowę do białości. Przewody odpadły, a rezultat nie uległ zmianie.

- Podkowa, jest niewłaściwa - oświadczył Lisocki. - Ersatz, a nie podkowa. Potrzebna jest prawdziwa, prosto od konia. Z kopyta, że tak powiem.

- Dosyć tego! - powiedział szef. - Pietia, napisz uprzejmy list. Załącz schemat doświadczenia. Obiecuj mu amperomierz. Nie zapomnij zakończyć: „pozostajemy z szacunkiem...” To zbrodnia! Zmarnować tydzień czasu na jakiegoś Brumma! A jeżeli ten Fomicz jutro oświadczy, że ziemia ma kształt obwarzanka? To też będziemy sprawdzać

doświadczalnie? Tak?

- Poczekajcie - zagadkowo powiedział Sasza Rybaków. - To jeszcze małe piwo.

Lisocki wyżebrał podkowę i zabrał ją do swojego laboratorium. Powiedział, że na szczęście.

Znowu napisałem list do Kogutków Górnych. Do Wasilija Fomicza zwracałem się per „kolego”, zużyłem ogromną ilość terminów naukowych, całość uzasadniłem teoretycznie przy pomocy wielu skomplikowanych wzorów. Wypisałem nawet równanie Schrödingera, chociaż nie miało ono nic do rzeczy. Po to, żeby Fomicz dłużej siedział nad tym listem. Przeczuwałem już, że walka będzie długa. Szef przeczuwał to również.

- Pietia, przestuduj dokładnie tego Brumma - powiedział. - Żeby w razie czego nikt nas nie zahaczył.

Następnego dnia poszedłem do działu starych rękopisów biblioteki publicznej i wypożyczyłem oryginał. Brumm pisał po łacinie. Z tym jeszcze sobie poradziłem. Ale podstawy jego teorii były całkowicie mistyczne. Na przykład twierdził, i to zupełnie poważnie, że prąd elektryczny jest jedną z form istnienia szatana, i że święty ogień zmusza szatana do biegania wzdłuż przewodu i krzesania iskier. W jaki sposób szatan może ładować akumulatory, Brumm nie pisał.

I tak dalej.

Zdołałem przestudiować dopiero jeden traktat z czternastu, gdy Wasilij Fomicz zdążył wykonać następny ruch.

Rozdział 3

Wyruszam w podróż

Tym razem Smirny zmobilizował opinię publiczną. Opinię publiczną można mobilizować w różny sposób. Wasilij Fomicz wybrał drogę zbiorowej petycji. Nie mam pojęcia, skąd nabierał w Kogutkach Górnych tyle ludzi. Może pojechał do rejonu. Tak czy inaczej, pięćdziesiąt osób stwierdziło pod przysięgą, że towarzysz Smirny motocykl z przyczepą eksploatował przez sześć miesięcy i to dość intensywnie. A akumulator ładował od podkowy. Wszyscy widzieli. Skąd brał podkowę, też było napisane. Brał ją mianowicie z kuźni.

- Sam widzisz, nie z cerkwi, tylko z kuźni - powiedział Rybaków.

- Przecież ja z cerkwi przyniosłem świecę, a nie podkowę - powiedziałem.

- Wszystko jedno - melancholijnie stwierdził Sasza. Moim zdaniem Rybaków postawi

sobie za cel doprowadzenie mnie do stanu szefa. Ale to mu się nie uda !

Kiedy czytałem list, szef patrzył na mnie z żalością. W jego mózgu kielkowała myśl. Zaczął z daleka.

- Jesteś jeszcze młody, Pietia - powiedział łagodnie. - Masz mocne nerwy. Jedź do tych Kogutków. Bo inaczej Fomicz sam przyjedzie na swoim motocyklu. Wtedy nie rękę za siebie. A przecież mam żonę i dzieci.

Poszedłem załatwiać delegację. Kierownictwo instytutu podpisało nie patrząc, a księgowość wyraziła zaniepokojenie.

- A gdzie leżą te Kogutki-Ciągutki? zapytał główny księgowy. - I po co ty tam właściwie jedziesz? Przyznaj się - na grzyby?

Cierpliwie wytłumaczyłem, że w Ciągutkach Górnych odbędzie się międzynarodowe sympozjum. To jest, tfu, nie w Ciągutkach, a w Kogutkach. Porządek obrad: aparaty do dojenia krów na tranzystorach, zbieranie jajek przy pomocy elektromagnesu i stosowanie podkowy jako generatora. O podkowach powiedziałem prawdę.

- A zboża tam jeszcze nie sieją na tranzystorach? - zażartował główny księgowy.

- Zaplanowano na następną pięciolatkę - zażartowałem w odpowiedzi.

- Jedź! - powiedział główny księgowy. - Cudzoziemcy będą?

- Trzy autokary - powiedziałem.

Główny księgowy był usatysfakcjonowany. Otrzymałem zaliczkę i poszedłem zbierać informacje, w jaki mianowicie sposób mam dotrzeć do wsi Kogutki. Okazało się, że najporęczniej jechać tam konno. Samoloty do Kogutków nie latały, pociągi nie chodziły, statki również. Poważnie zaniepokoiłem się o cudzoziemców. Jak oni tam dojadą?

Wreszcie wszystko dokładnie wyjaśnił mi jakiś staruszek na dworcu. Trzeba jechać pociągiem do miasta rejonowego, a potem autobusem. Jeśli się wepchniesz, powiedział staruszek. A następnie statkiem po jakiejś tam rzece. Jeśli będzie kursował, powiedział staruszek.

- A jeśli nie będzie? - zapytałem.

- To na piechotę - powiedział staruszek. - To niedaleko. Ze dwadzieścia pięć wiorst.

Podziękowałem staruszkowi za informację i poszedłem kupować gumki. Oraz waciak.

Na katedrze mój wyjazd narobił mnóstwo hałasu. Posypały się zamówienia na suszone grzyby. A Sasza Rybaków zaproponował mi wędkę do łowienia pod lodem.

- Przecież lodu jeszcze nie ma - powiedziałem.

- Kto wie - zagadkowo wypowiedział się Sasza. - Eksperymenty mogą się przeciągnąć.

Przybiegł majster Fiedia z paczką. Poprosił, żebym ją po drodze podrzucił na wieś jego siostrzeńcowi. W paczce były suszone owoce i płyta Muslima Magomajewa. Przesłuchałem majstra Fiedię na okoliczność miejsca urodzenia.

- Jestem z Tulskiej guberni - powiedział majster Fiedia.

- Słuchaj, czy ty znasz geografie? - zapytałem.

- Nie znam - odparł majster Fiedia z dumą. - Trochę zapomniałem... A co, nie będzie ci po drodze?

Specjalnie pobiegłem po mapę i pokazałem majstrowi Fiedi, gdzie leżą Kogutki Górne.

- Coś takiego! - zmartwił się majster Fiedia. - Zresztą wszystko jedno. Oddaj komukolwiek. Tam też na pewno słyszeli o Magomajewie.

Mój bagaż naukowy składał się z konspektu traktatu Brumma i pirometru, który zabrałem dla nadania sobie powagi. Pirometr to taki przyrząd, którym można mierzyć wysokie temperatury. Jest dosyć portatywny.

Potem wysłałem depezę do Fomicza. „Delegujemy przedstawiciela komisji sprawdzenia efektu Brumma przygotować aparaturę”.

Nikt nie przyszedł na dworzec, żeby mnie odprowadzić. Nawet żona. Pociąg odchodził o trzeciej w nocy. Bardzo wygodny pociąg dla uciekających potajemnie i na zawsze. Zrozumiałem, dlaczego odjazd wyznaczono o tak późnej godzinie. Albo o tak wczesnej. Rzecz w tym, że pociąg w najmniejszym stopniu nie przypominał „Czerwonej Strzały”.

Rozdział 4.

Jadę

Zstąpiłem na plac przy dworcu, jak Kolumb na brzeg Ameryki. Miasteczko było niskopiętrowe. Po ulicach łążyły kury z kurczętami. Kiedy ni z tego, ni z owego nadszedł samochód, kury biegły długo przed maską nie wiedząc, gdzie uciec. Potem wskakiwały do rowu. Stwierdziłem, że autobus będzie za trzy godziny, i poszedłem zwiedzać okoicę.

Dotarłem do jakiejś rzeki. Rzeka była dosyć duża. Na drewnianej przystani stał dziadek z brodą i w czapce. Na pewno przewoźnik. Albo latarnik.

- Co to za rzeka, ojczu? - zapytałem.

- Wołga, matko - powiedział dziadek z wyrzutem.

- Nie poznałem - wymamrotałem czerwony ze wstydu.

- Długo siedziałeś? - zapytał dziadek patrząc na mój waciak.
- Gdzie siedziałem? - zdziwiłem się.
- Wiadomo gdzie - powiedział dziadek mrużąc oczy.
- Trzy lata - powiedziałem, żeby mu nie zrobić przykrości.
- A za co?
- Utopiłem kołchozowy traktor.
- Zdarza się - powiedział dziadek. - A wyciągnęli przynajmniej traktor?
- Nie - powiedziałem. - Tam jest bardzo głęboko. To było nad Morzem Czarnym.
- A teraz dokąd się wybierasz? - zapytał skrupulatny dziadek.
- Do Kogutków Górnych.
- Pokłoń się ode mnie Waśce Smirnemu. Powiedz, znaczy, że Timofiej mu się kłania.

Okazuje się, że Fomicz był znaną osobistością. Upewniłem się w tym, kiedy przechodziłem koło komitetu wykonawczego. Wisiała tam tablica ze zdjęciami i w prawym górnym rogu znajdowała się fotografia towarzysza Smirnego. Było tam napisane, że jest on przodującym mechanizatorem i racjonalizatorem. No, to mnie nie zdziwiło.

Po przeciwnej stronie na budynku Pałacu Kultury również wisiała tablica. Tyle że odmiennej treści: „Ci którzy są hańbą naszego rejonu”. W tym samym górnym prawym rogu znowu zobaczyłem portret Fomicza. Napis głosił, że towarzysz Smirny zajmuje się konstruowaniem aparatów do pędzenia bimbru. Jak widać, tablice wywieszały różne organizacje, i niekoniecznie uzgadniały między sobą ich treść. Fomicz na fotografiach wyglądał bardzo przyzwoicie. Tak na oko miał około pięćdziesięciu lat. Jego fryzura przypominała niewielką plantację włosów.

Zaprzagnąłem zobaczyć tak wielostronnego człowieka i pośpieszyłem na autobus.

Staruszek w Leningradzie, który uprzedził mnie o tutejszych obyczajach, dobrze znał miejscowe warunki. Nikt nie jechał ot tak sobie, bez niczego. Wszyscy coś wieźli. Opony do motocykla, pralkę, klatkę z kanarkiem, dwa telewizory i gumowego węża do polewania ogrodu. Nie licząc mojego pirometru.

Autobus podjechał na przystanek. Kierowca wysunął głowę przez okno i krzyknął:

- Żebyście mi wozu nie przewrócili!

Ale nikt go nie słuchał. Dwaj chłopcy z pralką gotową do boju z ogromnym przyspieszeniem popędzili w stronę autobusu. Po drodze zaczęli o gumowego węża i w rezultacie nie trafili w drzwi, chybili. W boku autobusu pojawiło się wklęsnięcie.

- Zaraz wyjdę - obiecał kierowca.

Wszyscy w milczeniu odpychali jeden drugiego rękami. Przypominało to pływanie w zagęszczonej glicerynie. Przysunąłem do piersi pirometr i napierałem nim na worek, który

dźwigała na plecach jakaś baba.

- Ej, ty! Ostrożnie! Tam jest serwis! - wrzasnęła baba. i od razu wszyscy zaczęli krzyżeć, co kto ma w worku. Nie-wiadomo dlaczego absolutnie wszystkie przedmioty były kruche i łatwo się tłukące.

- Ostrożnie! - zaryczałem i ja. - Pirometr jest odbezpieczony! Wybuchła od uderzenia! - i potrząsnąłem nad głową pirometrem.

Wokół mnie momentalnie powstała próżnia. Wszedłem do autobusu i usiadłem. Reszta pasażerów kontynuowała swoje wysiłki. Wreszcie kierowcy to zbrzydło, więc ruszył. Pralkę do tego momentu zdążyli wepchnąć tylko do połowy. A gumowego węża zaledwie niewielki fragment. Wąż rozwinął się i sunął za autobusem niby knut. Jeden z właścicieli pralki biegł obok drzwi i próbował przepchnąć się do środka. Ze zgrozy rozśpiewał się kanarek.

Ze czterdzieści kilometrów jeszcze trwały awantury, potem zapanował spokój. Na mój pirometr wszyscy patrzyli z szacunkiem i nasłuchiwali, czy przypadkiem nie tyka. Wreszcie wysiadłem przy jakimś moście.

Przy moście była przystań. Na przystani czekali na statek jacyś ludzie. Jak się dowiedziałem, czekali od wczoraj wieczór. Powszechna pewność, że statek jednak przyjdzie, nappełniła mnie optymizmem.

Statek istotnie przyszedł. Tyle, że dopiero nazajutrz rano. Noc spędziliśmy przy ognisku. Dobrze, że wśród czekających byli turyści. Rozbili namioty i mieliśmy wspaniały nocleg. Rano turyści nakarmili mnie konserwami.

Zapytałem, czy wśród oczekujących są mieszkańcy Kogutków.

- Jakich Kogutków? - zapytała dziewczyna z rowerem, która wczoraj przy ognisku śpiewała piosenkę ludową. - Tu jest dużo Kogutków. Kogutki Dolne, Kogutki Górne, Krzywe Kogutki i Jasne Kogutki.

Powiedziałem, że chodzi o Górne, i dodałem, że szukam Smirnego.

- Wujka Wasi! - ucieszyła się dziewczyna. Potem spojrzała na mnie podejrzliwie i zapytała, czy nie jestem z milicji. Powiedziałem, że nie jestem. Dziewczyna spojrzała jeszcze podejrzliwiej i zainteresowała się, czy nie przyjechałem po aparat?

- Wujek Wasia już ich nie robi. Przez te aparaty tylko od nauki go odrywają. Tacy to u nas ludzie bez pojęcia.

Jak widać, naukowe sukcesy Fomicza były tu dobrze znane. Dziewczyna oznajmiła, że Smirny z kineskopu telewizora skonstruował jakiś aparat. Naświetla nim wymiona krów kołchozowych. Udoje wzrosły niebywale.

Jednym słowem, przekonałem się, że intelektualne zainteresowania Fomicza są nadzwyczaj rozległe.

Dwie godziny nasz statek przepływał obok najróżniejszych Kogutków i innych skupisk ludności. Przyroda była dziewicza. Powietrze sterylne czyste. Ludzie surowi, nawykli do przewycięzania trudności. Rolnicy, hodowcy, wiejska inteligencja.

Dawno temu istniało pojęcie „sojusz miasta i wsi”. Otóż ja osobiście ten sojusz właśnie realizowałem. Poproszono mnie, żebym dokładniej opowiedział o pirometrze. Zapaliłem się do tematu i niedostrzegalnie przeszedłem do cząstek elementarnych. Potem opowiedziałem o laserze. Promieniowanie koherentne i tak dalej.

- A powiedz mi, synku, czy tym laserem można kosić trawę? - zapytała jakaś babuleńka.

- W zasadzie można - powiedziałem. - Ale nie ma sensu. Mniej więcej tak, jakby ktoś wbijał gwoździe aparatem fotograficznym.

Krótko mówiąc, zanim dopłynęliśmy do Kogutków Górnych, pasażerowie, jak przypuszczam, nabrali elementarnego pojęcia o fizyce. No, a ja za to wiele dowiedziałem się o siewie, orce, żniwach i innych takich rzeczach.

Rozdział 5.

Poznaję Fomicza

- A gdzie jest wieś? - zapytałem dziewczynę z rowerem, która ofiarowała się wskazać mi drogę.

- O tam - pokazała dłonią.

Na wzgórzu stało pięć domków. Absolutnie chaotycznie. Wzdłuż zbocza prowadziła ścieżka w dół rzeki. Szczekały psy. Piały koguty. Mówiąc krótko, nie wyglądało to na centrum światowej nauki.

- To jest dom wujka Wasi - machnęła ręką dziewczyna. Na kominie tego domu widniała jakaś konstrukcja z grubego drutu.

- Pułapka magnetyczna - wyjaśniła mi właścicielka roweru.

- Jasne - wymamrotałem. Jeżeli ten Fomicz otrzymuje w swoim piecu plazmę, to rzucam fizykę, postanowiłem.

Poszedłem do domku i zapukałem w okienko. Na pukanie zza firaneczki wyjrzała głowa. Od razu ją poznałem. Nieco gorsza niż na honorowej tablicy, ale za to z całą pewnością żywa. Wasilij Fomicz zrobił przerażone oczy i zamachał rękami.

- Przyszedłem z interesem! - krzyknąłem.

- A kysz! - głucho dobiegł zza szyby jego głos. - Nie ma aparatów!

- Przyjechałem w sprawie Brumma! - krzyknąłem.

- Bhumma? - rude brwi Fomicza uniosły się jak wlatujące ptaki. Znikł z okna i po chwili otworzył mi drzwi.

- A nie łiesz? - zapytał Fomicz. - Jeśli nie, to wchodź.

Fomicz był w sportowym dresie z dzianiny. W ręku trzymał ożóg. Na końcu ożoga była umocowana dwuwypukła soczewka. A więc nie był to już ożóg, tylko przyrząd optyczny.

Fomicz bardzo sympatycznie grasejował. Czasami w ogóle nie można było zrozumieć, o czym mówi. Jak sądzę, głównie ze względu na specyficzną terminologię naukową. Terminologia Fomicza różniła się od ogólnie przyjętej.

- Nie dają mi żyć ci aparatczycy - powiedział Fomicz. Pieniądzy od nich nie biorę. Żeby się tylko odczepili! Mówią, że tak to przynajmniej jakaś korzyść jest z tej mojej nauki. A ty skąd jesteś?

Wyjaśniłem. Fomicz był nie na żarty zdziwiony. Szczególnie tym, że nasza podkowa nie chciała dać prądu. Wprowadził mnie do chaty. Wyglądało tam podobnie jak w naszym laboratorium. Bardzo dużo kabli i żelastwa. Na stole stała lampa naftowa. Na szkiełku wisiała podkowa. Od podkowy prowadziły przewody do radiodbiornika. Fomicz zapalił lampą i włączył radio. Radio mówiło.

- Bezpośrednie przekształcenie. Przenośna prądnicą - wyjaśnił Fomicz.

W tym momencie zapukała listonoszka. Przyniosła Fomiczowi mój telegram. Gdybym wiedział, zabrałbym depezę ze sobą. Żeby się poczta nie męczyła. Fomicz uważnie przestudiował tekst.

- Wydelegowali przedstawiciela - powiedział znacząco. - Też w sprawie Brumma.

- To właśnie ja jestem tym przedstawicielem - powiedziałem. - Skąd wiecie o Brummie?

- Ta historia sięga korzeniami w przeszłość - literacko zaczął Fomicz. - Pracowałem przy rozbiórce domów. Pod nowe zabudowania, i kiedyś znalazłem na strychu traktat. Nic nie rozumiałem, ale to było nadzwyczaj ciekawe. Nadzwyczaj !

- Ciekawe! - zgodziłem się. - Rzadko spotyka się takie brednie.

- No, brednie, nie brednie, a ziarno prawdy czasem się trafia - obraził się Fomicz w imieniu Brumma. Chciał przez to powiedzieć, że udało mu się to ziarno wyłuskać.

- A szatan? - zapytałem.

- Nie szatan, tylko czort - poprawił mnie Fomicz. - Elektron, czort - to bez różnicy. Najważniejsze, żeby działało!

- No, to jeszcze sprawdzimy - zastrzegłem się.

- Ranek mądrzejszy od wieczora - powiedział Fomicz. Zaczęliśmy szykować się do snu. Przyszła skądś żona Fomicza, miła i pogodna. Fomicza nazywała Wasiutą, a fizykę traktowała z sympatią, jak domowego kota. Nakarmiono mnie z całego serca. Przed snem Fomicz dobrą chwilę poobserwował niebo przez teleskop robiąc jakieś notatki. Moim zdaniem Fomicz urodził się stanowczo za późno. Najbardziej pasowałby do renesansu.

W nocy przyśnił mi się Hans Fryderyk Brumm. Przyszedł na naszą katedrę w waciaku nałożonym na czarną togę. W rękę trzymał depezę „pilną”. Pokazałem mu podkowę i Brumm okropnie się śmiał.

- Ciekawe! Nadzwyczaj ciekawe! - krzyczał.

Potem Brumm przeszedł na łacinę i bardzo długo o czymś mówił. Z całego przemówienia zapamiętałem jedynie zdanie: „Quod licet lovi, non licet bovi”. To znaczy, że co wolno Jowiszowi, tego nie wolno bykowi. Kiedyś kolekcjonowałem takie powiedzenia. Tyle że nie było dla mnie jasne, kogo Brumm ma na myśli mówiąc o byku.

Rozdział 6

Eksperymentujemy razem

Kiedy się obudziłem, Fomicza nie było. Przyszedł po pół godzinie z wiadrem, w które był wmontowany kineskop z siedemnastocalowym ekranem. Najwidoczniej Fomicz właśnie ukończył poranne naświetlanie krów.

Obudził się chyba bardzo wcześnie. Wskazywał na to stan pirometru. Pirometr był rozłożony na części składowe do ostatniej śrubki. Jego fragmenty leżały starannie ułożone na czystej szmatce. Fomicz miał dziecięcą metodę poznawania otaczającego świata. Ja również w dzieciństwie rozmontowywałem zabawki, żeby zobaczyć, co jest w środku.

- Pihometh będzie nam potrzebny? - zapytał Fomicz wskazując palcem na śrubki.

- Tak - powiedziałem. - Będzie.

- Zaraz zmontuję - powiedział Fomicz.

I rzeczywiście w ciągu niespełna piętnastu minut zmontował pirometr. Nie została ani jedna sprężynka. Przy okazji coś tam zmodernizował i w rezultacie zdaniem Fomicza pirometr mógł teraz służyć również jako mikroskop.

- Masz coś jeszcze? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Nie - powiedziałem - następnym razem przywiozę więcej.

- Ech, żeby ja tak miał komorę Wilsona - marząco powiedział Fomicz. - Ja bym wtedy...

Jak wynikało z rozmowy, Fomicz był całkowicie pozbawiony próżności. Jego listy do instytucji naukowych wynikały z prostego powodu. Rodacy niezbyt szanowali działalność naukową Fomicza. Można nawet stwierdzić, że nie wierzyli w jego gwiazdę. Wobec tego Fomicz postanowił zdobyć patent, żeby umocnić swój autorytet, i żeby nie przeszkadzali mu w pracy naukowej.

- Mówią, żebym hemontował thaktohy! - skarżył się Fomicz.

Z trudem pojąłem, że chodzi o remont traktorów. - A jeżeli mnie nie interesuje hemont thaktohów? Teraz mnie plazma interesuje.

Zjedliśmy śniadanie i przystąpiliśmy do eksperymentów.

Nagrzewaliśmy podkowę. Świeczką. Płomieniem lampy naftowej. Palcem. Płynął prąd o niebywalej sile. Radio grało. Moja maszynka do golenia goliła. Goliłem się przy pomocy podkowy! Jeśli opowiem o tym w katedrze - chyba mnie zabiją!

Hipnoza wykluczona. Czary również. Pozostawało jedno - uchylić kapelusza w obliczu faktów.

- A ty powiadasz - brednie! - radośnie wykrzykiwał Fomicz.

- Prawa fizyki są wszędzie jednakowe - twierdziłem. - Nie mogą być inne w Kogutkach niż w Leningradzie.

- Kto wie, kto wie! - pisał wokół podkowy Fomicz. - Tu właśnie mylisz się, kochany.

Jeszcze raz sprawdziłem schemat, zanotowałem dane, zmierzyłem temperaturę i poszedłem rozmyślać wśród pól. Pól, Bogu dzięki, było dosyć. Mogłem przemyśleć całą fizykę od pierwszej zasady Newtona do ostatnich odkryć Fomicza.

Niestychane! Ukończyłem szkołę, instytut, przygotowuję doktorat. Wywalczyłem dla siebie maleńką cząstkę fizyki i nikt nie wie o niej więcej niż ja. Bardzo maleńką. Mniejsza już być nie może. A tymczasem Fomicz rozwija fizykę globalnie przy pomocy czystego entuzjazmu. O doktoracie nawet nie myśli. Po prostu jest ciekaw i koniec. Powstaje pytanie, kto z nas właściwie zajmuje się fizyką?

Ze wszystkiego wynikało, że fizyką zajmuje się Wasilij Fomicz. Ja zaś badam jakieś ziarenka prawdy, które nikogo ani ziębią, ani grzeją. Właściwości optyczne anizotropowych związków bizmutu. No dobrze, powiedzmy, że napiszę w końcu doktorat. A tymczasem Fomicz ładuje akumulator motocykla od podkowy. Radio gra. Maszynka do golenia goli. Tylko patrzeć, jak otrzyma plazmę w swoim piecu.

A jeśli to szarlatan? Przypomniałem sobie oczy Fomicza, kiedy krzątał się koło świeczki. Nie, Fomicz nie jest szarlatanem. Takiej wiary nie ma w oczach szarlatanów.

Niczego nie wymyśliłem i zrobiło mi się zimno wśród pól. Nadszedł wieczór. Chwyciły przymrozki. To się chyba tak nazywa w języku agrotechnicznym. Chwycił

przymrozek... Kiedy przypomniałem sobie ten zwrot, zapragnąłem przenieść się na wieś. A co? Zostanę asystentem Fomicza. Zdobędziemy komorę Wilsona, zabierzemy się do cząsteczek elementarnych. Kupię sobie krowę... Motocykl...

I lekko mi się zrobiło na sercu i zarazem jakoś smętnie, ponieważ wiedziałem, że nigdy się nie przeniosę na wieś. Będę całe życie robił jakieś pomiary, pisał artykuły do „Fizyki ciała stałego”. A te artykuły oprócz szefa i mnie zrozumie jeszcze siedemnastu ludzi. Na całej kuli ziemskiej.

Rozstrojony wróciłem do Fomicza. Fomicz napoił mnie mlekiem prosto od krowy i na dobranoc porozmawialiśmy sobie o promieniowaniu kosmicznym i względności czasoprzestrzeni. Dawno już nie rozmawiałem na takie tematy ze świeżym człowiekiem. A Fomicz był zupełnie świeży. Ze dwa razy zapędził mnie w ślepią uliczkę. Okazuje się, że w czasoprzestrzeni jest jeszcze wiele nie rozwiązanych problemów.

- Wasiuta, śpij! - poprosiła z pieca żona Fomicza.
- Poczekaj. Spokój duszy mi odebrał ten Einstein. Jakże nie wpadłem na to wcześniej?
- Einstein po prostu wcześniej się urodził - uspokoiłem Fomicza.
- Chyba że tak - zgodził się Fomicz. - Ale i tak przykro. Jeszcze długo się kręcił, a potem zasnął. Patrzyłem w okno, widziałem zaorane pole zalane zielonkawą poświatą księżyca. Każdy, najmniejszy pagórek rzucał cień. Z mordą przy ziemi przebiegł polem pies. Zrozumiałem, że chcę do mamy. Albo do żony.

Rozdział 7.

Jedziemy z powrotem

- Zbierajcie się - powiedziałem rano. - Pakujcie aparaturę. Jedziemy do Leningradu.
- Tylko mnie tam brakuje! - kategorycznie oświadczył Fomicz.
- Brakuje - powiedziałem.
- Dacie sobie radę beze mnie !
- Podarujemy wam oscylograf - obiecałem.
- Oscylograf? - Fomicz marząco przymrużył oczy. Nawet włoski na głowie mu zdrząły. - Nie, nie pojedę. Kto będzie krowy naświetlał? Przewodniczący mnie nie puści.

Poszedłem do przewodniczącego do sąsiedniej wsi, gdzie mieścił się zarząd kołchozu. Przewodniczącego wcale nie zdziwiła moja wizyta. Widocznie często odwiedzano go w sprawie Fomicza. Dziwne, że jeszcze zachował dla niego ciepłe uczucia.

- Żłota głowa! - powiedział przewodniczący. - To raz. Nie pije. To dwa... Ale każdy

może go wykorzystać, rozumiesz? Wiesz, ile on tych aparatów porozdawał? Ani grosza nie wziął. Nie potrafi odmówić. Zresztą, jak tu odmówić, kiedy przystawiają nóż do gardła!

Zrozumiałem, że z tym nożem to przenośnia.

- Czasem traci czas na głupstwa, to prawda. Wymyśli coś bez pożytku. Ale na przykład promiennik zrobił - tylko przyklasnąć. Ale znowu ta plazma - komu ona potrzebna?

Ze słów przewodniczącego wynikało, że złotą głową Fomicza czasem nawet wydzierzawiano. Sąsiednim kołchozom. Fomicz tamtych - pomysł racjonalizatorski, a tamci - pieniądze. Jednym słowem, jak u nas na katedrze umowy z zakładami przemysłowymi.

- Dobra, przekonałeś mnie! - powiedział przewodniczący, kiedy zrobiłem aluzję do nagrody Nobla. - Będzie nagroda - zbudujemy oborę.

- Za tę nagrodę można pawilon dla słoń zbudować - powiedziałem.

- A po co nam słońce? - nie zrozumiał przewodniczący.

- Zamiast kogutów - powiedziałem. - Nauczycie je trąbić nad ranem.

Przewodniczący spojrzał na mnie z zainteresowaniem. Zrozumiałem, że się potężnie wygłupiłem. Tak ze mną często bywa. Dlatego postanowiłem naprawić błąd.

- Tak w ogóle to słońce wykorzystuje się w Indiach jako siłę pociągową.

- Przecież cały nasz urodzaj pójdzie na paszę! - powiedział przewodniczący. - A ile kosztuje słoń?

Byłem niezadowolony, że zacząłem tę rozmowę o słońcach. Po prostu nie wiedziałem, jak się wykręcić.

- Słońce trudno dostać. Są tylko z importu - uspokoiłem przewodniczącego.

Przewodniczący od razu stracił zainteresowanie tematem i wypisał Fomiczowi jakieś dokumenty na wyjazd. Na koniec poprosił, żeby Fomicz nauczył pastuszka Kolkę, jak się naświetla krowy.

Dzień zszedł na przygotowaniach do podróży. Wzięliśmy aparaturę Fomicza, żeby zachować czystość eksperymentu.

Żona Fomicza dała nam suszonych grzybów i powiedziała:

- Trzymaj się tam, Wasiuta!

I ruszyliśmy w drogę.

Kiedy przybyliśmy do miasta, Fomicz cały się zjeżył. Przeszliśmy obok Pałacu Kultury. Ale na tablicy: „Ci którzy są hańbą naszego rejonu”, fotografii Fomicza już nie było. Fomicz uśmiechnął się...

Do Leningradu przyjechaliśmy rano i natychmiast zaciągnąłem Fomicza do Instytutu. Fomicz bez przerwy spozierał na boki i tulił do piersi woreczek z podkowami. Dwa razy wyciągałem go spod kół transportu miejskiego. Raz Fomicz wyciągnął mnie. Ale to był

przypadek.

Szliśmy korytarzem obrastając z tyłu ogonem ciekawych. Przy wejściu do laboratorium przypominało to już komety. Jądro komety stanowił Fomicz i ja.

Wepchnąłem Fomicza do laboratorium, wszedłem sam i oznajmiłem jak na przyjęciu dyplomatycznym:

- Pozwólcie, że przedstawię wam Wasilija Fomicza Smirnogo.

Szef właśnie udzielał konsultacji studentce. Siedział do nas plecami. Po wyrazie twarzy studentki zrozumiałem, co dzieje się z szefem. Oczy jej zrobiły się jak spodki i wyszeptała :

- To może lepiej przyjdę innym razem...

Szef powoli odwrócił głowę. Sasza Rybaków zdjął okulary i przetarł szkła. Odbyla się niema scena, jak w „Rewizorze”. A Fomicz powiedział:

- Pamięta mnie pan? To ja pisałem o Bhummie.

- Pamiętam - powiedział szef. - Pamiętam bardzo dobrze.

Rozdział 8.

Podejmujemy Fomicza (1)

Publiczność zasiadła półkolem jak na stadionie i szef z Fomiczem przystąpili do rozgrywki. Zaczął szef. Asystował mu Rybaków. Ja występowałem jako sąd rozjemczy. Nie bardzo wiem, co to takiego. Podobno tak się mówi.

Szef ujął podkowę przez chustkę do nosa i zamocował. Przyłutowaliśmy kable i tak dalej. Podgrzał. Oczywiście żadnego rezultatu.

- No? - powiedział szef.

- To po waszemu - powiedział Fomicz. - Dajcie świecę. Fomicz stana. Przy pulpicie i błyskawicznie osiągnął rezultat. Prąd popłynął. Był remis. Z wynikiem 1:1.

Nie wiadomo, skąd zjawił się Lisocki. Podeszedł do Fomicza i czule objął go za ramiona. Fomicz podskoczył ze strachu.

- A-ja-jaj - powiedział Lisocki. - Jak wam nie wstyd, koledzy? Nie wypada tak przyjmować gościa. Gdzie nasza słynna leningradzka gościnność?

- Ja nie piję - cicho powiedział Fomicz.

- Piotrze, czy jest hotel dla naszego gościa? - zapytał mnie Lisocki.

- Przecież on jest z Kogutków, a nie z Paryża - powiedziałem. - Spróbuj załatwić mu pokój.

- Biorę to na siebie - powiedział Lisocki.

A tymczasem podkowa dalej dawała prąd. Któryś z laborantów po cichu podłączył do niej żarówkę. Żarówka oczywiście zaczęła świecić. Szef usiadł na krześle i otarł czoło tą samą chusteczką, przez którą trzymał podkową. Sasza Rybaków zmierzył napięcie i oświadczył:

- Dwieście dwadzieścia volt... A czy są podkowy na sto dwadzieścia?

- Dlaczego nie? Są. - odparł Fomicz.

- Nie trzeba - ledwie dosłyszalnie wyszeptał szef.

- Drogi gościu - powiedział Lisocki. - Zaraz załatwimy panu hotel, odpocznie pan, a jutro będziemy kontynuować prace badawcze.

- Co tu jeszcze badać? - zdziwił się Fomicz.

- Mogą się ujawnić uboczne efekty - wymijająco powiedział Lisocki. - Poza tym konieczne jest uzasadnienie teoretyczne.

- To już zrobił Brumm - powiedziałem. - Cała rzecz w czorcie. Albo w szatanie.

W tym momencie Lisocki wyprowadził Fomicza. Fomicz zdążył rzucić mi niespokojne spojrzenie, ale musiałem przecież pisać sprawozdanie z delegacji.

- Pietia, zlikwiduj ten iluzjon - powiedział szef umęczonym głosem.

- Nic na to nie poradzimy. Pali się - rozłożyłem ręce.

- Ha! - krzyknął ze swojego miejsca Rybaków.

Szef zerwał się na nogi i cisnął żarówkę do metalowego pudła. Tam szczęśliwie wybuchła. Szefa kopnął prąd od podkowy. To był niezły argument. Ale szef nie wziął go pod uwagę. Jak to mówią, szefa poniosło.

- Pietia - zaczął groźnie. - Żebym ja tego Fomicza więcej na oczy nie widział, i podków także. Zrób mi tę przyjemność. Na tydzień zwalniam cię z innych obowiązków. Zaprowadź go do Ermitażu. Do cyrku, do wesołego miasteczka, na basen. Gdzie tylko sobie zyczysz!

- A efekt Brumma? - zapytałem.

- Wypluj to słowo! - wrzasnął szef. Jego spojrzenie padło na podkową, zaryczał jak ranny lew i skoczył jak tygrys. Nigdy nie przypuszczałem, że szef jest takim siłaczem. W ciągu sekundy rozgiął podkową i wrzucił ją do tego samego pudła. W ślad za podkową poleciała świeca. Szef wyjął z fiolki tabletkę i wsunął pod język. Pomyślałem, że jeśli teraz szef umrze na atak serca, winien będę ja, a nie Brumm. Dlatego rakiem wycofałem się z laboratorium.

Rozdział 9.

Podejmujemy Fomicza (2)

Następnego dnia odbył się benefis Fomicza w laboratorium Lisockiego. Lisocki przebiegł na katedrę z samego rana, co nie zdarzyło się od lat. W rękę trzymał worek z podkowami. Zapewne wyzebrał je pomimo wszystko. Znowu na szczęście. Sądząc z ilości podków, szczęścia powinno teraz Lisockiemu wystarczać do roku dwutysięcznego.

- Piotrze Nikołajewiczu - zwrócił się do mnie Lisocki - ulokowałem Smirnego w hotelu „Leningrad”. Niech go pan przywiezie, bo niedługo przyjdzie korespondent.

- Jaki korespondent? - zapytałem. - Z gazety - wyjaśnił Lisocki.

Wzruszyłem ramionami, ale po Fomicza pojechałem. Fomicz stęsknił się za mną. Omal mnie nie ucałował. W apartamencie hotelowym umeblowanym w stylu fińskim na wysoki połysk wyglądał jak leśny diabeł w celofanie. Fomicz siedział przed wielkim na całą ścianę lustrem i przyglądał brwi. Bez rezultatu. W czasie tego zajęcia rozmawiał sam ze sobą.

- Co. Wąska, zostałeś generałem - mówił Fomicz. - I po diabła przyniosło cię do miasta? Na cholereę ci te wszystkie badania? Aha, milczysz, durniu?

Zrobił pauzę, żeby jego odbicie rzeczywiście chwilę po-milczało. Następnie podniósł but stojący pod fotelem, potrząsnął nim i powiedział:

- Jesteś głupi jak but! Słyszysz? Jak but!

- Szkoda nerwów - powiedziałem.

- Wcale się nie denerwuję. Skąd ci to przyszło do głowy - zapytał Fomicz.

Odniosłem wrażenie, że Fomicz nie zdecydował się na spanie w łóżku - pościel była nie naruszona, widocznie drzemał w fotelu. Zeszliśmy na dół po schodach pokrytych dywanami, przy czym pokojówka spojrzała na Fomicza ze zdumieniem. Zapewne od dawna nie widziała normalnych ludzi.

Przyjechaliśmy na katedrę, gdzie oczekiwał już korespondent. Zdumiewająco uczony człowiek. Bez przerwy sypał naukowymi terminami. Lisocki chodził za nim po korytarzu i śpiewał hymny na cześć podków.

- A oto nasz samouk! - zawołał Lisocki. Korespondent wyjął notes i zajrzał Fomiczowi w zęby.

Fomicz skrzywił się, jakby połknął kilogram żurawin.

- Zaczniemy intrygująco - powiedział korespondent i roześmiał się ze szczęścia. Był zachwycony tematem. - Najpierw historia podkowy. Od czasów faraonów egipskich do naszych dni. Podkowa przeżyła już swój czas. Można powiedzieć, że obserwujemy jej agonię, i oto proszę! Powtórne narodziny. Taki właśnie damy tytuł!

Korespondenta niezwłocznie trzeba było zostopować, ponieważ Fomicz pobał jak ściana. Pobiegłem do siebie i zadzwoniłem do laboratorium Lisockiego. Poprosiłem do telefonu korespondenta.

- Słucham - powiedział korespondent do słuchawki.

- Mówię z radia - powiedziałem. - Jest nam pilnie potrzebny materiał do dziennika. Informacje z pracowni uczonych. Dwie strony maszynopisu. Należy zwłaszcza podkreślić gospodarcze znaczenie odkrycia towarzysza Smirnogo.

- Na kiedy? - zapytał korespondent.

- Za godzinę.

- Zrobione! - powiedział korespondent. - Podyktuję przez telefon. Numer waszego telefonu?

Podałem mu numer mojej ciotki. Samotnej emerytki. Z przyjemnością posłucha. Potem zadzwoniłem do ciotki i poprosiłem, żeby przyjęła dla mnie telefonogram.

Kiedy wróciłem do laboratorium Lisockiego, eksperyment szedł pełną parą. Fomicz wyglądał dosyć marnie. Być może dlatego prąd z podkowy był dużo słabszy niż wczoraj. Żarówka świeciła słabiutko. Ale korespondent pisał już o znaczeniu gospodarczym.

Skończył szybciej niż Fomicz i niezwłocznie zadzwonił do mojej ciotki. Zaczął od Egiptu faraonów. Jego twarz promieniała natchnieniem. Potem popędził do redakcji.

- Trzeba zadzwonić do telewizji - powiedział Lisocki. - Proszę - powiedziałem. - A my na razie pójdziemy do Ermitażu. Fomicz jeszcze nigdy nie był w Ermitażu.

Ściśle stosując się do poleceń szefa, pokazałem Fomiczowi kulibinowskie jajo. Niestety nie można było go z miejsca rozłożyć na czynniki pierwsze. Dlatego Fomicz pokręcił się chwilę przed ekspozycją i poszliśmy zwiedzać malarstwo. Picasso wywarł na Fomiczu wrażenie wstrząsające. Długo stał studiując jakąś kompozycję, a następnie zapytał:

- Gdzie tu sprzedają bilety kolejowe?

Odchodząc, ze strachem oglądał się na obraz, jakby dzieło mistrza mogło skoczyć za nim niczym pies. Ostatecznie dobił go Matisse. Fomicz wyszedł z muzeum na wpół żywy. Do cyrku nie chciał iść za żadne skarby.

- Lepiej wypijmy coś, Pietia - zaproponował.

Zacząłem się o niego poważnie lękać. Poszliśmy z powrotem do hotelu. Tam był bar. Fomicz usiadł na wysokim stołku obok chłopca podobnego do dziewczyny. Albo na odwrót. Barman przysunął nam koktail ze słomką. Fomicz wychylił zawartość razem z lodem i zaczął melancholijnie przeżuwać słomkę.

- Trochę bez smaku - powiedział. - A poza tym niczego sobie. Zakąska jak zakąska.

Dookoła hałasowano w zagranicznym języku. Fomicz zmorzony zagapił się na koniec

swojego buta. O czymś tam przez cały czas rozmyślał. Grupa turystów chciała się z nim sfotografować. A la Russe. Fomicz zsunął się ze stołka, z goryczą machnął dłonią i gdzieś poszedł. Dwie cudzoziemki, podobne do głodujących Marsjanek, pobiegły za nim. Schwyciły go pod rękę i wtedy Fomicz coś im powiedział. Najdziwniejsze, że cudzoziemki zrozumiały. Omal im oczy nie wypadły spod okularów. Wróciły do swojego towarzystwa i długo tam o czymś szeptały.

A Fomicz kręcił się po hallu, jak ślepy na dansingu. Wszyscy obchodzili go skrzętnym łukiem. Portier już zaczął zwracać uwagę na Fomicza i wtedy ja się wmieszałem. Objąłem Fomicza za ramiona i łagodnie skierowałem do pokoju. Tam Fomicz nie wytrzymał i zaszlochał. Dałem mu tabletkę ataraxu, który noszę przy sobie od pewnego czasu. Dokładnie od początku historii z Brummem. Jeśli sądzicie, że łatwo mi to wszystko przychodzi, to jesteście w błędzie.

Ułożyłem Fomicza w łóżku, usnął wzdrygając się we śnie. Wyszedłem na palcach i poprosiłem pokojówkę, żeby od czasu do czasu zaglądała do pokoju.

Rozdział 10.

Występujemy w TV

Rano zjrzałem do Lisockiego. Lisocki rozwijał burzliwą działalność. Twórcze pomysły tryskały z niego jak potoki górskie. Na ścianie laboratorium już wisiał schemat z podkową wykreślony tuszem. Laboranci szlifowali końce podków.

- Już się umówiłem - rzucił mi Lisocki. - Dziś mamy nagranie w telewizji. Jedź po Smirnego i nie odstępuj go ani na krok. Nagranie o czternastej.

Zrobiło mi się smutno. Ciekawe, kiedy pozwolą mi zająć się nauką? Ale z drugiej strony, Fomicz zginie beze mnie. Już do mnie przywykł. Ufa mi.

Starąłem się wybierać spokojne miejsca. Spacerowałem z nim do obiadu. Letni Ogród, park Taurydzki, muzeum Suworowa. Fomicz był melancholijny, nie do poznania.

Wreszcie przywiozłem go do instytutu. Po korytarzu już biegał Lisocki ubrany nadzwyczaj odświętnie. Reżyser spojrział na buty Fomicza i chrząknął pogardliwie.

- Przebrać! - krzyknął przez ramię.

Fomicza porwano i gdzieś powleczono. Biedak zapierał się z całej siły i patrzył na mnie tak, że poczułem się zdrąją. Dlatego poszedłem za nim.

Dwie dziewczyny o bardzo władcym wyglądzie zaprowadziły Fomicza do garderoby. Nie odzywały się do niego. To nie wchodziło w zakres ich obowiązków. Dyskutowały ze

sobą.

- Frak się dla niego nie nada - powiedziała pierwsza. - Zbyt prostacka twarz.

- Może szynel? - zapytała druga z zadumą. Że niby oficer w stanie spoczynku.

- To i wojskowa bluza musi być - wtrącił Fomicz.

- I maska gazowa - podpowiedziałem z tyłu. Dziewczyny odwróciły się i spojrzały na mnie jak na idiotę.

- Spodnie i sweter! - wymyśliła pierwsza. - Będzie fotogenicznie.

Zmusiły Fomicza, żeby włożył biały sweter i spodnie tenis. Jak Dean Reed. Zamiast butów lakierowane sztylpy. Fomicz trzymał się nadzwyczaj dzielnie. Włosy uczesał z przedziałkiem i teraz do złudzenia przypominał estradowego tancerza.

- Ej, dziewczuchy! - zawołał Fomicz starając się uszczypnąć obie dziewczyny jednocześnie, i mrugnął do mnie. Dziewczyny z trudem zachowały lodowatą wyniosłość. Zrozumiałem Fomicza.

- Mnie również trzeba przebrać - powiedziałem. - Reżyser kazał, żeby to było coś średniowiecznego.

Dziewczyny uwierzyły. W telewizji przyzwyczajone są do wszystkiego. Fomicz i ja z trudem powstrzymywaliśmy się od śmiechu. Ale nie mogliśmy sobie pozwolić na głośny śmiech. Obok trwały nagrania.

Wybrałem sobie taką czarną bluzę z żabotem. Wyglądałem jak Romeo. Dziewczyny były przerażająco poważne. Starły się ze wszystkich sił.

Kiedy nas doprowadzono do reżysera, ten omal nie zapłakał. Moim zdaniem dziewczyny mają naganę z wpisaniem do akt jak w banku. Znowu nas przebrano, tym razem w coś neutralnego.

Weszliśmy do studia i zaczęła się próba. Lisocki prowadził audycję. O podkowach mówił tak, że kamerzysta nie mógł robić zdjęć. Padł twarzą na kamerę i bezdźwięcznie płakał ze śmiechu. Dziwne, ale Fomicz jak gdyby nabrał otuchy. Jego wygląd mówił: „Jak spadać - to z wysokiego konia”.

Zaraz po próbie zaczęliśmy nagrywać. Kiedy przyszła kolej na Fomicza, wstał, podszedł do przygotowanej aparatury i zapalił świecę. Wyraz twarzy miał bardzo poważny. Potem zaczął nagrzewać podkowę. Do podkowy był podłączony wentylator.

- Proszę zwrócić uwagę, zaraz prąd popłynie do silnika i wentylator zacznie się obracać - powiedział Lisocki. Do kamery.

Wentylator na te słowa nie zareagował.

- Za chwilę - powiedział Lisocki ciągle jeszcze z uśmiechem.

Fomicz starannie zgasił świecę dwoma palcami, nim wrócił na miejsce i powiedział

zagadkowe zdanie:

- Nauka to nie prosty dinksbums.
- Stop! - krzyknął reżyser przez radio. Po minucie już był w studio.
- Dlaczego nie ma efektu? - zapytał.
- Nie mam nastroju - powiedział Fomicz.
- Jakiego nastroju? - zapytał Lisocki błędnie.

Wtedy Fomicz powiedział, co o tym wszystkim myśli. Pokazał charakter. Byłem szczęśliwy.

- Możecie iść do domu - powiedział reżyser. - Nauka to nie prosty dinksbums. Genialne!

Tylko jeden Lisocki się nie śmiał. Zebrał swoje kartki i po cichu wyślizgnął się ze studia. A my z Fomiczem przebraliśmy się i pojechaliśmy na dworzec po bilety.

Rozdział 11.

Odprowadzam Fomicza

Siedzieliśmy z Fomiczem u mnie w domu i piliśmy herbatę. Fomicz wykladał swoje poglądy na życie oraz na fizykę. A ja wykladałem swoje. Bardzo ciekawie nam się rozmawiało.

- Rozumiesz - mówił Fomicz - co jest dla mnie i dla ciebie najważniejsze? Nie żeby świat zadziwić, i pieniędzy też nam nie trzeba. Najważniejsze, że jeśli całą duszą czegoś pragniesz - nagle wychodzi. Tylko dlatego. Usuń duszę - wszystko przepadnie.

- A obiektywny byt, który jest nam dany? - zapytałem. Zwracałem jego uwagę na materialność świata.

- Dany? - zapytał Fomicz. - Dany przez kogo? Co?
- No dany i koniec - powiedziałem.
- E-e! - pomachał palcem Fomicz - jednak przez kogoś dany.
- Wierzycie? - zapytałem wprost.
- Wierzę - powiedział Fomicz. - W naukę wierzę, i w ludzką duszę.
- To nie to samo - powiedziałem.

- Po waszemu nie to samo, a tak w ogóle - to samo. Ty na przykład niedawno opowiadałeś mi o Einsteinie. A ja myślę tak - uwierzył Einstein w to, co wymyślił - i słowo ciałem się stało. A gdyby tak dla pieniędzy, albo jeszcze dla czegoś, nie byłoby żadnej tam teorii względności.

- Kto inny by odkrył - powiedziałem.

- Jaki inny? No, może ja bym odkrył. Albo ty - Fomicz nie był skąpy. - A ten Lisocki na przykład w żadnym wypadku. Nawet gdyby miał łeb jak wieża strażacka.

Wypiliśmy herbatę i Fomicz zaczął się zbierać do drogi. Zbierać właściwie nie było co. Cała aparatura została u Lisockiego. Był tylko oscylograf, który podarowaliśmy Fomiczowi zgodnie z obietnicą.

Jechaliśmy przez nocne miasto. Fomicz popadł w zadumę. Postanowiłem go rozruszać.

- Lisocki nie przypuszczał, że spotka go takie fiasko - powiedziałem.

- Figasko - powiedział Fomicz. Nie zrozumiałem, czy żartuje, czy mówi poważnie.

Na peronie uściskaliśmy się, Fomicz był dobrym człowiekiem i uzalił się nade mną.

- Jedź ze mną, Pietia - zaproponował. - Zginiesz tu, jak Boga kocham, zginiesz!

- A rodzina! - zapytałem.

- A nauka? - odpowiedział Fomicz. - Jeśli kocha - pojedzie za tobą.

Ostatnie zdanie odnosiło się do żony. Ale jednak nie pojechałem. Opanowałem się.

Pociąg zagwizdał, stęknął i powiózł Fomicza do wsi Kogutki Górne. Stałem na peronie i patrzyłem za nim - czerwone światelko ostatniego wagonu długo jeszcze kołysało się w przestrzeni.

Rozdział 12.

Dostaję list

- Gratuluję - powiedział szef następnego dnia. - Na pewno kamień spadł ci z serca.

Nie miałem takiego wrażenia. Ciągle widziałem przed sobą bezinteresowne oczy Fomicza.

- Dobra, Pietia - powiedział szef. - Pobawiliśmy się podkowami i starczy. Czas myśleć o doktoracie.

A ja zupełnie nie miałem ochoty o tym myśleć. Miałem ochotę myśleć o tym, jak po siatce krystalicznej biegają elektrony. Jak zderzają się ze sobą, mrugają do siebie i biegną dalej wzięwszy się za ręce już jako prąd elektryczny. Miałem ochotę zrozumieć ich plany, zajrzeć im w duszę, jak by powiedział Fomicz. Zrozumiałem, że jeżeli nie zajrzę im w duszę, nigdy nie będę uczony.

Sprawa Brumma była prawie skończona. Tylko Lisocki pośpiesznie wstawił go do doktoratu, żeby się nie zmarnował. Zniszczył wszystkie podkowy, ale prąd nie popłynął ani

razu. Próbował nawet wybadać mnie, czy Fomicz nie miał jakiejś tajemnicy.

- Miał - powiedziałem - bezinteresowne oddanie nauce.

Lisocki obraził się i więcej mi głowy nie zawracał. Niemniej wygłosił jednak kilka odczytów o Brummie w różnych instytucjach i nawet podpisał umowę z jakimś wydawnictwem.

A ja spokojnie obmyślałem swoje doświadczenia w dziedzinie anizotropii. Myślałem przez całą zimę. Patrzyłem, jak pada śnieg. Słuchałem, jak szumi wiatr. Bardzo mi to pomagało, i na wiosnę wymyśliłem. Już wiedziałem, co będzie, jeśli wszystko podłączę i uruchomię aparaturę. Inaczej po prostu być nie mogło. Oczywiście nie był to efekt Brumma, ale jednak.

W laboratorium jakoś inaczej zaczęto mnie traktować. Już nie byłem chłopcem na posyłki. Zdobyłem ich szacunek, czy jak?

Nawet Rybaków pewnego razu powiedział:

- Słuchaj, Pietia, zaczynasz nam jakby kiełkować. Skąd mu to przyszło do głowy?

Wreszcie nadeszła wiosna i skonstruowałem schemat. Kiedy wszystko podłączyłem i umieściłem próbkę w uchwycie, strzałki przyrządów pomiarowych zatańczyły i zatrzymały się dokładnie tam, gdzie chciałem.

Dlatego, że chciałem tego tak bardzo.

Nawet nie zauważyłem, kiedy w laboratorium zrobiło się tak ludno, jak wtedy przy doświadczeniach Fomicza. ! jeszcze nie wszyscy wierzyli w rezultat.

- Zdumiewające - powiedział szef.

- Mistyka - powiedział Lisocki. - Fomicz numer dwa.

- A propos - powiedział szef - Fomicz znowu do nas napisał.

- Ha-ha! - powiedział Lisocki i wyszedł. Chyba się zdenerwował.

- Nie do nas, tylko do mnie - powiedziałem, kiedy o-tworzyłem kopertę.

List brzmiał jak następuje:

„Witaj, Piotrze Nikołajewiczu! Spieszę podzielić się z tobą, wielką radością. Wreszcie uzyskałem plazmę. Całą zimę się mordowałem. No i jest, najmiłsza! Wczoraj rozpałem w piecu brzozowymi polanami, dołożyłem węgla i wybiegłem na ganek. Patrząc, a nad kominem, w pułapce magnetycznej - błękitna kulka! Wisi ładaczka, jak gwiazdka, albo planeta, i cichutko potrzaskuje. Mało nie zapłakałem z radości. Długo wisała. Ulepiłem śnieżkę - i w tę kulkę. Wtedy wybuchła. Pełne niebo iskier. Jak salut artyleryjski w dniu zwycięstwa. Napisz, jak twoje badania, i przyjeżdżaj latem na urlop. Zobaczymy, co da się zrobić z tą twoją anizotropią. Do szybkiego zobaczenia. Twój Wasilij Smirny”.

Epilog.

Piszę doktorat

W końcu musiałem jednak napisać pracę doktorską. A w pracy tej należało wyjaśnić, w jaki sposób otrzymałem taki zdumiewający dla nauki rezultat. Długo się męczyłem, a potem opisałem wszystko od samego początku. Jak otrzymałem list od Wasilija Fomicza, jak pojechałem do Kogutków Górnych i co z tego wynikło. Pisałem uczciwie, To znaczy uczciwie w istocie rzeczy. Szczegóły troszkę podkoloryzowałem. Żeby było ciekawiej czytać.

Napisałem pierwszą część i nazwałem ją „Wprowadzeniem w historię problemu”. Pokazałem ją szefowi.

Szef czytał „Wprowadzenie” jak powieść kryminalną, nie odrywając się ani na moment. Od czasu do czasu chichotał i ocierał chusteczką łzy, Tą samą chusteczką, o której już wspominałem. Jakoś nie pamiętam, żeby kiedykolwiek z takim zainteresowaniem czytał inne prace naukowe.

Wreszcie szef skończył, odłożył pracę i na jego twarzy pojawił się smutek.

- Pietia, czyś ty oszalał? - zapytał szef.

- Chyba nie - odparłem.

- Co to ma być? - zapytał szef wskazując na pracę.

- Doktorat - powiedziałem. - A co?

- Czyś ty kiedy widział doktorat? - zapytał szef.

- Widziałem - odparłem, - Wszystkie były dosyć nudne. A mój nie jest nudny.

- Ja myślę! - powiedział szef.

- Nigdy jeszcze nie pisałem doktoratu - powiedziałem. - Jeżeli coś jest nie tak, proszę mi powiedzieć. Ja się nie obrażę.

- Skąd ty to wszystko wzięłeś? Nie podejrzewałem, że masz fantazję pięcioletniego dziecka. Tyle, że dziecka z wyższym matematyczno-fizycznym wykształceniem. Gdzieś ty widział te podkowy? A plazma? Nic podobnego nie było!

- Jak to nie było? - zapytałem. - A Fomicz był?

- No był - powiedział szef. - Ale nie podgrzewał żadnej podkowy, i nie osiągnął żadnych nadzwyczajnych rezultatów.

- Moim zdaniem, nie to jest najważniejsze - powiedziałem. - Dla mnie najważniejsza była miłość Fomicza do nauki. To dzięki niej udało się moje doświadczenie. Czy nie mam racji?

- Nie wiem, nie wiem... - z zadumą powiedział szef. Wtedy przeszedłem do ataku.

Powiedziałem, że prace naukowe powinno się czytać z zainteresowaniem. A jeżeli w tym celu trzeba troszeczkę podkoloryzować bez szkody dla istoty sprawy, to nic. A w mojej pracy właśnie tak jest. Istota jest dla każdego.

No bo rzeczywiście, napiszę, powiedzmy, że mieszka w Kogutkach Górnych Wasilij Fomicz Smirny, człowiek bez żadnego wykształcenia, który kocha fizykę, i nie ma żadnych szczególnych osiągnięć. Chociaż zdaje mu się, że codziennie dokonuje przewrotu w światowej nauce.

Zasługuje wyłącznie na litość, i tak ma wyglądać prawda?

Zależy, z której strony na nią spojrzeć.

A ja spojrzałem tak, że Fomiczowi można też pozazdrościć. Zajmuje się swoją ukochaną nauką. Wierzy w nią. Tylko nią żyje. Czasem, trzeba mu oddać sprawiedliwość, wymyśla coś pożytecznego.

Słowo honoru, nie każdy doktor nauk ścisłych tak po rycersku traktuje naukę. Nie każdy. Wiem o tym. A co tam Fomicz podgrzewał, czy otrzymywał w swoim piecu - czy to nie wszystko jedno?

- Bardzo pięknie - powiedział szef. - Ale to nie doktorat. Uczni będą się śmiali.

- Na zdrowie! - powiedziałem. - Niech się śmieją. Czy to źle?

- Dla doktoratu źle. Nazwij to, co napisałeś, jakoś inaczej.

I nazwałem to inaczej. A doktoratu jakoś nie napisałem. Dlatego że, jak się okazało, nie mam uzdolnień w kierunku pisania doktoratów.